

Garth Nix

Klucze do królestwa

Ponury Wtorek

Grim Tuesday

Przełożyła Małgorzata Hesko-Kołodzińska

Prolog

Krwistoczerwona, najeżona kolcami lokomotywa wytoczyła się z czeluści Studni, z wściekłością buchając kłębamii pary, pełnej czarnego dymu węglowego, który przetykany był śmiertelnymi cząsteczkami Nicości z kopalni głębinowych w dole.

Od ponad dziesięciu tysięcy lat konsekwentnie pogłębiano Studnię w fundamentach Domu. Górnicy Ponurego Wtorka poszukiwali zdatnych do eksploatacji zasobów Nicości, z której można było wykonać dosłownie wszystko. Jeśli jednak wydobyli zbyt dużo w jednym miejscu lub przebili się do bezkresnej otchłani Nicości, wówczas niszczyła ich, i nie tylko ich, nim udało się zaczopować otwór i odizolować szyb.

Ponadto górnikom bezustannie zagrażali napastliwi Niconie, osobliwe stwory zrodzone z Nicości. Czasami objawiali się oni w formie istot niższego rzędu, niekiedy przybywali jednak w postaci budzącego grozę potwora, który wywoływał nieopisany chaos. Jeśli istota taka nie umknęła do Poślednich Królestw, należało ją pokonać albo zawrócić tam, skąd przybyła.

Mimo niebezpieczeństwa Studnię systematycznie pogłębiano, a szyby i tunele rozpościerały się na coraz większym obszarze. Pociąg był stosunkowo świeżą innowacją, liczył sobie zaledwie trzysta lat, mierzonych zgodnie z upływem czasu w Domu. Dzięki pociagowi

podróż z dna Studni do Odległych Rubieży trwała jedynie cztery dni. Z Rubieży pozostało już niewiele, gdyż roboty eksploatacyjne pochłonęły większość pierwotnej krainy Domu, należącej do Ponurego Wtorka.

Tylko nieliczni zwykli Rezydenci korzystali z pociągu. Większość musiała wędrować pieszo, a taka podróż, drogą wzdłuż torów, trwała co najmniej cztery miesiące. Pociągami jeździli wyłącznie Ponury i jego totumfaccy. Lokomotywa i wagony były pokryte kolcami, aby zniechęcić gapowiczów, a konduktorzy mieli rozkaz strzelać z miotaczy pary do każdego, kto spróbowałby bez pozwolenia wdrzeć się do pociągu. Nawet niemal nieśmiertelny Rezydent Domu dobrze by się zastanowił, czy warto ryzykować poparzenie gorącą parą. Po czymś takim czekałaby go długotrwała i niesłychanie bolesna rekonwalescencja.

Przelot byłby znacznie szybszy od jazdy pociągiem, lecz Ponury Wtorek nigdy nie nosił skrzydeł, innym również zabronił z nich korzystać. Skrzydła przyciągały Nicość ze wszystkich zakątków Studni. Niekiedy pod ich wpływem powstawali latający Niconie, bywało też, że trzepot skrzydeł wywoływał burze Nicości, których tłumieniem musiał się osobiście zajmować Ponury.

Pociąg zagwizdał siedem razy, ze zgrzytem zatrzymując się przy peronie. Górną Stację zbudował sam Ponury Wtorek, kopiując pewien niesłychanie wytworny dworzec w jednym z Poślednich Królestw. Niegdyś była to piękna budowla o łukowym sklepieniu, wykończona

jasnymi kamieniami. Dym węglowy z pociągu oraz liczne kuźnie i fabryki Ponurego sprawiły, że kamienie pokryła czerń. Płynące z Nicości zanieczyszczenie również wżarło się we wszystkie ściany i łuki. W rezultacie każdy kamień pełen był maleńkich dziurek, niczym zniszczony przez korniki drewniany statek. Stacja nie zaważyła się tylko dlatego, że Ponury Wtorek bezustannie ją naprawiał potęgą swojego Klucza. Ponury Wtorek dzierżył bowiem Drugi Klucz do Królestwa, który dziesięć tysięcy lat temu powinien był przekazać Prawowitemu Dziedzicowi. Postanowił go jednak zachować i tym samym sprzeniewierzył się Woli pozostawionej przez Architektkę, twórczynię Domu i Poślednich Królestw.

Ponury Wtorek rzadko rozmyślał o Woli, którą podzielono na siedem części, ukrytych osobno w zakamarkach kosmosu i głębiach czasu. On sam również ukrył jeden fragment, Drugi Ustęp Ostatniej Woli, i od tamtego czasu żywił przekonanie, że nikt nie ma do niego dostępu.

Wtorek dowiedział się jednak o ucieczce pierwszej części Woli, która znalazła sobie Prawowitego Dziedzica, a ten w niewiarygodny sposób pokonał Pana Poniedziałka i przejął jego moc.

Oznaczało to, że Ponury Wtorek będzie następny. Wysiadł z pociągu i zmarszczył brwi, spoglądając na list w okrytej rękawicą dłoni. Posłańcy, którzy dotarli do Odległych Rubieży z tą nieprzyjemną wiadomością, oczekiwali teraz na odpowiedź.

Ponury Wtorek ponownie przeczytał fragment listu. Spadkobiercą był pewien chłopiec, Arthur Penhaligon, z jednego z najciekawszych światów w Poślednich Królestwach. Miejsce to zwano Ziemią – zrodziło wielu artystów oraz wynalazców, których dzieła Ponury Wtorek kopiował. Sami nazywali siebie ludźmi i byli najbardziej utalentowanymi twórcami Architektki na przestrzeni eonów. Tylko oni, zarówno w Domu, jak i poza nim, potrafili dorównać Jej pod względem kreatywności.

Ponury ponownie zmarszczył brwi i zgniótł list. Nie lubił, kiedy mu przypomniano, że potrafi tylko naśladować. Przyjrzawszy się uważnie oryginałowi, umiał stworzyć jego kopię z Nicości. Był nawet w stanie w interesujący sposób połączyć istniejące rzeczy. Nie potrafił jednak samodzielnie stworzyć nic całkowicie nowego.

– Lordzie Wtorku.

Powitanie wygłosił wyższy z dwóch posłańców. Choć mieszkali w Domu, nie przypominali tych z Odległych Rubieży. Byli o głowę wyżsi od poplamionych sadzą, upačkanych Nicością sług Ponurego Wtorka, którzy podeszli tłumnie do pociągu, aby wyładować duże, wzmocnione brązowymi obręczami beczki wydobytej Nicości. Przeznaczano ją do wytwarzania surowców, takich jak brąz, stal i srebro, które następnie przerabiano na różne sposoby w fabrykach i kuźniach Ponurego Wtorka. Część Nicości była wykorzystywana bezpośrednio przez Wtorka do magicznego formowania

wyjatkowej urody obiektów, sprzedawanych innym Rezydentom Domu.

Służący Ponurego zwykle nosili łachmany i byle jak połatane fartuchy ze skóry, byli przygarbieni, ślamazarni i wyglądali jak poobijani. Posłańcy prezentowali się całkiem inaczej. Pewni siebie, stali w lśniących czarnych surdutach i śnieżnobiałych koszulach oraz krawatach w kolorze ciemnej czerwieni, odrobinę jaśniejszej niż ich jedwabne pasy. Na głowach mieli eleganckie błyszczące cylindry, które odbijały i wzmacniały mdłe światło lamp gazowych na platformie. W rezultacie trudno było dostrzec twarze nowo przybyłych.

Ponury Wtorek prychnął. Z zadowoleniem zauważył, że jest wyższy od posłańców, chociaż mieli co najmniej dwa metry dziesięć centymetrów wzrostu. Jego służący byli na ogół poskręcani i skurczeni z powodu kontaktu z Nicością, lecz sam Ponury Wtorek prezentował się nieźle. Zachował szczupłą sylwetkę osobnika, który potrafi bez trudu biegać przez cały dzień albo przepłynąć szeroką rzekę. Gardził wymyślnymi ubraniami i wolał nosić spodnie ze skóry oraz prosty skórzany kaftan bez rękawów, eksponujący mięśnie. Dłonie miał zasłonięte rękawicami z elastycznego, srebrzystego metalu ze złotymi paskami. Ponury Wtorek zawsze nosił te rękawice, bez względu na to, czy pracował, czy nie.

– Odczytałem list – burknął. – Nie ma dla mnie znaczenia, kto rządzi Niższym Domem ani też żadnym innym. Odległe Rubieże są moje i takie pozostaną.

- Wola...
- Zadbalem o swój fragment znacznie lepiej niż ten leń Poniedziałek – przerwał Ponury Wtorek posłańcowi. – W tej kwestii nie żywię obaw.
- Autor listu jest odmiennego zdania.
- Czyżby? – Ponury ponownie się zachmurzył, ściągając razem blizny w miejscu, w którym niegdyś rosły mu brwi. – Wiecie coś, czego ja nie wiem?
- Wiemy, że istnieje sposób, który możesz wykorzystać do zaatakowania Niższego Domu oraz tego... Arthura Penhaligona. Chodzi o lukę w Umowie.
- W naszej Umowie? – warknął Wtorek. – Mam nadzieję, że nie sugerujecie nic, co pozwoliłoby Środzie albo temu durnemu Piątkowi naruszyć moje terytoria?
- Nie, nie. Chodzi o lukę, którą tylko ty możesz wykorzystać. Umowa zakazuje wzajemnego wtrącania się Wykonawców w swoje sprawy. Ale założmy, że miałbyś uzasadnione powody rościć sobie prawo do przejęcia Niższego Domu oraz Pierwszego Klucza. W takiej sytuacji byłyby twoją własnością, prawda?
- Ponury Wtorek zrozumiał, o co chodzi posłańcowi. Gdyby znalazł podstawy, by twierdzić, że Arthur jest mu coś winien, wówczas mógłby zabrać Pierwszy Klucz w formie zapłaty. Istniał tylko jeden problem i Ponury wyjawiał go posłańcowi: nie miał żadnych uzasadnionych roszczeń wobec Arthura.
- Pan Poniedziałek był ci winien ponad gros metalowych Komisarzy, czyż nie? – spytał posłaniec.

– A jakże, i jeszcze wiele innych rzeczy, zarówno wykwintnych, jak i prozaicznych – potwierdził Ponury Wtorek. Jego twarz wykrzywił grymas złości. – Za nic nie zapłacił, ani monetami Domu, ani Rezydentami do pracy w mojej Studni.

– Wiesz, że nie spłacony dług daje ci możliwość roszczenia sobie praw do majątku dłużnika. Jeżeli złożyłeś już wniosek o egzekucję długu i zaliczenie na jego poczet własności byłego Pana Poniedziałka, a Sąd Dni orzekł przekazanie ci władzy oraz Klucza, wówczas...

Ponury Wtorek doskonale pojmował, do czego zmierza posłaniec. Gdyby zażądał od Pana Poniedziałka spłaty długu przed przejęciem władzy przez Arthura, wówczas chłopiec odziedziczyłby dług poprzednika.

– Ale ja nie dochodziłem roszczeń – zauważył Ponury Wtorek. – A Sąd nie mógł w dobrej wierze...

Wyższy Rezydent z uśmiechem wyciągnął z kamizeli długi rulon pergaminu, który stawał się coraz dłuższy. W końcu posłaniec rozwinął zwój wielkości małego dywanu, pokryty jaśniejącym złociście pismem; na dole widniało kilka dużych okrągłych odcisków złotych pieczęci odbitych w tęczowym laku, który zmieniał kolor co kilka sekund.

– Na szczęście Sądowi udało się zwołać specjalne posiedzenie, które, jak ustalono, odbyło się na chwilę przed usunięciem Pana Poniedziałka ze stanowiska. Pragnę cię z przyjemnością zawiadomić, Ponury Wtorku, że wygrałeś proces. Możesz domagać się zwrotu długu w

Niższym Domu od sukcesorów Poniedziałka. Dodatkowo przyznano ci specjalną przepustkę, abyś mógł także egzekwować ten sam dług w Poślednich Królestwach.

– Będą apelować – burknął Wtorek, lecz wyciągnął rękę i wziął pergamin.

– Już to zrobili – oświadczył posłaniec. Ze srebrnej cygarnicy wyjął przycięte na obu końcach cygaro i zapalił je niebieskim płomieniem, który wystrzelił mu z palca wskazującego. Zaciągnął się głęboko i wydmuchnął długie srebrne pasmo, które wplotło się między warstwy ciemnego, brzydkiego dymu nad głowami stojących. – A ściślej: zrobiła to Plenipotentka. Ta istota wcześniej była Pierwszym Fragmentem Woli, a teraz nazywa siebie Pierwszą Damą. Wątpimy, by Arthur Penhaligon miał jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się dzieje.

– Mierzą mnie te kruczki prawne – burknął Ponury Wtorek. Pogłaskał brodę metalową rękawicą. Mówił tak cicho, jakby zwracał się do siebie. – To, co się zdarzyło w Niższym Domu, może się przytrafić mnie i moim włościom. Zresztą na tym dokumencie widnieją pieczęcie zaledwie trójki Potomnych Dni...

– Wystarczy, że przystawisz swoją pieczęć, a zbiorą się cztery z siedmiu. Większość. Wówczas Niższy Dom przejdzie na twoją własność.

Ponury Wtorek, podniósł wzrok na wysokiego posłańca.

– Rzecz jasna, zachowam Pierwszy Klucz, jeśli powiesz mi się przejęcie... Chciałem powiedzieć –

odzyskanie długu?

– Naturalnie. Przejmiesz cały dług, a także wszystko, co uzyskasz w Poślednich Królestwach.

Na oblicze Ponurego Wtorka wypełził cień uśmiechu. Mógł odziedziczyć Pierwszy Klucz oraz wszystko inne, co należało do Arthura.

– Nikt się nie będzie wtrącał? – spytał. – Bez względu na to, co uczynię w Poślednich Królestwach?

– Jeśli chodzi o nasze... biuro... dysponujesz pozwoleniem na wyprawę na tę całą Ziemię i zrobienie tam wszystkiego, co konieczne, aby odzyskać dług – wyjaśnił posłaniec. – Najlepiej będzie, jeśli spróbujesz unikać... jak by to ująć... ostentacyjnych grabieży i dewastacji. Myślę, że przy zachowaniu stosownego umiaru nie musisz się obawiać żadnych konsekwencji.

Ponury Wtorek spojrział na pergamin. Ogarnęła go nieprzeparta pokusa. Oczy zalśniły mu dziwnym żółtym blaskiem, niemal tak, jakby odbiła się w nich wizja złota. Wreszcie przycisnął do pergaminu ukryty w rękawicy kciuk. Rozbłysło oślepiające żółte światło i zmaterializowała się czwarta pieczęć, pobrzękując o pozostałe. Jej tęczowa wstążka zajaśniała na pergaminie.

Obaj posłańcy dyskretnie zaklaskali. Tłum służących na chwilę przerwał rozładunek pociągu, lecz Nadzorcy natychmiast zaczęli ich bić. Ponury Wtorek ukrył pergamin w lewej rękawicy. Dokument skurczył się do rozmiarów znaczka pocztowego i bez trudu zmieścił pod nadgarstkiem.

– Jest jeszcze jedna sprawa, którą zlecono nam poruszyć – odezwał się pierwszy posłaniec. Nagle zaczął sprawiać wrażenie pogodniejszego i bardziej swobodnego.

– Doprawdy, drobiazg – dodał drugi posłaniec z uśmiechem. Wcześniej nie zabierał głosu i jego nieoczekiwany komentarz sprawił, że niektórzy służący podskoczyli, choć głos umyślnego był łagodny i miękki. – O ile wiemy, twoi górnicy obecnie czopują szyb, który przebił się do Nicości.

– Sytuacja jest pod kontrolą – warknął Ponury. – Nic z Nicości nie będzie się przedostawało do mojej Studni ani do Odległych Rubieży! Nie mogę się wypowiadać w imieniu innych części Domu, lecz nam nicość nicponi z Nicości nie niesie nic niesamowitego. Nic nie jest mi bliższe niż Nicość.

Posłańcy popatrzyli po sobie. Pogarda w ich wzroku była tak przelotna i tak starannie ukryta w cieniu rond cylindrów, że Ponury Wtorek nie zdążył jej dostrzec.

– Twoja sprawność w konfrontacji z Nicością jest powszechnie znana – zauważył pierwszy posłaniec. – Chcemy tylko, by coś zostało przepchnięte przez zablokowane przejście do Nicości.

– Chodzi o drobiazg – uściślił drugi posłaniec i wyciągnął mały skrawek jakiejś tkaniny. Wydawał się czysty i biały, lecz bliskie oględziny z użyciem lupy wykazałyby, że na skrawku materiału znajduje się kilka linijek tekstu spisanego wyjątkowo drobnymi literkami w

kolorze przyciemnionego srebra.

– Ten przedmiot się rozpuści. Zostanie zniszczony – zwrócił im uwagę wyraźnie zaskoczony Ponury. – Gdzie tu sens?

– To kaprys tego, komu służymy.

– Pewien pomysł. Eksperyment. Środek ostro...

– Dość! Co to za materiał?

– Kieszeń – wyjaśnił pierwszy posłaniec. – Przynajmniej kiedyś była to kieszeń. Niestosownie oderwana z mundurka. Odcięta od szkolnej koszuli...

– Ech! Zagadki i bzdury! – krzyknął Ponury Wtorek. Chwycił materiał i wcisnął go do prawej rękawicy. – Zrobię, co chcecie, byle tylko nie słyszeć waszego bełkotu. Zabierajcie się tam, skąd przyszliście.

Posłańcy ukłonili się lekko i odwrócili na pięcie. Tłum sług Ponurego rozstał się, gdy szli w kierunku szeregu drzwi do wind na tyłach stacji. Windy były jak zwykle strzeżone przez Nadzorców, najbardziej zaufanych sług Ponurego Wtorka. Na czarnych kaftanach z grubej skóry nosili oni napierśniki z ciemnego brązu, twarze ukryli w hełmach o wydłużonych przyłbicach, a na ich uzbrojenie składały się miotacze pary oraz miecze o szerokich główkach. Nazywali je bułatami i zwykle sam ich widok przerażał wszystkich dookoła. Nadzorcy odsunęli się i pochyliłi głowy.

Ponury Wtorek patrzył, jak obaj Rezydenci wchodzi do windy. Szczęknięty zamknięte drzwi, a w powietrze wystrzelił słup jasnego światła, wyraźnie widoczny przez

smog i rozpadający się sufit stacji. Światło dotarło do sklepienia Odległych Rubieży, na wysokości około jednego kilometra, i znikło.

– Wyruszamy niezwłocznie, Mistrzu? – spytał niski, barczysty, długobrody Rezydent, którego skórzany fartuch prezentował się wyraźnie lepiej i czyściej niż fartuchy innych służących. W jednej dłoni trzymał wielki notatnik oprawiony w skórę, a w drugiej ptasie pióro. Inny potężny, mocno zbudowany służący miał w ręce otwarty kałamarz. Ich twarze były niemal identyczne, ze spłaszczonymi, jakby złamanymi nosami pomiędzy głęboko osadzonymi oczyma: jednym niebieskim, drugim zielonym. Jeszcze pięciu Rezydentów charakteryzowało się podobnymi rysami, ale na stacji przebywało zaledwie trzech takich osobników.

Wszyscy zwali się Szkaradziejami Ponurego i byli siódemką najważniejszych zarządców Ponurego Wtorka. Stworzył ich, łącząc w jedną całość trzech Rezydentów, którzy niegdyś służyli mu jako Jutrznik, Południk i Zmierzchnik, a następnie powielając powstały organizm w siedem bytów.

– Muszę wracać do zakładu – oświadczył Ponury Wtorek. – Przez Południowo-Zachodnią Dolną Trzynastkę nadal wypływa zbyt dużo Nicości i tylko ja potrafię powstrzymać wyciek. Ktoś jednak musi się udać do tego Arthura Penhaligona, aby go skłonić do rezygnacji z władzy nad Niższym Domem i z Pierwszego Klucza. Nie ty, Jednoro. Będiesz mi potrzebny. Drugora

wciąż pozostaje na dole. Zatem wybór pada na ciebie, Trójco.

Służący z kałamarzem w dłoni ukłonił się.

– Weź Czwórcę. Was dwóch powinno wystarczyć. Działajcie w ramach ograniczeń, które już wcześniej stosowaliśmy w tamtym świecie, w ich roku 1929. Jeśli nie będziecie musieli, nie dzwońcie do mnie, bo potrącę wam koszty z wynagrodzenia. Prześlijcie telegram, wyjdzie taniej.

Trójca ponownie skinął głową.

– A jeżeli nadarzy się sposobność dyskretnego powiększenia mojej kolekcji, korzystajcie z niej – dodał Ponury Wtorek z leniwym uśmiechem.

– Co z tym skrawkiem materiału? Z tą kieszenią? – spytał Jednora. – Czy uczynisz tak, jak chcieli posłańcy? Sprawa cuchnie czarnoksięstwem z wyższego piętra.

Ponury Wtorek przygryzł brzeg rękawicy i niespiesznie pokiwał głową.

– Tak uczynię – potwierdził. – Rzecz jest błaha. Jakieś Przekształcenie. Dreszczownik albo Duchożer.

– To zakazane przez prawo i obyczaj – przypomniał mu Jednora.

– Phi! – parsknął Ponury Wtorek. – Nie ja go stworzę, chociaż i tak nie dbam o stare prawa. Tracimy na pogaduszki czas przeznaczony na pracę. Więcej pary!

Ostatnie dwa słowa wykrzyczał w kierunku pociągu. Nadzorcy również odpowiedzieli mu krzykiem i obróconymi na płask bułatami zabrali się do okładania

służących, chcąc ich skłonić do szybszego rozładowywania beczek z Nicością. Inni słudzy przesunęli się ostrożnie między kolcami lokomotywy, aby odłączyć rury z wodą, podczas gdy grupa najbrudniejszych i najbardziej zdeformowanych Rezydentów pospiesznie przepchnęła na węglarkę przy lokomotywie kilka ostatnich taczek, wypełnionych węglem w workach.

Ponury Wtorek poszedł z powrotem do pierwszego wagonu, tuż za nim kroczył Jednora. Nadzorca ruszył w przeciwną stronę, ku głównemu wejściu na stację. Za dużymi drzwiami znajdowały się warsztaty oraz zakłady przemysłowe pozostałej części Odległych Rubieży, ale wtajemniczeni, którzy znali zakłęcie, mogli w krótkim czasie przeobrazić przejście we Frontowe Drzwi Domu, prowadzące do wszystkich Poślednich Królestw.

Między innymi do świata Arthura Penhaligona.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Arthur pospieszył do swojego pokoju. Staroświecki telefon dzwonił coraz głośniejsze i coraz bardziej nieustępliwie. Reszta rodziny nie mogła słyszeć tego brzęczenia, ale przez to chłopak wcale nie czuł się lepiej. Nie mógł uwierzyć, że Wola już do niego dzwoni. Minęło niespełna osiem godzin, odkąd pokonał Pana Poniedziałka, zdobył władzę nad Niższym Domem i potęgę Pierwszego Klucza, po czym szybko przekazał je Woli. Wola z kolei obiecała być porządną Plenipotentką i dać mu spokój na co najmniej pięć albo sześć lat. Nie na kilka godzin.

Zaledwie piętnaście minut temu Arthur wypuścił Nocnego Tropicielea, lekarstwo na Senny Pomór, który mógł zabić tysiące, a może nawet i miliony ludzi. Ocalił swój świat, ale czy miał szansę na święty spokój i zasłużony sen?

Najwyraźniej nie. Wściekły, popędził do swojego pokoju, złapał czerwone aksamitne pudełko podarowane mu przez Wolę i zdarł z niego pokrywke. W środku znajdował się staroświecki telefon z osobną słuchawką. Nie była z niczym połączona, ale Arthur wiedział, że to bez znaczenia. Zerwał ją z widełek i zaczął nasłuchiwać.

– Arthurze?

Natychmiast rozpoznał ten ochrypły, głęboki głos. Wola pozostała przy żabim skrzeku, mimo przemiany w

kobietę, a przynajmniej istotę o kształtach kobiety.

– Tak! Jasne, że to ja! Czego chcesz?

– Obawiam się, że mam złe wieści. Przez pół roku, odkąd odszedłeś...

– Pół roku? – Arthur był teraz nie tylko zirytowany, ale i zdumiony. – Przecież nie minął nawet jeden dzień! Jest parę minut po północy we wtorek.

– Czas płynie naprawdę w Domu, błądzi gdzie indziej – zahuczała Wola. Jej głos był tak czysty i głośny, jakby przebywała w tym samym pokoju. – Tak jak wspomniałam, mam złe wieści. Ponury Wtorek znalazł kruczek prawny w Umowie, która zabrania Wykonawcom wzajemnego ingerowania w swoje sprawy. Z pomocą co najmniej jednego z Potomnych Dni zażądał władzy nad Niższym Domem i Pierwszego Klucza. Oznajmił, że to zapłata za rozmaite dobra, które dostarczał Panu Poniedziałkowi przez ostatnie tysiąclecie.

– Co? – spytał Arthur. – Jakie dobra?

– Och, chodzi o metalowych Komisarzy, części do wind, imbryki, prasę drukarską... rozmaite rzeczy – odparła Wola. – W innych okolicznościach zapłaty zażądano by dopiero przy następnej tysiącletniej umowie, za jakieś trzysta lat. Jednak Ponury Wtorek ma prawo domagać się jej wcześniej, gdyż Pan Poniedziałek zawsze się ociagał ze spłatą długów.

– No to może mu zapłaćcie? – zasugerował Arthur. – Tym co zwykle... Co zwykle służy wam za pieniądze. Nie będzie mógł niczego wymagać.

– W innych okolicznościach zapłata zostałaaby uiszczona w monecie Domu, w którym obowiązuje siedem walut, z których każda ma siedem nominałów. Przykładowo, waluta Niższego Domu to złoty rondel, złożony z trzystu sześćdziesięciu srebrnych pensów, przy czym pośrednie monety. to...

– Nie muszę znać rodzajów monet! – przerwał jej Arthur. – To zapłaćcie Ponuremu Wtorkowi w tych złotych rondlach czy czymś...

– Nie mamy ich – odrzekła Wola. – Czy też mamy bardzo niewiele. Finanse są w opłakanym stanie, ale zdaje się, że Pan Poniedziałek nigdy nie podpisał żadnej z faktur dla innych części Domu za usługi wykonywane przez Niższy Dom. No i nikt nie płacił.

Arthur na moment zamknął oczy. Nie mógł uwierzyć, że słucha opowieści o finansowych problemach epicentrum wszechświata, Domu, od którego zależała ciągłość funkcjonowania wszelkiego stworzenia.

– Uczyniłem cię swoją Plenipotentką – powiedział. – Ty się tym zajmij. Chcę mieć spokój, jak obiecałaś. Przez następnych sześć lat!

– Zajmuję się tym – odparła Wola z irytacją. – Wysłano odwołania, prośby o pożyczki i tak dalej. Mogę jedynie nieco odwlec sprawę, nie mamy wielkich szans na wygraną w batalii prawnej. Zadzwoiłam, by cię ostrzec, że Ponury Wtorek otrzymał również pozwolenie na ubieganie się o zwrot długu osobiście od ciebie. I od twojej rodziny. Nawet całego kraju. A może i świata.

– Co? – Arthur nie mógł w to uwierzyć. Dlaczego po prostu nie chcieli zostawić go w spokoju?

– Opinie w kwestii tego, kto powinien zapłacić, są podzielone, ale co do należnej sumy nie ma wątpliwości. Razem z odsetkami za okres ponad siedmiuset dwudziestu dwóch lat suma jest znacząca. Około trzynastu milionów złotych rondli, z których każdy waży jeden drubuch czystego złota, czy też jedną uncję, jeśli wolisz, co daje osiemset dwanaście tysięcy pięćset funtów handlowych, czyli z grubsza dwadzieścia dziewięć tysięcy kwart, a te z kolei można szacunkowo przeliczyć na trzysta sześćdziesiąt trzy tony...

– Ile to będzie w funtach? – przerwał Arthur słabym głosem. – Niemal czterysta ton złota!

– W waszej walucie? Nie wiem. Ale Ponury Wtorek nie przyjmie waluty Poślednich Królestw. Będzie żądał złota, może wielkich dzieł sztuki, które skopiuje i rozprzeda po całym Domu. Masz jakieś wartościowe dzieła sztuki?

– Jasne, że nie! – wrzasnął Arthur. Wcześniej czuł się znacznie lepiej, nawet zaczął wierzyć w to, że już nigdy nie ucierpi od ataku astmy. Teraz jednak poczuł znajome ściskanie w gardle, miał płytki oddech, choć kłuło go tylko w jednym płucu.

Spokojnie, przykazał sobie. Muszę zachować spokój.

– Co mogę zrobić? – spytał powoli i niezbyt głośno.
– Czy istnieje jakiś sposób na powstrzymanie Ponurego Wtorka?

– Jest jeden – zadumała się Wola. – Ale musisz wrócić do Domu. Kiedy już tu się znajdziesz, będziesz...

Głośne pikanie zagłuszyło jej słowa i przy akompaniamencie trzasków dał się słyszeć nowy głos:

– Mówi Operator. Proszę wrzucić dwa i sześć, żeby kontynuować rozmowę.

Arthur słyszał odpowiedź Woli, ale jakby z wielkiej odległości.

– Nie mam dwóch rondli! Proszę dopisać do naszego rachunku.

– Wasz kredyt został unieważniony nakazem Sądu Dni. Proszę wrzucić dwa rondle i sześć półkoron. Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem... sześć...

– Arthurze! – zawołała Wola, bardzo cicho. – Przybywaj do Domu!

– Dwa... Jeden... Rozmowa zakończona. Dziękuję.

Arthur wciąż trzymał słuchawkę przy uchu, ale zapanowała głucha cisza. Umilkły nawet trzaski w tle. Słyszał wyłącznie własny świszczący oddech, gdy powietrze usiłowało opuścić jego płuca, czy też raczej jego prawe płuco. Lewe płuco wydawało się w porządku, co było dość dziwne, gdyż to właśnie je przebiła Wskazówka Minutowa podczas bitwy Arthura z Panem Poniedziałkiem.

Trzysta sześćdziesiąt trzy tony złota.

Arthur położył się, wciąż o tym myśląc. Jak Ponury Wtorek zamierzał zmusić go do zapłaty? Czy postanowił przysłać Aporterów albo inne stworzenia z Nicości? Jeśli

tak, czy sprowadzą one nową epidemię?

Był tak zmęczony, że do głowy nie przychodziły mu żadne odpowiedzi, jedynie pytania zdawały się galopować w jego umyśle.

Muszę wstać i coś zrobić, pomyślał. Powiniennem zajrzeć do *Kompletnego Atlasu Domu* albo sporządzić jakiś plan działania. Jest już wtorek, nie ma czasu do stracenia. Ponury Wtorek może działać w moim świecie jedynie we wtorki, on też nie będzie tracił czasu... Nie mogę tracić czasu... tracić...

Arthur przebudził się raptownie. Promienie słońca wpadały przez okno w jego sypialni. Przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie jest ani co się stało, potem mgła zaczęła się rozwiewać. Najwyraźniej padł jak kłoda – było już po dziesiątej.

We wtorek rano.

Arthur wyskoczył z łóżka. Po wczorajszym pożarze i epidemii szkoła z pewnością była zamknięta. Nie szkołą się jednak przejmował. Ponury Wtorek mógł działać już od wielu godzin, podczas gdy Arthur spał. Musiał się dowiedzieć, co się dzieje.

Kiedy dotarł na dół, okazało się, że domownicy albo wyszli, albo jeszcze śpią. Ze studia dobiegała cicha muzyka, co oznaczało, że ojciec Arthura, Bob, gra przy otwartych drzwiach. Chłopak zerknął na lodówkę i przeczytał, że mama ciągle tkwi w szpitalnym laboratorium. Jego brat Erie trenował koszykówkę na

tyłach domu i nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzano. Siostra Arthura, Michaeli, nie zostawiła żadnej wiadomości, więc najprawdopodobniej jeszcze spała.

Arthur włączył telewizor i nastawił na kanał informacyjny. Wciąż mówiono o „cudownym” wybawieniu od Sennego Pomoru, o ustaleniu w ciągu jednej nocy genetycznej struktury wirusa i o tym, że wielu chorych ocknęło się ze śpiączki przed wejściem w jej ostateczną, śmiertelną fazę. O pożarze w szkole także wspomniano. Był on bardzo dziwny, strawił wszystkie książki w bibliotece, nawet rozpuścił metalowe regały, budynek jednak właściwie nie ucierpiał, a ogień zniknął samoistnie, mniej więcej w tym samym czasie, w którym Arthur wkroczył do Domu.

Nadal obowiązywała kwarantanna, ale w obrębie miasta ludziom pozwalano się przemieszczać za dnia, jeśli mieli do załatwienia „ważne sprawy nie cierpiące zwłoki”. Posterunki kontrolne policji i federalnych władz Biokontroli sprawdzały wszystkich przechodzących. Arthur wciąż słyszał ciągły, głuchy warkot helikopterów, tworzących powietrzny kordon wokół miasta.

W wiadomościach nie było nic nowego, a przynajmniej nic, co Arthur mógłby uznać za dzieło Ponurego Wtorka. Wyłączył telewizor i wyjrzał przez okno. Jedyni ludzie, jakich dostrzegł, wbijali na trawniku domu po drugiej stronie ulicy tabliczkę z napisem SPRZEDANE.

Arthur uznał, że to nieco dziwne rankiem po alarmie

wszczętym w związku z zagrożeniem skażeniem biologicznym, który objął całe miasto.

Wyjrzał ponownie. Zobaczył drogi, czysty, nowy samochód, taki, jakimi zawsze jeżdżą agenci nieruchomości. Obok kręcili się dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach. Kiedy jednak Arthur na nich patrzył, jego oczy zaczęły łzawić i mgła zasnęła mu wzrok. Przetarł oczy i spojrzął znowu: teraz mężczyźni byli wyraźnie zdeformowani, a do tego znacznie niżsi i grubszy niż poprzednio. Jeden z nich wyglądał, jakby miał garb, ręce sięgały im niemal do kolan.

Arthur nie spuszczał z nich wzroku. Dwaj mężczyźni byli nieco niewyraźni, ale gdy skupił na nich uwagę, ujrzał, że ich garnitury płowieją. Te ubrania były iluzją, tak naprawdę nieznajomi mieli na sobie staroświeckie surduty z wielkimi mankietami, stare bryczesy, drewniaki i skórzane fartuchy.

Arthur poczuł, jak jego ciało przeszywa dreszcz. To nie byli agenci nieruchomości. To nawet nie byli ludzie. Miał do czynienia z Rezydentami Domu, być może nawet ze stworami powstałymi z Nicości.

Z agentami Ponurego Wtorka.

Cokolwiek miało się wydarzyć, już się rozpoczęło.

Arthur wbiegł na schody, przeskakując po trzy stopnie naraz. Zanim dotarł na szczyt, rzeził i trzymał się za bok. Wziął *Kompletny Atlas Domu* z pokoju i pognął na balkon na dachu.

Dwa... stwory, czy kim tam byli ci osobnicy,

skończyły właśnie wbijać tabliczkę z napisem SPRZEDANE, po czym wyciągnęły z auta drugą tabliczkę. Arthur nie bardzo wiedział, co na niej napisano, dopóki jej nie zamocowali i nie zeszli mu z pola widzenia. Przeczytał pogrubione, wysokie na trzydzieści centymetrów słowa, ale zrozumiał je dopiero po dłuższej chwili:

PRZEZNACZONE DO ROZBIÓRKI. WKRÓTCE OTWARCIE CENTRUM HANDLOWEGO „NOWA LIŚCIASTA POLANA”.

Centrum handlowe! Po drugiej stronie ulicy!

Arthur ułożył *Atlas* na kolanach i popatrzył na obu agentów. Nie spuszczać z nich wzroku, zacisnął dłonie na książce i zaczął myśleć o tym, żeby się otworzyła. Wcześniej potrzebny był do tego Klucz, ale Wola zapewniła chłopca, że przynajmniej kilka stron otworzy się bez jego pomocy.

Kim są ci ludzie? Czy to słudzy Ponurego Wtorka? Czym zawiaduje Ponury Wtorek w Domu? Myśli, jedna po drugiej, przelatowały przez głowę chłopaka, choć bardzo starał się skoncentrować na dwóch „agentach nieruchomości”.

Poczuł, że książka drży pod jego dłońmi, aż nagle otworzyła się z trzaskiem. Arthur omal nie fiknął kozła. Nawet gdy był na to przygotowany, zawsze go szokowało, że książka potrafi trzykrotnie zwiększyć swoją objętość.

Atlas otworzył się na pustej stronie, ale i to nie

zaskoczyło Arthura. Pojawiła się kropka atramentu, potem rozciągnęła się w kreskę. Niewidzialna ręka pospiesznie naszkicowała sylwetki dwóch agentów nieruchomości, lecz nie w iluzorycznych garniturach. Atlas pokazał ich takich, jakimi byli, kiedy Arthur spojrział na nich po raz drugi: nosili obszerne skórzane fartuchy, okrywające ich ciała od szyi aż po kostki. Na ilustracji jednak obaj mieli rozwidlone brody, a w dłoniach duże młoty.

Następnie niewidzialne pióro zaczęło pisać. Podobnie jak poprzednio, najpierw ukazał się dziwaczny alfabet i język, ale na oczach Arthura zmienił się w angielski, chociaż czcionka pozostała bardzo staroświecka:

Niezwłocznie po podzieleniu Ostatniej Woli Ponury Wtorek obrał kurs, który przysporzył wielu szkód Odległym Rubieżom Domu, stanowiącym przyznane mu terytorium. W przestronnym pomierzeniu, pierwotnie nazywanym Wielką Grotą, było głębokie źródło, z którego regularnie i pod kontrolą wytryskiwała na powierzchnię bulgocząca Nicość. Ponury korzystał z tych naturalnych dostaw Nicości, by przygotowywać surowce dla pomniejszych artystów, a także po to, by we własnym zakresie formować rozmaite przedmioty, kopiując obiekty stworzone przez Architektkę, jak również dzieła drugorzędnych istot z Poślednich Królestw. Im częściej jednak – Ponury kreował takie obiekty, tym

mocniej pragnął wytwarzać ich więcej, aby je sprzedać innym dniom, a nawet przeciętnym Rezydentom Domu.

Ograniczony ilością Nicości, która samoczynnie wpływała na powierzchnię źródła, Ponury postanowił wywiercić szyb kopalniany, aby wydobywać zasoby zasilające źródło. Szyb ten rozrósł się do kompleksu licznych tuneli, głębi i wyrobisk, aż wreszcie niemal całe Odległe rubieże przeobraziły się w gigantyczną studnię, przerażający wrzód, który zagraża samym fundamentom Domu.

Aby eksploatować rozrastającą się bezustannie kopalnię, Ponury Wtorek sprowadzał Rezydentów z innych rejonów Domu – odbierał ich pozostałym Dniom w ramach zapłaty za sprzedawane przedmioty. Tych Rezydentów czekał los niewiele lepszy od losu niewolników, gdyż musieli pozostać w kopalni, bez nadziei na uwolnienie.

W miarę jak powiększały się rzesze robotników, Ponury Wtorek potrzebował coraz więcej urzędników do sprawowania nad nimi nadzoru. Wbrew wszelkim obowiązującym w Domu prawom, zużywszy znaczne zasoby Nicości, Ponury zespolił w jebną całość swojego Jutrznika, Południka i Zmierzchnika, by potem powielić ich w postaci siedmiu istot. Zgodnie z hierarchią ważności są to: Jednora, Drugora, Trójca, Czwórca, Pędzium, Nędzium, Lędzium.

Określa się ich wspólnym mianem Szkaradziejów

Ponurego, gdyż każda istota z siódemki jest zdeformowana na swój sposób – jak wiadomo, Ponury potrafi wytwarzać jedynie marne kopie arcydzieł Architektki.

Dwaj Szkaradzieje na ilustracji to Trójca i Czwórca. Trójca jest służalczy, jego słowa są lepkie od lukru, lecz czyny niegodziwe i mściwe. Czwórca to mruk i okrutnik, przemawia tylko po to, by ranić, a cudze cierpienia sprawiają mu rozkosz.

Podobnie jak wszyscy Szkaradzieje, Trójca i Czwórca dysponują większą mocą niż większość Rezydentów, lecz są istotami niższymi w zestawieniu z Jutrznikami, Południkami i Zmierzchnikami pozostałych Dni. Strzeż się ich oddechu i zatrutych ostróg, ukrytych w kciukach.

Pomimo budzącej grozę deformacji i niezdarnego wykonania przez Ponurego Wtorka, Szkaradzieje pozostają niewolniczo wierni swemu panu i kochają go tak, jak psy kochają nawet najokrutniejszego właściciela. Ich serca wypełnione są ohydną mieszaniną nienawiści, strachu i uwielbienia.

Arthur popatrzył na dwóch Szkaradziejów po drugiej stronie ulicy. Wbili już tablicę PRZEZNACZONE DO ROZBIÓRKI i teraz wyciągali z auta jeszcze jedną, znowu z napisem SPRZEDANE. Gdy tak na nich spoglądał, coraz bardziej marszczył czoło i czuł napięcie w każdym mięśniu.

Jak to możliwe, że tak szybko kupują domy? Naprawdę zamierzają postawić tu centrum handlowe czy po prostu próbują mnie wystraszyć?

Dwaj służby Ponurego Wtoraka podeszli do trawnika przed domem Arthura. Chłopak nie spuszczał z nich wzroku, kiedy zaczęli wbijać tabliczkę. Nie mógł uwierzyć, że to robią, nie miał jednak pojęcia, w jaki sposób ich powstrzymać. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie rzucić im czegoś na głowę, ale szybko z tego zrezygnował. Szkaradzieje byli wyższymi Rezydentami Domu i z pewnością żadna broń Arthura nie mogła uczynić im krzywdy. Musiał coś zrobić!

Zamknął *Atlas* i pospiesznie upchnął skurczoną książeczkę w spodniach. Potem zbiegł po schodach, najszybciej jak potrafił.

Nie zamierzał dopuścić do tego, by zburzyli mu dom i postawili tu centrum handlowe!

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy Arthur zbiegał na dół, usłyszał, że muzyka w studiu nagle się urwała, a drzwi trzasnęły. Bob najwyraźniej również dostrzegł Szkaradziejów. Arthur usiłował krzyknąć, by ostrzec ojca, ale z jego ust wydobył się jedynie rzeżący szept:

– Nie, tato! Wracaj do pokoju.

Chłopak przeskoczył ostatnich pięć schodków i omal nie upadł. Gdy odzyskał równowagę, pognał przed siebie i wypadł przed dom, w samą porę, żeby zobaczyć, jak Bob zmierza przez trawnik ku Szkaradziejom. Arthur nigdy nie widział go tak wściekłego.

– Co wy tu wyprawiacie? – wrzasnął Bob.

– Tato! Wracaj! – krzyknął Arthur, ale ojciec albo go nie słyszał, albo był zbyt rozsierzony, żeby zwrócić na niego uwagę.

Trójca i Czwórca odwrócili się do Boba. Ich usta otwarły się szeroko, znacznie szerzej, niż gdyby zamierzali tylko coś powiedzieć.

– Ha! – odetchnęli.

Dwa gęste strumienie szarej mgły wypłynęły z ich otwartych ust. Chmura całkowicie pochłonęła Boba. Kiedy parę sekund później się rozwiała, tata Arthura stał w tym samym miejscu, ale już nie krzyczał. Podrapał się po głowie, po czym odwrócił się i minął Arthura. Miał szkliste, tępe spojrzenie.

– Co mu zrobiliście? – wrzasnął chłopak.

Żałował, że nie dysponuje Pierwszym Kluczem w formie miecza. Bez zastanowienia przeszyłby nim obu Szkaradziejów. Nie miał go jednak, a intuicja podpowiadała mu, żeby trzymał się blisko wejścia do domu, na wypadek, gdyby stworzenia ponownie zapragnęły zionąć mgłą.

Trójca i Czwórca ukłonili mu się nieznacznie, ledwie zdołał to zauważyć.

– Witaj, Arthurze, Lordzie Poniedziałku, Mistrzu Niższego Domu – powiedział Trójca. Miał zdumiewająco melodyjny, przyjemny głos. – Nie lękaj się o ojca. To była jedynie Szara Mgła, mgła zapomnienia, wkrótce ustąpi. Nie posługujemy się Ciemnym Oddechem, mgłą śmierci... chyba że musimy.

– Chyba że musimy – powtórzył Czwórca cicho.

Obaj się uśmiechali, ale Arthur słyszał w ich słowach zawołaną groźbę.

– Wracajcie do Domu – rozkazał im najbardziej władczym głosem, jaki mógł z siebie wydobyć. Było to nieco trudne, gdyż nie odzyskał jeszcze w pełni tchu, i ostatnie słowo wypowiedział szeptem. – Pierwotne Prawo zabrania wam tu być. Wracajcie!

W jego głosie zdawała się pobrzmiwać potęga Pierwszego Klucza. Obaj Szkaradzieje cofnęli się o krok, a spokój na ich twarzach zastąpiły grymasy, gdy usiłowali sprzeciwić się słowom Arthura.

– Wracajcie! – zawołał ponownie, wznosząc ręce.

Szkaradzieje znowu się cofnęli, po czym nagle zebrali siły i zamarli. Najwyraźniej Arthurowi brakowało autorytetu, czy też wystarczającej mocy, by zmusić obcych do odejścia, chociaż nieco wytrącił ich z równowagi. Obaj wytarli zroszone potem czoła brudnymi chusteczkami, które wzięły się nie wiadomo skąd.

– Słuchamy rozkazów Ponurego Wtorka – powiedział Trójca. – Tylko Ponurego. Wysłał nas tu, by odzyskać, co do niego należy. Ale to nie musi być nieprzyjemne dla ciebie ani dla twoich ludzi, Arthurze. Podpisz tylko dokument i już nas nie ma.

– Podpisz dokument i już nas nie ma – powtórzył Czwórca chrapliwym szeptem.

Trójca sięgnął do kieszeni surduta i wydobył długą, cienką, połyskującą białą kopertę. Popłynęła ku Arthurowi, jakby niesiona ręką niewidzialnego sługi. Chłopak złapał ją ostrożnie. W tej samej chwili Czwórca wyciągnął gęsie pióro oraz kałamarz. Szkaradzieje zrobili krok do przodu.

Arthur cofnął się z kopertą w dłoni.

– Najpierw muszę to przeczytać.

– Nie zawracaj sobie głowy – odezwał się Trójca. – To bardzo prosty dokument, akt notarialny. Jego mocą zdasz Niższy Dom i Pierwszy Klucz. Jeśli podpiszesz dokument, Ponury Wtorek zrezygnuje ze ściągania należności od ciebie i twojego ludu. Będziesz mógł tu żyć, w tym Poślednim Królestwie, równie beztrosko jak dotychczas.

– Beztróska jak dotychczas – zawtórował mu Czwórca ze znaczącym uśmieszkiem.

– Mimo to muszę go przeczytać – upierał się Arthur.

Nie cofnął się, choć Szkaradzieje podchodzili coraz bliżej. Charakterystycznie pachnieli: jak świeży deszcz na rozgrzanej asfaltowej jezdni. Nie był to nieprzyjemny zapach, ale ostry i odrobinę metaliczny.

– Najlepiej podpisać. – Głos Trójcy nagle zrobił się nieprzyjemny, choć stwór nie przestawał się uśmiechać.

– Podpisz – syknął Czwórca.

– Nie! – wrzasnął Arthur.

Odepchnął Trójcę prawą ręką, tą, w której zwykle trzymał Pierwszy Klucz. Gdy jego dłoń dotknęła piersi Szkaradzieja, pojawiło się wokół niej elektryzujące niebieskie światło. Trójca zachwiał się i cofnął, łapiąc Czwórcę, żeby odzyskać równowagę. Obaj Szkaradzieje zatoczyli się niemal na samą jezdnię. Tam się wyprostowali, usiłując przybrać pełne godności pozy. Trójca sięgnął do kieszeni fartucha i wyciągnął z niego duży jajowaty zegarek, który zadzwonił po otworzeniu wieczka. Trójca popatrzył na tarczę.

– Masz czas do południa, nim rozpoczniemy przejmowanie domu – krzyknął. – Nie zrezygnujemy jednak z przygotowań, a zwłoka nie obróci się na twoją korzyść!

Stwory wsiadły do auta, zatrzasnęły drzwi i odjechały w zupełnej ciszy. Arthur patrzył, jak samochód pokonuje mniej więcej dwadzieścia metrów, po czym

nagle niknie w załamującym się świetle, jak niespodziewana, mała tęcza po przelotnym deszczu.

Spojrzał na połyskującą białą kopertę. Mimo schludnego wyglądu była nieco oślizgła w dotyku. Jak mógłby zdać Pierwszy Klucz i Mistrzostwo Niższego Domu? Przede wszystkim tak trudno było je zdobyć. Ale nie mógł też narazić rodziny na cierpienia...

Rodzina. Arthur pobiegł do domu, by sprawdzić, co z Bobem. Trójca nie miał powodu kłamać, ale oddech Szkaradziejów wydawał się trujący.

Bob siedział w studiu. Arthur słyszał, że ojciec z kimś rozmawia, i był to dobry znak. Dźwiękoszczelne drzwi były częściowo uchylone, więc Arthur wetknął w nie głowę. Bob siedział przy jednym ze swoich pianin, z telefonem przy uchu, i palcami niespokojnie uderzał w basowy klawisz. Wydawał się całkiem zdrowy, ale nasłuchując, Arthur szybko uświadomił sobie, że choć działanie Szarej Mgły ustąpiło, Szkaradzieje faktycznie nie przerwali „przygotowań”.

– Jak ni z tego, ni z owego grupa może być nagle winna wytwórni dwanaście milionów dolarów? Po dwudziestu latach? – pytał Bob rozmówcę. – I tak zawsze z nas zdzierali. Sprzedaliśmy ponad trzydzieści milionów płyt, na litość boską! To niemożliwe, żeby...

Arthur wycofał się ostrożnie. Szkaradzieje dali mu półtorej godziny, zanim przystąpią do pełnego przejęcia, cokolwiek to oznaczało. Jednak nawet te wstępne ataki były bardzo niekorzystne dla jego rodziny.

Niewykluczone, że przyjdzie, im wszystkim mieszkać na ulicy, żyć z jałmużny...

Musiał powstrzymać nieprzyjaciół. Gdyby tylko miał nieco więcej czasu na zastanowienie się...

Więcej czasu na zastanowienie się.

To właśnie odpowiedź, pomyślał. Mógł zyskać czas, idąc do Domu. Mógł tam spędzić nawet tydzień i wrócić do własnego świata parę minut po tym, jak go opuścił. Mógł spytać Wolę i Południka (niegdyś Zmierchnika), co robić. I Suzy...

Nagle ze schodów zbiegła Michaeli z wydrukiem maila. Grymas na jej twarzy zapewne nie wynikał jedynie z niedostatku snu.

– Jakiś problem? – spytał Arthur z wahaniem.

– Zlikwidowali mój kurs – wyjaśniła skonsternowana. – Właśnie dostałam maila z oświadczeniem, że zamykają cały wydział, a budynek zostanie sprzedany na pokrycie długów uniwersytetu. Myślałam, że to dowcip, ale zadzwoniłam do profesora i do sekretariatu, i potwierdzili, że faktycznie! Mogli napisać list! Tato!

Pobiegła do studia. Arthur popatrzył na kopertę w swojej dłoni, zawahał się przez moment, po czym rozdarł ją z boku. W środku nie było osobnej kartki, wszystko zapisano na wewnętrznej stronie koperty. Arthur rozłożył ją i szybko przejrzał tekst, sporządzony płynnym, staroświeckim pismem odręcznym. Do napisania listu użyto ohydneho, żółtozielonego atramentu.

Tak jak się spodziewał, umowa była jednostronna i zdecydowanie niekorzystna dla niego. W zawiły sposób, jak wszystkie dokumenty z Domu, stwierdzała, że on, Arthur, powinien zrzec się Pierwszego Klucza i Władzy nad Niższym Domem na rzecz Ponurego Wtorka w ramach spłaty długów za dostarczenie Ponuremu Wtorkowi dóbr wymienionych w Aneksie A. Nie wspomniano jednak o tym, że po załatwieniu sprawy rodzina Arthura będzie miała spokój, ani nic w tym rodzaju.

Arthur nie widział też żadnego Aneksu A, ale kiedy skończył czytać tekst na rozpostartej kopercie, ta zadrżała i utworzyła się nowa strona. Pod nagłówkiem „Aneks A” wyliczono wszystko, co dawny Pan Poniedziałek lub któryś z jego sług kupił i za co nie zapłacił, w tym:

dziewięć grosów (1296) Metalowych Komisarzy, standardowy wzór;

tuzin Metalowych Strażników na zamówienie, przyjęta częściowa zapłata, do uiszczenia nadal pozostaje jedna ósma kwoty plus odsetki;

sześć wielkich grosów (10368) jednokwartowych srebrnych imbryków;

dwa obfitory (497664) stalówek drugiej jakości;

sześć grosów (864) rolek do drzwi w windach;

dwa wielkie grosy (3456) barierki do wind, brąz;

jeden lak (100000) paliwa do wind, zabezpieczone kanistry;

sto dwadzieścia dziewięć mil Drutu Ideowego,
Metałacznosc Telefoniczna;
jeden pomnik, Pan Poniedzialek, pozlacany braz,
rarytas;
siedemdziesiat siedem pomnikow, Pan Poniedzialek,
braz, standard;
dziesiec kwintali (waga tysieczna), metalowe ryby z
brazu, ognioodporne, polozywione;
jeden czarci tuzin (13) stojakow na parasole,
skamieniała stopa apatozaurusa.

Lista ciągnęła się w nieskończoność, nowe strony powstawały za każdym razem, gdy Arthur docierał do końca bieżącej. W końcu oderwał wzrok od tekstu, odwrócił kopertę i wepchnął ją do tylnej kieszeni spodni.

Przeczytanie listu niczego nie zmieniło, tyle że determinacja chłopaka, by nie podpisywać dokumentu, jeszcze wzrosła. Musiał jak najszybciej dostać się do Domu.

Chciał wyruszyć tam natychmiast, kiedy nagle przypomniał sobie o telefonie w pudełku z czerwonego aksamitu. Możliwe, że Wola zbierze parę groszy, żeby ponownie do niego zadzwonić, więc powinien wziąć go ze sobą.

Tym razem Arthur spokojnie wszedł po schodach. Nie sądził, żeby dopadł go ostry atak astmy, już by do tego doszło, ale wciąż miał duszności i przez cały czas brakowało mu tchu.

Aksamitne pudełko stało tam, gdzie je zostawił. Kiedy jednak Arthur chciał nakryć je wieczkiem, zobaczył, że w środku nic nie ma. Telefon zniknął. Na samym dnie pudełka leżał mały, bardzo gruby kartonik. Arthur podniósł go. Na kartoniku ukazały się słowa napisane podobną ręką jak tekst w *Atlasie*:

Telefon odłączono. W celu ponownego podłączenia proszę zadzwonić do Wyższego Domu, 23489-8729-13783.

– Jak? – spytał Arthur. Nie oczekiwał odpowiedzi, i słusznie, na kartoniku widniała ciągle ta sama informacja. Arthur wrzucił go do pudełka i wyszedł z pokoju.

Gdy znalazł się na schodach, w jego głowie znowu pojawiło się to pytanie. Jedno proste słowo, wywołujące tak wiele problemów.

Jak?

Jak mam się dostać do Domu? On już nie istnieje w moim świecie.

Arthur jęknął i załamał ręce. W tym samym momencie na schody wypadła Michaeli.

– Myślisz, że ty masz problemy? – warknęła, mijając brata. – Wygląda na to, że tata będzie musiał wyruszyć w trasę chyba na całą wieczność, a ja powinnam znaleźć sobie pracę. Ty musisz tylko chodzić do szkoły.

Zniknęła, zanim Arthur zdążył jej odpowiedzieć.

– Tak, to wszystko, czym muszę się przejmować! –

wrzasnął za nią.

Powoli schodził po schodach, intensywnie myśląc. Dom poprzednio przybrał widzialną postać i zajął kilka miejskich ulic. Zniknął jednak, gdy Arthur wrócił po pokonaniu Pana Poniedziałka. Może jednak ukazał się znowu, wraz z pojawieniem się Szkaradziejów?

Istniał tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć. Arthur szybko się rozejrzał, sprawdzając, czy nikt, zwłaszcza Szkaradzieje, nie patrzy, po czym wyszedł tylnymi drzwiami i wsiadł na rower.

Przy założeniu, że nie zostanie zatrzymany na posterunku kontrolnym, dojazd do miejsca, w którym niegdyś był Dom, zająłby mu tylko dziesięć minut. Gdyby budowla pojawiła się ponownie, spróbowaliby wejść przez Portal Poniedziałka albo może nawet przez Drzwi Frontowe.

Gdyby jednak Domu nie było, musiałyby wymyślić coś innego. W każdej chwili Szkaradzieje mogli wyrządzić okropną finansową krzywdę jego rodzinie, sąsiadom czy...

Arthur mocno przyspieszył, pedałowując wariacko, aż duszności kazały mu przestać.

Za jego plecami tablica z napisem SPRZEDANE zadrżała na trawniku i mocniej zaryła się w ziemię.

ROZDZIAŁ TRZECI

Domu nie było, nie pojawił się ponownie w świecie Arthura. Zamiast wielkiej, dziwacznej budowli chłopak widział tylko zwykłe podmiejskie domki z trawnikami i garażami.

Arthur objechał kilka ulic, w nadziei, że pozostały jakieś ślady Domu. Gdyby zobaczył choć jeden z dziwnych budynków gospodarczych albo przynajmniej fragment białego marmurowego muru, który przedtem otaczał budowlę, może zdołałby się jakoś dostać do środka. Nic tam jednak nie było, żadnego znaku, że Dom kiedykolwiek się tutaj znajdował.

Dziwnie się czuł, tak jeżdżąc dookoła i szukając czegoś, czego nie było. Ten niepokój pogłębiała jeszcze zupełna pustka na ulicach. Mimo że kwarantanny nie przestrzegano już tak ściśle, większość ludzi całkiem rozsądnie pozostała w domach, za zamkniętymi drzwiami. Arthura minął tylko jeden samochód, karetka. Odwrócił głowę w drugą stronę, na wypadek, gdyby była to ta sama, z której zwiął dzień wcześniej. Ucieszył się, kiedy się nie zatrzymała ani nawet nie zwolniła.

Gdy zakończył objazd ostatniej ulicy, wpadł w lekką panikę. Czas uciekał. Był już kwadrans po jedenastej. Zostało mu tylko czterdzieści pięć minut na wejście do Domu, nie miał jednak pojęcia, jak to uczynić.

Kilka porośniętych mchem ogrodowych kamieni

przypomniało mu Niebywałe Schody. Ta dziwna konstrukcja łączyła każde miejsce między Domem a Poślednimi Królestwami. Schody jednak były podstępne, istniało spore niebezpieczeństwo, że ktoś, kto z nich korzysta, dostanie się gdzieś, gdzie wcale nie chciałby się znaleźć. Należało ich używać tylko w razie konieczności. Nawet wtedy jednak nie zdołałby po nich wejść bez pomocy Klucza.

Musiała istnieć inna droga. Może gdyby zdołał dotrzeć do kwatery Szkaradziejów, znalazłby wejście do Domu...

Nagle dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Obrócił głowę, zaniepokojony. Coś mu się nie spodobało. Coś, co sprawiło, że poczuł mrowienie w karku i za uszami.

Znowu jakiś kształt przebiegł przez ogród domu naprzeciwko. Najpierw dał susa od skrzynki pocztowej do drzewa, potem od drzewa do auta na podjeździe.

Arthur położył nogę na pedale, gotów natychmiast odjechać, i patrzył. Przez chwilę nic się nie działo. Wszędzie panował spokój, powietrze przeszywał jedynie bezustanny warkot helikopterów patrolujących tę część miasta.

Coś poruszyło się znowu; Arthur patrzył, jak wyskakuje zza auta i daje susa w kierunku hydrantu. Miało rozmiary i wygląd królika, ale było zrobione z czegoś w rodzaju różowej galaretki, która zmieniała kształt i trzęsła się przy każdym ruchu.

Arthur zsiadł z roweru, położył go i wyjął z kieszeni

Atlas, przygotowując się na jego nagłe otwarcie. Nie podobało mu się dziwne stworzenie, domyślał się, że to Nicoń. Przynajmniej ten był spokojny, jedynie krył się i przemykał.

Arthur widział łapę wystającą z za hydrantu. Rozpuściła się powoli i kilkakrotnie zmieniła kształt. Najpierw zmieniła się w szpon, potem w coś na kształt ręki. Arthur skoncentrował się na tym widoku, mocno ściskając okładkę z zielonego materiału.

Co się kryje za hydrantem?

Atlas otworzył się zniechęca. Mimo że Arthur był na to przygotowany, zachwiał się i omal nie upadł na rower.

Tym razem niewidzialny skryba pisał szybko i od razu po angielsku, rozchlapując atrament na całą stronę:

Sponiewierak! Więcej!

Arthur uniósł wzrok. Sponiewierak kicał ku niemu. Już nie był mały i niewinny, mierzył teraz prawie dwa i pół metra wzrostu i wyglądał jak cienka człekokształtna postać, której ramiona nie kończyły się dłońmi, ale rozdzielały na setki przypominających wstążki macek. Wyciągnięte ku chłopcu, przecięły powietrze tuż przed jego twarzą, choć stwór znajdował się jakieś pięć metrów od niego.

Nie było czasu na podnoszenie roweru. Arthur uskoczył przed mackami i rzucił się biegiem przed siebie, z otwartym *Atlasem* pod pachą. Księga zamknęła się i

skurczyła, kiedy biegł, ale nawet nie próbował wepchnąć jej do kieszeni. Nie mógł się zatrzymać, gdyż wtedy któraś z macek by go dosięgła. Mogły przecież żądlić, paraliżować albo mocno go przytrzymać, a Sponiewierak zrobiłby to, co zamierzał...

Te myśli poniosły chłopca aż na koniec ulicy. Zawahał się przez chwilę, niepewny, w którą stronę skręcić, aż *Atlas* pociągnął go w prawo. Arthur instynktownie pobiegł w tamtą stronę. *Atlas* znowu pociągnął go na następnym rogu i raz jeszcze, trochę później, kierując chłopca na częściowo ukrytą dróżkę. Arthur uświadomił sobie, że długo nie utrzyma tego tempa. Po pobycie w Domu jego płuca miały się lepiej, ale nie był całkiem zdrowy. Teraz rzeził okropnie, a ucisk w prawym boku rozprzestrzenił się na lewy. Biegł znacznie szybciej niż kiedykolwiek dotąd, toteż był już bardzo zmęczony.

Zwolnił nieco, kiedy wbiegł na ścieżkę, i obejrzał się przez ramię. Nigdzie nie widział Sponiewieraka. Zatrzymał się, dysząc ciężko. Rozejrzał się dookoła. Myślał, że zmierza ku domowi, ale w panice obrał inny kierunek. Teraz nie miał pojęcia, gdzie się znajduje i gdzie się schronić.

Kątem oka ujrzał, że coś mignęło – obrócił się na pięcie. Sponiewierak powrócił do małego, płynnego kształtu, znów się krył. Był jakieś trzydzieści metrów dalej, chował się za rozmaite przedmioty i pomykał między nimi.

Arthur nawet nie był pewien, czy ma do czynienia z Niconiem. Być może było to coś całkiem innego, coś, co stworzył Ponury Wtorek, a nasłali Szkaradzieje. Musiał wiedzieć więcej, ale nie odważył się zajrzeć do *Atlasu*, kiedy to coś skradało się ku niemu. Musiał się gdzieś skryć.

W chwili gdy odwrócił wzrok, Sponiewierak wypadł zza stosu kostki brukowej obok nie dokończonej ścieżki. Dłuższa od innych macka drasnęła wierzch dłoni Arthura, gdy zerwał się do ucieczki. Była niewiele grubsza od sznurowadła, ledwie poczuł jej dotyk, ale zerknął na dłoń i ujrzął, że krew spływa po niej obficie.

Arthur był już w połowie zadbanego trawnika, kiedy ktoś z pobliskiego domu zawołał go po imieniu.

– Arthur?

Znał ten głos. Należał do Liść, dziewczyny, która pomogła mu, gdy miał ciężki atak astmy, i której brat oraz reszta rodziny znaleźli się wśród pierwszych ofiar Sennego Pomoru. Widzieli się przez moment poprzedniego dnia, gdy wędrował po Niebywałych Schodach. Arthur nie miał pojęcia, gdzie mieszka Liść, ale teraz stała na ganku pobliskiego domu i patrzyła na niego ze zdumieniem. A może patrzyła na Sponiewieraka...

– Uważaj! – krzyknęła.

Arthur zmienił kierunek i ledwie uniknął macek Sponiewieraka. Przeskoczył przez niski murek z cegły, stratował cenny ogródek warzywny rodziców Liść,

wbiegł na schodki jej domu i wpadł przez drzwi wejściowe. Liść zamknęła je za nim. Moment później rozległ się hałas, jakby deszcz bębnił o dach – było to uderzenie setek macek o ciężkie drzwi.

– Ręka ci krwawi! – wykrzyknęła Liść, zamykając potężną zasuwę. – Przyniosę bandaż...

– Nie ma czasu! – wydyszał Arthur. Stracił sporo krwi, ale powoli przestawała kapać.

Otworzył *Atlas*, ignorując jego nagły rozrost.

– Muszę... sprawdzić... jak.... walczyć – wycharczał.

Znowu usłyszeli bębnienie. Liść jęknęła i odskoczyła, kiedy kilka macek rozerwało uszczelkę pod drzwiami i wśliznęło się do środka. Chwyciła parasol, otworzyła go i zaczęła dźgać macki, ale szybko jej go wyrwały i podarły. Coraz więcej macek przedostawało się przez drzwi. Potem nagle zaczęły piłować.

– Rozcinają drzwi! – krzyknęła Liść.

Przewróciła roślinę w ciężkiej ceramicznej donicy i popchnęła ją ku drzwiom. Macki Sponiewieraka na chwilę utknęły w rozsypanej ziemi, po czym powróciły do piłowania. Drzwi miały stalową ramę, macki jednak poradziły sobie z nią bez trudu.

Arthur skoncentrował się na *Atlasie*.

Jakie są słabości tego potwora? Jak go pokonać?

Na otwartej stronie pojawił się kleks, ale nie został starty. Słowa wykwiwały szybko, od razu po angielsku i w łacińskim alfabecie. Kaligrafia też pozostawiała sporo do życzenia.

Sponiewieraki to wyjątkowo nieprzyjemny typ Nicości. Wylaniają się z najwęższych pęknięć oraz szczelin i zwykle są miernej postury. W poślednich Królestwach na ogół zyskują większe i bardziej wyraziste kształty, gdyż konsumują krew albo wysięk z miejscowych istot. We wczesnych fazach przybierają rozmaitą postać, zawsze jednak mają kilka członków zakończonych bardzo cienkimi mackami, które z kolei wyposażone są to cieniutkie i niezwykle ostre ząbki. Sponiewieraki wykorzystują ząbki do ranienia ofiar, które zwykle w efekcie ataku padają nieprzytomne. Sponiewieraki chłepcą wypływającą krew...

– Arthur! Drzwi!

– Jak pokonać Sponiewieraka? – wrzasnął Arthur z furją.

Sponiewieraki nienawidzą srebra, podobnie jak rutenu, rodu, palladu, osmu, irydu i platyny. Łowcy Sponiewieraków zwykle wykorzystują srebrny proszek wydmuchiwany przez...

– Srebro! Macie jakieś srebro? – wydyszał chłopak, zamykając *Atlas*.

W tej samej chwili Liść złapała go za ramię i zaciągnęła do kuchni. Zatrzasnęła drzwi kuchenne i rzuciła się ku lodówce, żeby ją przepchnąć. Arthur

schował *Atlas* do kieszeni i złapał lodówkę z drugiej strony, starając się odsunąć ją od ściany. Koszmarny dźwięk rozłupywanego drewna nagle ucichł.

– Jest w środku!

Ledwie przystawili lodówkę do drzwi, od razu się zakołysała. Macki przebiły się przez cienkie drzwi kuchenne i zaczęły się rozpełzać po jej stalowych bokach.

– Srebro! Srebro go zabije! – powtórzył gorączkowo Arthur. Otworzył pierwszą z brzegu szufladę, ale zobaczył jedynie wykałaczki i drewniane przybory. – Srebrny widelec załatwi sprawę!

– Nie mamy nic z metalu! – krzyknęła Liść. – Rodzice nie używają metalowych sztućców!

Kilka macek oderwało drzwi lodówki i cisnęło je na ziemię. Jeszcze więcej macek złapało za jej boki i lodówka przesunęła się po podłodze ze zgrzytem metalowych nóżek na kafelkach.

– Bizuteria! – wykrzyknął Arthur, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu czegoś ze srebra. – Musisz mieć jakieś srebrne kolczyki.

– Nie. – Liść energicznie pokręciła głową. Jej kolczyki się zakołysały, ale nie towarzyszyło temu pobrząkiwanie. Zrobiono je z ceramiki i drewna.

Kolejny zgrzyt o sekundę wyprzedził upadek lodówki. Arthur odskoczył i pobiegł za Liść, która już była za drzwiami po drugiej stronie kuchni. Zatrzasnął je za sobą, ale nie miały zamka, i wnioskując z ich wagi, poradziłyby sobie z nimi zdeterminowana pięść, nie

wspominając już o mackach z innego świata.

– Chodź! – wrzasnęła Liść. Zbiegła po betonowych schodkach prowadzących do drzwi z tyłu domu. Arthur podążał tuż za nią. – Wiem, gdzie mamy srebro!

Tylne drzwi prowadziły do garażu, w którym z całą pewnością nigdy nie stało żadne auto. Garaż służył jednocześnie za szklarnię i za składzik, torby z ziemią do roślin sąsiadowały z pudłami, na których wypisano daty i zawartość.

– Szukaj pudła z napisem „Medale” albo „Skoki narciarskie” – przykazała Arthurowi Liść, popychając go. Odwróciła się i zamknęła drzwi kluczem wziętym z podstawki na wodę, przymocowanej do wiszącej doniczki.

Właśnie wyjmowała klucz z zamka, kiedy kilka macek przebiło się przez drzwi i zahaczyło o jej ramię. Cięcia były głębokie i Liść się zachwiała. Szok sprawił, że całkiem zamilkła. Potknęła się o tacę z nasionami i usiadła ciężko na worku z piachem.

Arthur zrobił krok w jej kierunku, ale pomachała niecierpliwie ręką, po czym przycisnęła ją do rany, żeby zatamować krwawienie.

– Srebrne medale – wykrztusiła. – W pudle, tata sporo ich zdobył. To znaczy za drugie miejsce... w skokach narciarskich. Zanim poznał mamę i został neohipisem. Szybko!

Arthur zerknął na drzwi. Sponiewierak przebijał się przez nie równie łatwo jak przez drzwi wejściowe do

domu. Chłopak miał niespełna minutę na znalezienie medali, może nawet mniej.

Szybko przeglądał napisy na pudełkach – daty i zawartość fruwały mu przed oczyma. Zabawki dzieci sprzed dziesięciu lat, encyklopedia, obrazy ciotki Mango, zeznania podatkowe, skoki...

Coś rozłupało się za jego plecami; usłyszał cichy jęk Liść.

Wreszcie chwycił pudło z napisem „SKOKI”, przy okazji strącając trzy inne. Runęły mu na stopę, ale zignorował ból i zaczął grzebać w kartonie. Wypadły z niego małe pudełeczka z aksamitu. Arthur chwycił jedno, otworzył je, złapał medal, przyklęknął na jedno kolano i rzucił krążkiem w Sponiewieraka, który właśnie pokonywał drzwi.

Medal trafił w chudą postać, kiedy wetknęła głowę do pomieszczenia. Zaskoczony Sponiewierak zrobił krok do tyłu, ale medal spokojnie ześliznął się po jego piersi i nic się nie stało.

– Złoto! – pisnęła Liść.

Arthur już sięgał po następny medal. Tym razem otworzył pudełko i wyrzucił jego zawartość jednym płynnym ruchem. Coś srebrnego błysnęło w powietrzu, gdy Sponiewierak ruszał przed siebie. Medal trafił go z satysfakcjonującym plaśnięciem, ale się nie ześliznął. Przywarł i zaczął skwierczeć, niczym sadzone jajo na rozgrzanej patelni.

Sponiewierak wydał żaloszny jęk i zgiął się wpół. Po

chwili znów był wielkości królika, ale zupełnie go nie przypominał. Wyglądał jak bezkształtna różowa masa, na której wciąż skwierczał srebrny medal. Arthur i Liść patrzyli, jak z masy wydobywa się czarny dym – krążył dookoła, ale nie wznosił się ani nie rozwiewał. Nagle Sponiewierak zniknął, a srebrny medal zagrzechotał na podłodze, obracając się wokół własnej osi.

– Co z twoją ręką? – spytał Arthur niespokojnie, zanim medal znieruchomiał. Widział krew sączącą się przez palce Liść. Dziewczyna była bardzo blada.

– W porządku. Pod zlewem w kuchni jest apteczka. Przynieś ją i telefon. Co to było?

– Sponiewierak! – krzyknął Arthur przez ramię, biegnąc do domu.

Znalazł apteczkę, telefon i wrócił biegiem. Bardzo się bał, że zastanie trupa Liść na garażowej podłodze. O dziwo, rana na jego dłoni całkiem się zasklepiła. Choć wcześniej przez kilka minut nieustannie krwawiła, teraz ledwie dostrzegał ślad po niej. Natychmiast zapomniał o ranie, gdy wpadł do garażu przez zgruchotane drzwi.

Oczy Liść były zamknięte, ale otworzyła je od razu, gdy Arthur ukląkł przy niej.

– Sponiewierak? Co to takiego?

– Nie wiem dokładnie – odparł. Otworzył apteczkę i przygotował opatrunek oraz bandaż, zadowolony, że w zeszłym roku skończył kurs pierwszej pomocy. – Uciskaj, dopóki nie będę gotowy... Dobra, puszczaj.

Szybko zabandażował rany na ręce Liść, ciągnące się

od łokcia do przegubu. Straciła sporo krwi, ale na szczęście nie była to krew tętnicza. Życiu Liść nic nie zagrażało, chociaż potrzebowała profesjonalnej pomocy.

Podniósł słuchawkę i wykręcił 999, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Liść wyrwała mu telefon. Szybko powiedziała coś do słuchawki, kręcąc głową, kiedy Arthur usiłował ją jej odebrać.

– Nie możesz dzwonić – powiedziała, kiedy już się rozłączyła. – Ja coś wymyślę. Ty musisz iść do...

Zamknęła oczy i zmarszczyła czoło.

– Idź do starej papierni Yeatsa nad rzeką. Wejdź pod nią i przedostań się do Domu.

Wyglądało na to, że Liść powtarzała cudze słowa.

– Co? – spytał Arthur. *Atlas* doprowadził go do dziewczyny, ale... – Jak to... Co... ?

– Dziewczyna ze skrzydłami, ta, która była z tobą wczoraj – odparła Liść powoli. Najwyraźniej była w szoku. Arthur wyjął płaszcz z jednego z przewróconych pudeł i okrył nim Liść. – Chyba straciłam przytomność, a ona jakby siedziała koło mnie. Powiedziała mi to, co ci właśnie powtórzyłam. Mówiła więcej, ale obudziłeś mnie w chwili, gdy coś tłumaczyła.

– Papiernia Yeatsa? – spytał Arthur. – Mam pod nią wejść?

– Tak. – Skinęła głową. Znowu przymknęła oczy. – To nie pierwszy realistyczny sen. Moja praprababka była czarownicą, pamiętaj.

Arthur popatrzył na zegarek. Jedenasta trzydzieści

dwie. Miał niespełna pół godziny, a papiernia znajdowała się co najmniej półtora kilometra stąd. Nawet nie wiedział, gdzie jest jego rower. Nie zdoła dostać się do Domu, zanim Szkaradzieje wcielą w życie swój plan.

– Nie zdążę – mruknął do siebie.

– Weź rower Eda – wyszeptała Liść, wskazując czarno-czerwony rower wyścigowy ustawiony między trzema masywnymi góralami. – Ed jeszcze przez kilka dni nie wróci ze szpitala.

Arthur wstał, ale się zawahał. Czuł, że powinien poczekać na sanitariuszy.

– No idź – popędziła go Liść. Lekko poklepała się w czoło. – Będą tu za parę minut. Mówię ci.

Arthur wciąż się wahał, kiedy nagle usłyszał odległy, powoli nasilający się ryk syreny.

– To nie jasnovidzenie – Liść uśmiechnęła się do niego. – Mam świetny słuch.

– Dzięki – powiedział Arthur. Pobiegł po rower i poprowadził go do drzwi garażu. Brak elektrycznego napędu nieco go zaskoczył, ale po chwili sam zdołał otworzyć drzwi.

– Ej, Arthur! – zawołała Liść, kiedy wsiadał na rower. Jej głos był tak słaby, że przypominał szept. – Obiecuj, że powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

– Powiem – odparł.

Jeśli będę miał taką szansę, pomyślał.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Arthur pedałowal jak szalony, potem jechał siłą rozpędu, aby odsapnąć, po czym znowu w szaleńczym tempie kręcił pedałami. Nie miał pewności, czy uda mu się odzyskać dech, gdyż dławił się tak jak dawniej, a jego płuca nie chciały wciągać powietrza. Za każdym razem, gdy przestawał oddychać, po chwili następował przełom i klatka piersiowa ponownie zaczynała się unosić i opadać. Płuca, w szczególności prawe, zachowywały się krnąbrnie: pomimo jego starań odmawiały współpracy i nagle się odtykały.

Podczas jazdy starał się nie spoglądać na zegarek, ale mimowolnie zerkał na błyszczącą tarczę i widział, jak minutowa wskazówka szybko zbliża się do dwunastki. Kiedy dotarł do wysokiej siatki ogrodzeniowej wokół papierni Yeatsa, była już jedenasta pięćdziesiąt. Miał tylko dziesięć minut i nie wiedział, jak się przedostać na drugą stronę ogrodzenia, nie wspominając już o wchodzeniu pod starą papiernię – cokolwiek zresztą to oznaczało.

W siatce nie było zauważalnych dziur, a na bramie wisiał łańcuch z kłódką, więc Arthur nie tracił czasu na poszukiwania. Oparł rower Eda o ogrodzenie, wdrapał się na siodelko i podciągnął na jednym ze słupków. Skaleczył się o rozpięte na szczycie stare, pordzewiałe druty kolczaste, ale przerzucił ciężar ciała na drugą stronę i

zeskoczył na ziemię. Wyprostował się i dotknął dłonią kieszeni koszuli, aby mieć pewność, że się nie oderwała razem z *Atlasem*. W ten sposób raz już stracił cenną książkę i nie zamierzał ponownie się z nią rozstawać.

– Pod papiernią... pod papiernią... – mruzczał do siebie, biegnąc po splekany beton starego parkingu w kierunku potężnego budynku z cegły, z sześcioma gigantycznymi kominami. W papierni Yeatsa nie produkowano papieru od co najmniej dziesięciolecia i cały zakład czekał na przebudowę, która dotąd nie nastąpiła.

Pewnie powstanie tu centrum handlowe, myślał z goryczą.

Gdzieś pod budynkiem musiał się znajdować magazyn albo innego rodzaju pomieszczenie, tylko jak Arthur miał znaleźć drogę na dół?

Dysząc, podbiegł do najbliższych drzwi w polu widzenia, lecz były zamknięte na łańcuch i kłódkę. Kopnął je, drewno jednak trzymało się mocno. Pobiegł wzdłuż muru do następnych drzwi. Tym razem łańcuch nie był niczym spięty. Chłopak pchnął drzwi i lekko je uchylił, by wśliznąć się do środka.

Nie wiedział, czego oczekiwać, ale nie przypuszczał, że ujrzy tak przestronne, otwarte pomieszczenie. Wszystkie stare urządzenia oraz wielkie sterty gruzu z dawnych ścian działowych zepchnięto na boki, pozostawiając pośrodku wolną przestrzeń wielkości boiska do piłki nożnej. Słupy światła spływały z góry

przez duże świetliki oraz liczne dziury w cynowym dachu.

Na uprzątniętej podłodze przycupnęła osobliwa maszyna. Arthur momentalnie zrozumiał, że przedmiot pochodzi z Domu i nie jest zabytkiem dawnego papiernictwa. Urządzenie miało rozmiary autobusu i przypominało skrzyżowanie lokomotywy parowej oraz automatycznego pająka o ośmiu kilkunastometrowej długości kończynach. Każda z nich była podzielona na połączone stawami segmenty i wyrastała z bulwiastego, cylindrycznego tułowia, czyli bojlera z cienkim kominem u jednego końca.

Odnóża wykonano z czerwonego metalu, który lśnił przytłumionym blaskiem w miejscach, na które nie padały promienie słoneczne, za to kocioł miał intensywnie czarną barwę, a czerń pochłaniała światło i nie odbijała go.

Obok mechapająka stało kilka wielkich butli z takiego samego czarnego metalu. Każda z nich była wyższa od Arthura i miała średnicę ponad jednego metra.

Chłopak podkradł się do sterty gruzu i ponownie rozejrzał. Nie zauważył nikogo, więc pomknął do następnego stosu, a potem do kolejnego. Gdy znalazł się na wysokości maszyny, ze zdziwieniem ujrzał obok niej zwyczajne biurko. Na blacie stał ogromny ekran plazmowy, a pod nim komputer. Arthur zauważył mrugającą na nim zielenią lampkę. Urządzenie funkcjonowało, chociaż przewód elektryczny leżał zwinięty na betonowej podłodze, nie przyłączony do

żadnego źródła zasilania. Na ekranie widniały wykresy oraz rzędy liczb.

Arthur zamierzał podejść bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć, kiedy zza bojlera wyszedł Szkaradziej. Chłopiec nie był pewien, czy ma przed oczyma jednego z dwóch stworów, które widział wcześniej. Osobnik nie był już ubrany we współczesny garnitur. Nosił skórzany fartuch, pokryty plamami, które przypominały ślady po ogniu. Z kieszeni na przedzie okrycia wystawały rozmaite narzędzia.

Arthur dał susa za kopiec porozbijanych cegieł i znieruchomiał. Szkaradziej nucił pod nosem, podnosząc z podłogi pokaźne obcęgi z długimi ramionami i podchodząc do ciemnych butli.

– Jedna, druga, trzecia machloja i cała giełda już jest moja...

Przy wtórze głośnego pochrząkiwania i szurania nogami Szkaradziej podniósł gigantyczną butlę i ostrożnie przystawił ją do bojlera. Na chwilę odłożył zbiornik i otworzył klapkę, która znajdowała się niemal na poziomie ziemi, bezpośrednio pod kominem. Następnie istota wyciągnęła z kieszeni fartucha rękawice, obcisły kaptur oraz gogle z przyciemnionymi soczewkami z kwarcu. Włożyła je i znowu sięgnęła po obcęgi, które wykorzystwała do ustawienia butli w takiej pozycji, aby jej szyjka zetknęła się z otworem w bojlerze.

Potem stwór przemówił. Wypowiedział trzy słowa w nie znanym Arthurowi języku. Ich brzmienie sprawiło, że

chłopca przeszył dreszcz, od podeszew stóp aż po kręgosłup. Pod wpływem tych słów pękła ciężka lakowa pieczęć na butli, której zawartość przeniknęła do bojlera.

Butla zawierała Nicość. Arthur ujrzał ciemne, oleiste opary, przypominające zarazem płyn i dym. Większość substancji znikła w bojlerze, lecz kilka smużek, wijąc się, popłynęło ku Szkaradziejowi, który natychmiast się cofnął, rzucił obcegi i dobył połyskujące kryształowe ostrze, roziskrzzone elektrycznymi wyładowaniami.

Oswobodzona Nicość zaczęła wirować i układać się w spiralę, przybierając wyraźne kształty. Z początku wyglądało na to, że przeobrazi się w zwierzę podobne do tygrysa, z pazurami u łap i żębiskami w paszczy. Ostatecznie jednak zmieniła się w sylwetkę człekopodobną, która zamiast rąk miała liczne macki.

Sponiewierak!

Szkaradziej schował kryształowe ostrze i ze środkowego palca ściągnął jeden z wielu pierścieni. Gdy Sponiewierak był już całkiem wyraźny rzucił się przed siebie, a wówczas Szkaradziej cisnął w niego pierścieniem. Sponiewierak dostał prosto w twarz. Arthur ponownie usłyszał skwierczenie, a moment później Nicoń znikł. Pierścień odbił się od podłogi i zadźwięczał ostro i wyraziście jak srebrny dzwonek.

Szkaradziej roześmiał się i schylił, aby podnieść ozdobę. Arthur skorzystał z okazji i podbiegł do następnej sterty gruzu. W jednej chwili Szkaradziej się odwrócił, a w jego dłoni znowu zabłyśło kryształowe ostrze. Chłopak

cofnął się instynktownie, lecz stwór nie ruszył do ataku. Na jego twarzy wykwitł uśmiech, Szkaradziej szerokim gestem dłoni wskazał maszynę.

– Zatem Mistrz Niższego Domu przybył obejrzyć moje niezwykle urządzenie – przemówił. – Zakładam, że interesuje cię demonstracja? Przedsmak tego, co się zdarzy o dwunastej?

Szkaradziej podszedł do urządzenia i przekręcił duże koło z brązu. Z bojlera wydobył się pisk, narastający przy każdym obrocie koła. Z komina nieoczekiwanie wypłynął dziwaczny dym, szary, powolny i gęsty, upstrzony drobinami głębokiej czerni. Dym się unosił, pisk stawał się coraz donośniejszy, aż w pewnej chwili ramiona maszyny dźwignęły się wysoko w górę, po czym zaczęły drzeć i trząść całym urządzeniem.

Zaniepokojony Arthur rozejrzał się wokoło. Cokolwiek robiła maszyna, nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego. Musiał znaleźć drogę do Domu!

– Ropa piętnaście procent w górę! – krzyknął Szkaradziej i wypowiedział inne słowo, od którego Arthurowi nagle zrobiło się słabo. W odpowiedzi pajęcze odnóża znieruchomiały na chwilę, a potem zaczęły tańczyć rytmicznie, hipnotyzująco. Gdy się poruszały, z ich ostrych czubków tryskały iskry, które pozostawiały jasne smugi przed oczyma Arthura. Jaskrawe ślady z grubsza przypominały matematyczne wzory i symbole, lecz chłopiec nie rozpoznawał żadnego z nich.

Wykresy nagle znikły z plazmowego ekranu, zastąpił

je napis: „Wiadomość z ostatniej chwili”. Chwilę później na monitorze pojawiła się twarz spikerki, a u dołu ekranu zaczął się przesuwac pasek ze słowami: „Szokujący wzrost cen ropy naftowej”. Arthur nie potrafił zrozumieć słów prezenterki, zagłuszanych przez piszczącą maszynę oraz bzyczenie i szum jej ramion. Mógł się jednak domyślić, co kobieta ma do powiedzenia.

Osobliwy mechanizm Szkaradzieja w niepojęty sposób wywindował ceny ropy naftowej o piętnaście procent.

– Jakimi akcjami dysponuje twój ojciec? – spytał Szkaradziej z rechem. Wyciągnął z kieszeni fartucha kartkę papieru i zerknął na nią. – Och, no pewnie. Musie SupaPlanet, pięćdziesiąt procent w dół!

Ponownie wymówił dziwne słowo, od którego po stawach Arthura przetoczyła się fala bólu. Pajęcze odnóża zamarły i po chwili rozpoczęły inny taniec, zgodny z tajemniczymi wzorami w smugach światła.

Arthur potrzęsnał głową, aby uniknąć poświaty jaskrawych iskier i dojść do siebie po zasłyszanych słowach. Gdy otrząsnął się po raz drugi, ujrzał coś, co przykuło jego uwagę. U podstawy jednego z wielkich fabrycznych kominów znajdowały się małe drzwiczki. Był to metalowy właz kontrolny, lekko uchylony.

Kominy sięgają pod ziemię. To musi być droga na dół.

Podbiegł do włazu. W jego uszach zabrzmiał głos Szkaradzieja, słyszalny nawet przez piski maszyny i

rozchodzący się echem po całym pomieszczeniu.

– Northern Aquafarms, dwadzieścia pięć procent w dół!

Arthur dopadł do włazu. Gdy go otwierał, pisk maszyny nagle przycichł. Chłopak się obejrzał i zobaczył, że Szkaradziej obserwuje go ze złowrogim błyskiem w oku.

– Idź, dokąd chcesz, Mistrzu Niższego Domu – zachęcił Arthura. – Maszyna zatrzymała się tylko dlatego, że potrzebuje paliwa, którego jej wkrótce dostarczę!

Arthur zadrżał, pochylił głowę i wgramolił się do środka komina. Ledwie znalazł się za drzwiczkami, usłyszał okrzyk Szkaradzieja. Stwór wypowiedział słowo, od którego Arthura rozboleły zęby i kości, i zatrzaskał za chłopcem włącz, całkowicie odcinając dopływ światła.

Tuż przed zamknięciem Arthur zauważył, że średnica komina sięga co najmniej dziesięciu metrów, a wokół jego wewnętrznej ściany biegną w dół kręcone, wydeptane schody. W całkowitych ciemnościach chłopak ruszył po omacku na dół. Musiał uważać, aby przypadkiem nie nadepnąć całym ciężarem ciała na brakujący stopień. Nie po raz pierwszy żałował, że nie ma przy sobie Pierwszego Klucza – czarodziejski przedmiot ułatwiał mu życie na wiele sposobów.

Wreszcie dotarł na sam dół. Podłoże było zalane wodą, podchodziła Arthurowi do kostek. Nieopodal płynęła rzeka. Chłopak pomyślał niespokojnie, że zapewne znajduje się poniżej jej poziomu. W absolutnych

ciemnościach poczuł się nieswojo ze świadomością, że nurt mógłby nagle go zatopić.

Gdzieś w pobliżu powinno się znajdować jakieś wyjście, droga do Domu. Tylko czy na pewno? Arthur nabrał przekonania, że został zwabiony w pułapkę. Może był to zwykły komin, a on dał się do niego wprowadzić jak kompletny głupiec.

A jeśli Szkaradziej wpuści tu więcej wody? Czy jej poziom już się podnosi?

Arthur ruszył po omacku wzdłuż ściany, dotykając jej dłońmi i ostrożnie stąpając. Wpadał w panikę. Zimna woda źle wpływała na jego oddech. Czuł ucisk w prawym płucu, a lewe ciężko pracowało, wzięwszy na siebie obowiązki mniej sprawnego towarzysza.

Dłoń Arthura natrafiła na wystający ze ściany przedmiot. Coś kulistego, rozmiarów jabłka. Coś gładkiego i przyjemnego w dotyku. Drewno, nie cegła.

Gałka u drzwi.

Odetchnął z ulgą i ją obrócił.

Drzwi się otworzyły, Arthur potknął się o listwę progową i wpadł do środka. Żołądek podszedł mu do gardła. Chłopiec poczuł, że znowu spada.

Prosto w dół!

Podobnie jak za pierwszym razem, kiedy trafił do Domu, tak i teraz Arthur opadał powoli, jak plastikowa torba na letnim wietrze, w nieprzeniknionym mroku.

Tyle że tym razem nie miał przy sobie Klucza, który wyprowadziłby go z tego dziwnego, zawieszzonego w

próżni miejsca, nie będącego znanym mu światem, ani też Domem. Mógł opadać przez całą wieczność i nigdzie nie dotrzeć...

Zacisnął zęby i spróbował myśleć pozytywnie. Dzierżył Pierwszy Klucz. Był Mistrzem Niższego Domu, nawet jeśli przekazał władzę Plenipotentce. Nie wątpił, że w jego dłoniach pozostała cząstka magii, bo przecież właśnie on niegdyś władał Kluczem.

Musiał dysponować resztkami mocy.

Wyciągnął przed siebie prawą rękę i wyobraził sobie, że w zaciśniętej pięści trzyma Klucz. Lśniący Klucz.

– Zabierz mnie do Drzwi Frontowych! – krzyknął. Jego słowa zabrzmiały osobliwie głucho i cicho. W tej dziwnej przestrzeni nie istniało echo, brakowało tu jakiegokolwiek rezonansu.

Przez kilka sekund nic się nie zdarzyło. Potem chłopak zauważył, że wokół kostek jego dłoni roztacza się bardzo blada poświata. Panowały takie ciemności, że dopiero po chwili zrozumiał, co widzi. Światło go uspokoiło. Spróbował skupić na nim uwagę, aby się nasiliło. Jednocześnie półgłosem powtarzał polecenie:

– Zabierz mnie do Drzwi Frontowych. Zabierz mnie do Drzwi Frontowych...

Jego nadgarstek zachrząścił, kiedy dłoń się poruszyła, szarpnięta niewidzialną siłą. Poczuł, że kierunek opadania ulega zmianie. Nie leciał już prosto w dół, tylko nurkował pod łagodniejszym kątem.

– Zabierz mnie do Drzwi Frontowych. Zabierz mnie

do Drzwi Frontowych. Zabierz mnie do...

Gdzieś w oddali zabłysło światelko. Było tak daleko, że przypominało zaledwie lśniący kleks, lecz Artur miał pewność, że zmierza prosto ku niemu. Czuł, że światelko będzie stopniowo rosło, aż w końcu przybierze formę ogromnej, prostokątnej, oślepiającej jasności.

To musiały być Drzwi Frontowe Domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ku wielkiej uldze Arthura światło faktycznie rosło i wyglądało tak samo jak Drzwi Frontowe. Tym razem zbliżał się do nich bardzo powoli, więc miał dość czasu, aby się przygotować na wstrząs związany z upadkiem po drugiej stronie, na zielonym trawniku Wzgórza Uchylnych Wrót, w Atrium Niższego Domu.

Pomyślał, że gdy tam dotrze, będzie mu stosunkowo łatwo przedostać się do Pokoju Dziennego Poniedziałka. Zastanawiał się, czy pomieszczenie to nazywano teraz Pokojem Dziennym Arthura albo Pokojem Dziennym Woli lub jeszcze inaczej. Tak czy owak chciał tam znaleźć Wolę i Suzy, które mogłyby wraz z nim poszukać sposobu na rozwiązanie problemu Ponurego Wtorka i jego popleczników.

Arthur nadal o tym myślał, gdy łagodnie dryfował ku Drzwiom. Nagle ogromna siła cisnęła go naprzód. Był zupełnie nieprzygotowany na cios, który przypominał potężny kuksaniec w plecy. Arthur wywinął kozła i wpadł głową naprzód w jasny prostokąt światła.

Przez chwilę czuł się tak, jakby ktoś go nicował: wszystko obracało się w nieprawdopodobny i bolesny sposób. Potem wylądował na nogach po drugiej stronie i opadł na dłonie oraz kolana. Przeszywający ból odpowiedział mu, że nie trafił na miękką trawę. Poza tym dookoła panowały ciemności, nie było widać nawet

łagodnej poświaty odległego sklepienia Atrium i z całą pewnością szyby wind nie rozjaśniały okolicy. Co gorsza, wszędzie zalegał dym, gęsty i mdły. Pod jego wpływem płuca Arthura natychmiast się ścisnęły i skurczyły.

Zanim chłopiec zdążył zamachać dłońmi czy choćby odkaszlnąć, ktoś chwycił go za ramiona i pociągnął do tyłu. Arthur przewyciężył kaszel i instynktownie wrzasnął, lecz jego okrzyk został stłumiony przez bliżej nieokreślony płyn. Gdy Arthur zaczął się dławić, pomyślał, że jest w wodzie, i dopiero mocne uderzenie w plecy podziało na niego otrzeźwiająco. Zrozumiał, że bez względu na to, jaki płyn go otacza, z pewnością nie jest to woda. Poza tym nic nie dostawało mu się do gardła ani do nosa. Chwilę później wyszedł z opresji i mógł ponownie odetchnąć. Najwyraźniej przedostał się przez tę osobliwą błonę albo płynną barierę.

Nie wiedział, gdzie jest, lecz wszystko wyglądało tak, jakby opadła mgła i przysłoniła większość barw. Miał wrażenie, że stoi z nosem przyciśniętym do witraża, w którym bezustannie zmieniają się kolory.

– Odpreź się i często mrugaj oczyma – poradził ktoś, kio trzymał Arthura za ramiona. Spokojny, niski męski głos brzmiał dziwnie znajomo. Wystarczyła sekunda, aby chłopak przypomniał sobie, do kogo należy.

Do Strażnika Porucznika Drzwi Frontowych.

Arthur gwałtownie zamrugał oczyma i spróbował się odpreżyć. Kolory wracały do normy, a mgła ustępowała, przynajmniej wtedy, gdy spoglądał prosto przed siebie.

Po bokach przez cały czas wszystko było rozmazane.

– Czy znajdujemy się w jakiejś wielobarwnej szklanej kuli? – spytał po chwili. Z całą pewnością przebywali we wnętrzu kulistego obiektu i do środka wpadało światło, które bezustannie się przesuwało i rozpraszało na wiele różnych kolorów.

– Przebywamy w środku przejściowej bańki wewnątrz Drzwi – wyjaśnił Strażnik Porucznik. Puścił Arthura, stanął przed nim i zsalutował. Podobnie jak wcześniej, miał na sobie niebieski frak ozdobiony złotymi epoletami. – Bańka zmniejsza wpływ Drzwi na śmiertelne umysły. Mamy tylko chwilę na przerwę, bo musisz iść dalej, do Odległych Rubieży...

– Do Odległych Rubieży? – wykrzyknął Arthur z niepokojem. – Przecież chciałem się dostać do Atrium Niższego Domu.

– Drzwi Frontowe otwierają się w wielu częściach Domu, lecz drzwi, w które wkroczyłeś w Poślednich Królestwach, prowadzą tylko do Odległych Rubieży oraz do stacji kolejowej Ponurego.

– Nie mogę tam iść!

– Musisz – oświadczył Strażnik Porucznik z naciskiem. – Już tam poszedłeś. Zatrzymałem cię, ale nie mogę cię zbyt długo przetrzymywać wewnątrz Drzwi. Musisz wyruszyć tam, dokąd zmierzasz. Takie jest Prawo Drzwi.

– Ale... – Arthur usiłował zebrać myśli. – Dobrze, skoro muszę iść do Odległych Rubieży, czy możesz

przesłać ode mnie wiadomość do Woli albo do Suzy w Niższym Domu?

– Ta część Woli jest obecnie nazywana Pierwszą Damą – wyjaśnił Strażnik Porucznik. – Obawiam się, że nie wolno mi przesyłać nieoficjalnych wiadomości ani do niej, ani do nikogo innego. Mogę zatrzymać wiadomość dla kogoś, lecz nie wolno mi jej przekazać, chyba że zostanę o to wprost poproszony przez odbiorcę.

Rozpiął frak i wsunął rękę w zanadrze, aby wyciągnąć zegarek. Otworzył kopertę urządzenia, z którego zabrzmiały dźwięki sentymentalnej melodii, i z uwagą popatrzył na cyferblat.

– Jeszcze dwie minuty, a potem będę musiał zawrócić cię do Odległych Rubieży.

– Czy możesz dać mi przebranie? – spytał Arthur z desperacją. Strażnik Porucznik pomógł mu wcześniej, pożyczając koszulę i czapkę, aby Arthur nie wyróżniał się wśród mieszkańców Niższego Domu. We włościach Ponurego Wtorka przebranie było Arthurowi tym bardziej potrzebne.

– To leży w zasięgu moich możliwości. Miałem nadzieję, że spytasz.

Strażnik Porucznik sięgnął przez lśniącą ścianę kuli. Gdy cofnął rękę, w dłoni ścisnął koniec sznurka do bielizny. Przystąpił do jego zwijania. Ze sznurka odpadały klamerki, a na kolana Arthura zsuwały się rozmaite części garderoby, między innymi coś, co przypominało spłowiałą pizamę, a także dziwaczna

peleryna z kapturem, z szorstkiego materiału w kolorze błota, oraz wielokrotnie łątany skórzany fartuch.

– Włóż strój roboczy na własne ubranie – polecił Strażnik Porucznik. – Będziesz potrzebował wielu warstw odzieży, aby nie zmarznąć. Pelerynę zwiń, przyda się później.

Arthur włożył piżamopodobne ubranie, a następnie przepasał się fartuchem z ciężkiej skóry. Zgodnie z sugestią Strażnika zwinął bardzo grubą i nieporęczną pelerynę z kapturem. Nie miał pojęcia, z czego ją zrobiono.

– Stabilizowane błoto – wytłumaczył Strażnik Porucznik, gdy Arthur popatrzył z góry na zwiniętą pelerynę. – Niedrogie i gwarantuje dostateczną ochronę przed deszczem Nicości w Studni. Dopóki się nie zniszczy.

– Deszcz Nicości? – powtórzył Arthur. Nie podobał mu się także sposób, w jaki Strażnik Porucznik wypowiedział słowo „Studnia”. Przypomniawszy sobie, że *Atlas* nazwał ją „przerażającym wrzodem, który zagraża samym fundamentom Domu”.

– Studnia jest tak rozległa, że w połowie jej głębokości tworzą się chmury i pada tam nieustający deszcz – odparł Strażnik Porucznik i ponownie sięgnął poza barierę, aby wyciągnąć parę drewniaków wypchanych słomą. – Deszcz gromadzi zanieczyszczenie Nicością, która przenika Studnię, a następnie przenosi je z powrotem na dół. Stąd nazwa tego typu opadów.

– Czym dokładnie jest Studnia? – chciał wiedzieć Arthur. *Atlas* przekazał mu wcześniej tylko tyle, że chodzi o gigantyczną kopalnię i zagrożenie dla Domu.

– Niestety, wkrótce osobiście się o tym przekonasz. Obawiam się, że nie zdołasz trzymać się od niej z daleka. Gdy zaś tam trafisz, musisz uciekać najszybciej, jak się da. A teraz włóż drewniaki. Skarpety zachowaj, nie wyróżniają się aż tak bardzo, by ktoś zwrócił na nie uwagę.

Arthur ściągnął komfortowe, komputerowo projektowane obuwie sportowe ze wzmocnionym śródstopiem i włożył drewniaki wypchane słomą. Były za luźne i okropnie niewygodne. Gdy wstał, nie mógł wykonać ani jednego kroku, bo przy każdym ruchu wysuwały mu się pięty.

– W czymś takim nie da się chodzić! – zaprotestował.

– Wszyscy kontraktowi Rezydenci chodzą w drewniakach – zapewnił go Strażnik Porucznik. – Nie możesz ryzykować zdemaskowania. Twoje zwykłe buty cię zdradzą. Teraz kwestia smogu. Zawiera drobne cząsteczki Nicości, więc stopniowo wykańcza Rezydentów i niemal na pewno od razu zabije śmiertelnika. W której ręce zazwyczaj trzymałeś Pierwszy Klucz?

– W prawej – odparł Arthur.

– Zatem podczas oddychania musisz przyłożyć do nozdrzy dwa palce prawej dłoni, a kciuk wsunąć do ust. Dodatkowo należy wyrecytować to krótkie zaklęcie:

„Pierwszy Kluczu, miej wzgląd dla mych uczuć i spraw, by życie me było czyste i zdrowe, i trzymaj z dala ode mnie powietrze morowe”.

– Co takiego?

Strażnik Porucznik powtórzył zaklęcie.

– Pewnie będziesz musiał wypowiedzieć te słowa kilkakrotnie – dodał. – Zaklęcie zużywa się pod wpływem smogu, a resztki potęgi Klucza znikną z twego ciała. Nie pozostawaj zbyt długo na Odległych Rubieżach, a w szczególności w Studni.

– Nie zrobię tego, jeśli nie będę musiał – mruknął Arthur. – W razie czego mogę przecież zawsze wydostać się Niebywałymi Schodami.

Strażnik Porucznik pokręcił głową.

– Czyli nie mogę skorzystać ze Schodów? – spytał chłopiec. Wiedział, że ta metoda ucieczki jest ryzykowna, ale przynajmniej miał ją do dyspozycji, jak spadochron albo schodki przeciwpożarowe. W krytycznym momencie była dla niego ostatnią deską ratunku.

– Nigdy nie dotarłbyś do celu – wyjaśnił Strażnik Porucznik. – To wykluczone bez Klucza albo doświadczonego przewodnika.

– No to pięknie – westchnął Arthur ponuro. Ostrożnie wsunął palce w nozdrza, a kciuk w usta. Wypowiedzenie zaklęcia z wargami wokół palca nie było łatwe, ale wykonalne. Poczul łaskotanie w nosie oraz gardle, a pod sam koniec kichnął tak potężnie, że zakołysał się na piętach.

– Dobrze! – pochwalił go Strażnik Porucznik i znowu pośpiesznie zerknął na zegarek. – Teraz musimy skierować cię do miejsca przeznaczenia. Arthurze Penhaligonie, uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, więcej, niż powinienem. Bądź mężny, nie unikaj koniecznego ryzyka, wtedy zwyciężysz.

– Ale jeśli... Proszę cię, przekaż komuś, dokąd poszedłem...

Zanim zdołał powiedzieć coś jeszcze, Strażnik Porucznik energicznie zasalutował, odwrócił się na pięcie, stanął za plecami Arthura i pchnął go mocno. Chłopak zamachał rękami, wpadł w płynną barierę i ponownie wylądował na dłoniach i kolanach, na zimnym, kamiennym podłożu. Lewy drewniak zsunął mu się ze stopy i zaklekotał na ziemi, twarz przysłonił kaptur.

Gdy chłopiec zmagał się z kapturem, ktoś nagle zaświecił mu w twarz jasnym światłem. Arthur podniósł wzrok i zasłonił oczy. Niska, barczysta postać uniosła latarnię. Światło było rozmazane i niewyraźne z powodu dymu, więc Arthur przez moment był pewien, że spogląda na osobliwego człowieka wieprza. Dopiero potem pojął, iż widzi wystającą przyłbicę hełmu. Nieznajomy nosił także napierśnik z brązu na długim skórzanym płaszczu, a za pas zatknął szeroki zakrzywiony miecz z obnażoną głownią. Co dziwniejsze, na plecach miał przypięty przedmiot przypominający miniaturową maszynę parową. Z urządzenia wydobywał się jednostajny słup dymu, unosząc się nad głową obcego, a za jego łokciami buchały

kłęby pary.

Ale niewielka machina z całą pewnością nie wyprodukowała smogu wiszącego w powietrzu za nieznaną postacią. Smog przypominał mgłę, tak gęstą, że Arthur widział w niej tylko rozmazane światła i nieliczne niewyraźne kształty. Także dźwięki były przytłumione. Arthur słyszał dobiegający z oddali ryk, jakby gdzieś we mgle znajdował się tłum jakichś istot, nie widział go jednak. Rykowi towarzyszył metaliczny stukot, przypominający odgłosy wydawane przez maszyny.

– Jeszcze jeden luzem! – zawołała istota z latarnią do niewidocznych w dymie towarzyszy. Obcy mówił tak, jakby brakowało mu zębów albo cierpiał na problemy z językiem. A może miało to coś wspólnego z przyłbicą w kształcie świńskiego ryja?

– Wstawaj! – rozkazał dymiący i parujący osobnik. – Teraz jesteś w służbie Ponurego i masz obowiązek stać w obecności każdego z Nadzorców.

– Doprawdy? – spytał Arthur i powoli się podniósł. Mówił drżącym głosem, tylko trochę udając przestrah. – Uderzyłem się w głowę... Jesteś Nadzorcą?

Nadzorca zaklął w nie znanym Arthurowi języku. Klucz pozwalał chłopcu mówić we wszystkich językach Domu, lecz gdy nie miał magicznego przedmiotu, tylko „lingua domus” brzmiał dla niego zrozumiale. Takim językiem posługiwali się Rezydenci i nie miał on nic wspólnego z wyspecjalizowanymi dialektami różnych

krain.

– Jeszcze więcej zniszczeń! – ciągnął Nadzorca. – Te pozostałe Dni zawsze próbują wszystkich nabrać. Za mną! Wykonuj rozkazy, bo cię przyparzę.

Dla udowodnienia, jak realna jest to groźba, Nadzorca wyciągnął dużego kalibru pistolet z zanikiem skałkowym, taki, jakich używają piraci i rozbójnicy na filmach, podłączony węzem do małej maszyny parowej, którą miał na plecach. Odciągnął kurek i nacisnął spust. Kurek opadł z hukiem, w powietrzu posypały się iskry, a tuż obok Arthura buchnął z gwizdem kłęb pary. Chłopiec momentalnie cofnął się i odskoczył na bok, ku niekłamanemu zachwytowi Nadzorcy.

– Ha! Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałeś, co? Zachowuj się jak trzeba, a zostawię trochę mięsa na tych twoich cienkich kościach.

Arthur ponownie odskoczył, gdy Nadzorca popchnął go głębiej w smog. Miał tylko chwilę na to, by zerknąć przez ramię i w miarę możliwości zapamiętać miejsce, w którym się znalazł. Zauważył drzwi o wysokości co najmniej dziesięciu metrów. Nie wyglądały jednak jak Drzwi Frontowe. Wykonano je z rzeźbionego drewna; ukazywały sceny z udziałem wysokiego, chudego mężczyzny, zapewne Ponurego Wtorka, pracującego w kuźni i przy warsztacie, a także przyjmującego hołdy setek uczniów w fartuchach. Sceny były jednak utrwalone i nieruchome, poplamione smugami brudu i podziurawione tak, jakby ktoś opryskał je kwasem. W

ogóle nie były podobne do pozostających w ciągłym ruchu, barwnych i tryskających życiem obrazów z Drzwi Frontowych. Co prawda to mogły być one, bo Arthur przeszedł przez ich próg, lecz w tej chwili zupełnie ich nie przypominały. Sposób wykorzystania tych wrót musiała otaczać jakaś tajemnica.

Nie mógł liczyć na to, że łatwo tędy ucieknie.

Nadzorca pchnął go ponownie i skierował na prawo. Arthur zauważył, że zmierza w kierunku końca kolejki smutnych Rezydentów, znikających w wirującym smogu. Kolejka stała nieruchomo, lecz gdy chłopiec do niej podszedł, wszyscy nagle, choć na krótko, ruszyli do przodu. Smog na chwilę się rozwiął i Arthur zobaczył początek kolejki. Nieco ponad piętnaście metrów dalej stało długie mahoniowe biurko. Rezydenci otrzymywali tam skórzane fartuchy oraz peleryny, jeszcze bardziej sfatygowane niż te, które nosił Arthur.

– Będiesz tu stał po swoje rzeczy – warknął Nadzorca i po raz ostatni popchnął chłopca. Żaden z Rezydentów się nie odwrócił, gdy Arthur wszedł do kolejki. Po prostu sunęli przed siebie, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Arthur miał ochotę krzyknąć, że nie potrzebuje żadnych rzeczy, bo ma już swoje, ale zatrzymał tę informację dla siebie. Nadzorcy mogło nie przypaść do gustu, że ktoś publicznie wytykał mu głupotę. A może przy biurku wydawano także inne rzeczy, nie tylko skórzane fartuchy i peleryny?

Gdy Nadzorca z powrotem zniknął w gęstym smogu, Arthur z wahaniem postukał w ramię Rezydenta, który stał przed nim. Była to kobieta, ubrana w dziwną kombinację dziewiętnastowiecznej odzieży, którą Arthur widział w Niższym Domu. Nieznajoma miała na sobie długą, podartą suknię, stanowiącą zasadniczy element stroju, w którego skład wchodziło jeszcze kilkanaście szalików, owiniętych wokół ramion i tułowia.

Ku zdumieniu chłopca, w odpowiedzi na jego stuknięcie Rezydentka się skuliła i bez uginania kolan zmaląła o kilkanaście centymetrów. Odwróciła się ze strachem, najwyraźniej oczekując kogoś znacznie bardziej przerażającego niż Arthur.

– Błagam o przebaczenie, panie – wyszeptała, szarpiąc się za grzywkę. – To nie moja wina, cokolwiek się zdarzyło.

– Eee, przepraszam – wymamrotał Arthur. – Chyba pomyliła mnie pani z kimś. Nie jestem Nadzorcą ani nikim takim. Jestem... jednym z was.

– Robotnikiem kontraktowym? – wyszeptała Rezydentka ze zdumieniem. – Jak to możliwe?

Uniosła dłoń i przycisnęła nią głowę. Była teraz znacznie niższa niż wtedy, gdy Arthur postukał ją w ramię.

– Och, wcale tego nie chciałem – wyjaśnił Arthur pospiesznie, niemal bełkotliwie. – Nie wiem, jak do tego doszło. To chyba nie miało ze mną nic wspólnego. Uderzyłem się w głowę i nic nie pamiętam. Gdzie

jesteśmy?

– Na Odległych Rubieżach – szepnęła Rezydentka. Przez cały czas trzymała dłoń na czubku głowy i ze zdumieniem patrzyła na Arthura. – Twój kontrakt z pewnością został przepisany na Ponurego Wtorka.

– Pst! – syknął Rezydent następny w kolejce. – Ciszej! Ostatnio jedna osoba mówiła i została przyparzona. Oberwało się także jej sąsiadom. Nie chcę dostać parą.

– Skąd pani jest? – szepnął Arthur do kobiety stojącej przed nim.

– Z Wyższego Domu. Byłam Kapitałną Ornamenciarką Trzeciej Klasy. Nie rozumiem, dlaczego mnie tutaj zesłano. Z pewnością uczyniłam coś złego. Jesteś jednym z dzieci Szczurołapa? A może uległeś nienormalnemu skurczeniu? To się tutaj zdarza. Nie sądziłam, że mi się to przytrafi tak szybko...

– Cisza! – zasyczało dwóch Rezydentów z przodu. – Nadzorca!

Nadzorca wyłonił się ze smogu. Przystanął, aby obrzucić spojrzeniem kolejkę Rezydentów. Przez cały czas stukał zgrubiałymi, stwardniałymi paluchami w miotacz pary. Arthur zauważył, że przez kolejkę przetoczyła się fala strachu: wszyscy Rezydenci powoli się przygarbili, jednocześnie próbując nie zwracać na siebie uwagi.

Nadzorca przyglądał im się przez kilka sekund, a następnie ponownie znikł w smogu. Kiedy para

wymieszana z dymem zamknęła się za strażnikiem, Arthur dostrzegł dwie lub trzy inne kolejki Rezydentów, oczekujących na przyznanie im standardowych strojów roboczych. Z tyłu mogły się znajdować jeszcze inne kolejki.

Po odejściu Nadzorcy nikt nie wypowiedział ani słowa. Rezydenci przesuwali się powoli, w oczekiwaniu na swoją kolej. Arthur nie stukał w ramię kobiety, bojąc się, że nieznajoma skurczy się jeszcze bardziej, zresztą Rezydentka już się nie odwróciła.

Gdy chłopak znalazł się na czele kolejki, Rezydent za biurkiem wyciągnął ku niemu narecze ubrań i zamarł. Była to niska istota, kształtem przypominająca rzepe, więc gwałtownie nieruchomiejąc, omal nie upadła. Aby nie stracić równowagi, Rezydent upuścił odzież i chwycił się stołu. Niewiele brakowało, a zepchnąłby z blatu tabliczkę „Urzędnik zaopatrzeniowy”, wypisaną zmatowiałymi pozłacanymi literami.

– Ty już masz swoje! – sapnął urzędnik.

– Co mam swoje? – spytał Arthur. Udawanie idioty uznał za najlepszą metodę obrony.

– Fartuch skórzany, jedna sztuka; peleryna przeciwdeszczowa, stabilizowane błoto, z kapturem, jedna sztuka; i drewniaki, drewno z okleiną, jedna para – wyjaśnił Rezydent. – Więc co mam robić?

– Nie wiem – odparł Arthur. – Przepuścić mnie?

Wszystko jedno, co się tam kryło. Arthur uważnie obserwował Rezydentów, którzy otrzymywali fartuchy

oraz peleryny, lecz nie był w stanie stwierdzić, co się z nimi działo. Obchodzili stół z lewej strony i znikali w gęstym smogu. Chłopiec nie umiał także powiedzieć, skąd się biorą fartuchy, peleryny i drewniaki. Rezydent rozdający odzież najwyraźniej wyciągał je spod wykonanego z litego mahoni blatu.

– Nie wiem, czy to dozwolone – mruknął urzędnik zaopatrzeniowy.

– Możesz spytać – pisnął Rezydent, który stał za Arthurem.

– Spytać? – syknął urzędnik i rozejrzał się nerwowo.
– Tutaj się o nic nie pyta, bo można sobie narobić kłopotów.

– Wobec tego może udasz, że mnie nigdy nie widziałeś, a ja sobie pójdę? – zaproponował Arthur.

– Następny! – oświadczył urzędnik zaopatrzeniowy i wyciągnął szyję ku następnej osobie w kolejce. Arthur wahał się przez chwilę, nie wiedząc, w którą stronę się udać. Urzędnik podrapał się po nosie i zasłonił dłonią usta.

– Za biurkiem w lewo i schodami na dół – wyszeptał.

Arthur obszedł stół, skręcił w lewo i niemal spadł ze schodów, które zauważył dopiero wtedy, gdy znalazł się na ich krawędzi. Stopnie były częściowo połamane, niebezpiecznie śliskie i pokrywała je gruba warstwa sadzy. Chłopak ruszył ostrożnie na dół, przez cały czas rozmyślając o tym, w jaki sposób uciec. W jego głowie nie pojawiły się jednak żadne światłe myśli. Cały czas

wspominał tylko słowa Strażnika Porucznika: „Nie unikaj koniecznego ryzyka”.

Jakiego rodzaju ryzyko jednak było konieczne?

Arthur zastanawiał się nad tym problemem przez całą drogę na dół. U podnóża schodów wszystko wyglądało tak jak na górze: ciemność choć oko wykol i wszędzie opary smogu. Chłopiec dostrzegł rozproszone światło, którego źródło równie dobrze mogło się znajdować w odległości dziesięciu, jak i pięćdziesięciu metrów. Podążył w tamtym kierunku, stukając drewniakami o kamienną nawierzchnię. Od czasu do czasu machał rękoma, aby rozproszyć gęsty kłęb cuchnącego smogu. Na szczęście Strażnik Porucznik nauczył go przydatnego zaklęcia. Arthur z ulgą z niego korzystał, chociaż czuł się głupio, wtykając palce do nosa.

Światło pochodziło z dwóch latarni, ustawionych na krawędziach innego szerokiego biurka z mahoniem. Także to było puste, jeśli nie liczyć identycznej jak poprzednio tabliczki z połączonym napisem: „Urządnik zaopatrzeniowy”. Siedział za nim jeszcze niższy i jeszcze bardziej krępy osobnik niż ten, z którym Arthur rozmawiał wcześniej. Był tak skurczony, że sięgał chłopcu zaledwie do pasa i ledwie wystawał nad biurko.

Arthur stanął przed biurkiem, a wtedy urzędnik wyciągnął spod blatu przydymioną latarnię z prowizorycznie naprawionym uchwytem. Palce człowieka zdawały się zagłębiać w drewnie.

– Latarnia sztromowa, samooliwiąca, sztuk jeden.

– Chodzi o latarnię sztormową – poprawił Arthur urzędnika.

– W mojej księdze jest napisane „latarnia sztormowa” – oświadczył człowieczek. – Pospiesz się i dołącz do swojej grupy. Wystarczy, że będziesz szedł po torach za moimi plecami. Jeśli usłyszysz gwizdek, na chwilę zejdź na bok.

– Ta latarnia sztormowa... przepraszam, sztormowa, jest zepsuta – zwrócił uwagę Arthur.

– Wszystkie są zepsute – westchnął urzędnik i wskazał identyczne latarnie na skrajach biurka. – Taki jest wzorzec. Podejrzewam, że nasz pan i mistrz ma ważniejsze sprawy na głowie niż korygowanie tego wzorca. Uskarżanie się jest bezcelowe. Kiedyś złożyłem skargę i widzisz, co się stało.

Arthur z niedowierzaniem patrzył na urzędnika.

– Skurczyłem się, prawda? Byłem trzydzieści centymetrów wyższy i zajmowałem stanowisko Produktora Czwartej Klasy, aż kiedyś dowiodłem własnej głupoty i poskarżyłem się w związku ze źle wykonanymi latarniami sztormowymi. Przynajmniej nie trafiłem do Studni. A teraz idź już, bo wpakuję się w jeszcze gorsze kłopoty.

– Jak się nazywasz? – spytał Arthur. Ten urzędnik mógł być źródłem przydatnej wiedzy. Przynajmniej mówił o Ponurym Wtorku i o Studni.

– Nazywasz! Urzędnik zaopatrzeniowy numer tysiąc dwieście pięćdziesiąt dwa. A teraz odejdz, zanim zjawi

się Nadzorca. Omiń biurko i podążaj torami.

Arthur odwrócił się i wysoko uniósł dymiącą latarnię. Zanim jednak znikł w smogu, urzędnik zaopatrzeniowy kaszlnął. Chłopiec ponownie odwrócił się ku niemu.

– Mathias. Tak miałem na imię – mruknął człowieczek. – Nie wiem, kim jesteś, ale odczuwam potrzebę wyjawienia ci prawdy. Życzę szczęścia w Studni. Będziesz go potrzebował.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Za biurkiem przebiegały tory kolejowe, i to w odległości zaledwie dziesięciu metrów, lecz pozostawały niewidoczne do chwili, w której Arthur potknął się o pierwszą szynę. Przybliżył do niej latarnię i przekonał się, że jest wykonana z ciemnego metalu, który przypominał brąz. Szyny były ułożone w bardzo dużej odległości od siebie, dzieliły je prawie trzy metry. Arthur pomyślał, że w jego świecie nie ma torów o tak ogromnym rozstawie szyn. Tory ułożono na kamiennych podkładach, nie drewnianych ani betonowych, a tłuczeń pod podkładami i pomiędzy nimi wykonano z dziwnego materiału, który kształtem i barwą przypominał drewniane ścinki, lecz był bardzo ciężki i twardy – może użyto jakichś wyjątkowych kamieni.

Arthur przypomniał sobie, że kolejarze nazywają taki tłuczeń podsypką. Dziewięćdziesięcioletni wuj Boba, Jarrett, cioteczny dziadek Arthura, przez całe życie pracował na kolei i chciał, by jego cioteczne wnuczeta znały prawidłowe określenia na wszystko, począwszy od torów, skończywszy na pociągach. Miał nawet nagrania odgłosów wydawanych przez rozmaite lokomotywy, których musieli słuchać.

Arthurowi nie towarzyszył jednak teraz cioteczny dziadek Jarrett i chłopak nie miał kogo spytać o szczegóły na temat tych szyn. Nie wiedział, w którą stronę

wyruszyć. Tory biegly w lewo i w prawo, a z obu stron znikaly w gęstym smogu. Aby lepiej się zorientować, gdzie jest, Arthur przeszedł na drugą stronę toru i ruszył przed siebie, pod kątem prostym do szyn. Przekonawszy się, że ze względu na smog i osobliwy charakter okolicy widoczność jest praktycznie zerowa, szedł ostrożnie, aby nie spaść z jakichś schodów albo stromeego urwiska.

Pochylił się i uniósł latarnię. W pewnej chwili zauważył, że kamienne podłoże nagle się kończy, jakby ucięte niewyobrażalnych rozmiarów nożem. Wzdłuż krawędzi przepaści kłębił się wirujący smog, całkowicie uniemożliwiając ocenę głębokości otchłani. Arthur nie widział też przeciwnej strony rozpadliny.

Domyślił się, że natrafił na skraj Studni. Powoli się wycofał; nie odzyskał poczucia bezpieczeństwa aż do czasu, gdy powrócił na drugą stronę toru.

Wiedząc, że przebywa nad przepaścią Studni, Arthur uświadomił sobie, iż szyny z jednej strony łagodnie opadają. Teoretycznie właśnie w tamtą stronę powinien się udać. Gdyby jednak podążył wzdłuż szyn, coraz bardziej pograżałby się w koszmarnym życiu kontraktowego robotnika we włościach Ponurego Wtorka. Mógł pójść ku górze, lecz wówczas zapewne zostałby przyparzony... i w przeciwieństwie do przeciętnego Rezydenta raczej by tego nie przeżył.

Wpadłem po uszy, pomyślał.

Dopiero teraz zaczynało do niego docierać, że utknął w wyjątkowo nieprzyjemnej części Domu. Nie miał przy

sobie Klucza, więc poza resztkami mocy w dłoniach nie dysponował żadną magią ani bronią. Nie miał jak się wydostać z opresji ani skontaktować z przyjaciółmi. Nikt nie wiedział, gdzie Arthur się znajduje, jeśli nie liczyć Strażnika Porucznika, który, nie proszony, nikomu nie zamierzał zdradzać tej informacji.

Chłopak trafił tutaj, gdyż chciał uchronić rodzinę przed dalszymi atakami na jej finanse, lecz doprowadził tylko do tego, iż wpadł po uszy w niesłychane kłopoty.

Usiadł na szynie, oparł głowę na dłoniach i zaczął sobie masować skronie. Czuł, że jest fajtlapą, prawdziwym idiotą. Musiał jakoś stąd uciec. Z całą pewnością nie miał szansy przetrwać, podążając w głąb Studni.

Zaczął się kołysać do przodu i do tyłu. Ten łagodny ruch go uspokajał, zupełnie jakby poruszanie się ułatwiało myślenie. W pewnej chwili poczuł lekki ból w klatce piersiowej. Nie był to jednak objaw wewnętrznych dolegliwości, związanych ze sztywniejącym płucem. Po prostu wbijało mu się w ciało coś, co trzymał w kieszeni.

Atlas.

Nagle poczuł przypływ nadziei. Wyciągnął oprawioną na zielono książkę i położył ją na kolanach. Następnie dotknął dłońmi okładki i w myślach sformułował pytanie.

Jak mogę wydostać się ze Studni?

Atlas otworzył się mniej gwałtownie niż zwykle i powiększył się zaledwie dwukrotnie. Ponadto pozostał

częściowo przymknięty, więc Arthur musiał zaglądać do środka. Najwyraźniej powietrze w Studni nie służyło także *Atlasowi*.

Niewidzialna ręka powoli nakreśliła atramentem jedną literę, potem nieco szybciej napisała całe słowo, za nim następne. Podobnie jak za pierwszym razem, kiedy chłopiec korzystał z *Atlasu*, wyrazy nie były spisane w języku angielskim, nie znał też żadnej użytej litery. Gdy jednak wpatrywał się w tekst, przybrał on bardziej zrozumiałą formę.

Istnieją rozmaite sposoby na opuszczenie strasznej Studni Ponurego Wtorka. Część z nich to sposoby oficjalne, wymagające stosownych przepustek i zezwoleń. Obejmują one:

- a. przejście drogą użytkową;**
- b. przejechanie w charakterze pasażera pociągiem Ponurego Wtorka;**
- c. opuszczenie studni jako jeden z powstańców Ponurego, z kotłem przekalibrowanym na jazdę pod górę.**

Istnieją też nieoficjalne sposoby, niebezpieczne lub autodestrukcyjne. Obejmują one:

- a. przelot, ze wszystkimi zagrażającymi niebezpieczeństwami, przy czym niektóre są charakterystyczne wyłącznie dla studni; oraz**
- b. śmierć z rąk Niconia albo erupcję Nicości.**

– Nie – zaprotestował Arthur. – Chodzi mi o to, jak konkretnie w zaistniałej sytuacji mogę się wydostać ze Studni?

Nic się nie zdarzyło. *Atlas* nie zareagował, pozostał otwarty na tej samej stronie. Niewidzialna ręka nic nie napisała, nie zalsnił atrament.

Arthur powoli zamknął *Atlas* i wsunął go do kieszeni. Przez chwilę miał nadzieję, że książka podsunie mu jakiś łatwy sposób ucieczki, tajną metodę wydostania się ze Studni. Lecz choć *Atlas* pomógł Arthurowi w jego świecie, tutaj nie mógł lub nie chciał udzielić mu wsparcia.

Chyba mógłbym iść do Nadzorcy i poprosić go o zaprowadzenie mnie do Ponurego Wtorka, pomyślał chłopak z desperacją. Potem po prostu podpisałbym ten głupi dokument, rezygnując z praw do Pierwszego Klucza oraz Niższego Domu...

– Przepraszam! Chyba powinieneś iść przede mną – powiedział uprzejmy głos, należący do kogoś ukrytego w smogu. Arthur rozejrzał się i dostrzegł Rezydenta, który stał za nim w kolejce. – Zdaje się, że tutaj przykłada się dużą wagę do stania w kolejkach. Przy okazji, mam na imię Japeth. To znaczy kiedyś miałem.

– Arthur – przedstawił się chłopiec. Wyciągnął rękę. Japeth również uniósł rękę, lecz zanim zdążyli podać sobie prawice, z dłoni Arthura eksplodowały niebieskie iskry i posypały się na nadgarstek Japetha. Rezydent jęknął i cofnął rękę. Natychmiast wsunął palce do ust i

zaczął je ssać.

– Nie jesteś kontraktowym robotnikiem! –
wykrzyknął.

Arthur znieruchomiał, przekonany, że Rezydent zawoła Nadzorców, którzy z pewnością ukrywali się gdzieś niedaleko. Japeth mógł liczyć na nagrodę, na wcześniejsze zwolnienie lub inne korzyści. Zatem nie powinien mieć sposobności...

– Bez obaw! – dodał Japeth pospiesznie, gdy Arthur schylił się i podniósł jeden z kawałów dziwnej podsypki na torze. – Nie jestem informatorem, plotkarzem, papłą, gadułą, pleciuchem, szpiclem ani tym bardziej długim ozorem. Kimkolwiek jesteś, nie pisnę ani słowa, zwrotu, wyrażenia, syntag...

– Lepiej o tym nie zapomnij – ostrzegł Arthur rozmówcę. Chciał, by jego głos zabrzmiał surowo, lecz z ulgą upuścił kamień. – Przybyłem tutaj... z misją uratowania wszystkich kontraktowych robotników.

Wyglądało na to, że Japeth również odetchnął z ulgą. Ukłonił się i uchylił nie istniejącego kapelusza. Jego dworskie maniery nie pasowały do niesamowicie obszarpanych aksamitnych spodni, które nosił pod skórzanym fartuchem. Jego koszula nie była już biała, tylko żółta, a mankiety trzymały się na sznurkach, nie na guzikach. Podobnie jak większość Rezydentów Japeth był przystojny, ale jego twarz sprawiała wrażenie nieco sfatygowanej, tak samo jak ciało. Wyglądał tak, jakby ktoś go przycisnął do ziemi i rozpląszczył. Przypominał

niedoskonały gliniany model, który niegdyś opuścił urodziwą formę.

– Będę zaszczycony, mogąc pomóc – oświadczył. – To jest, chciałem powiedzieć, wesprzeć, dać oparcie, poratować, pospieszyć z odsieczą lub stanąć przy boku.

– Dziękuję – powiedział Arthur. – Hm, czy zawsze mówisz w taki sposób?

– Masz na myśli moją ciągłą, by nie rzec: bezustanną, manierę używania obfitości słów i terminów?

– Tak.

– Zachowuję się tak tylko wtedy, gdy jestem zdenerwowany – wyjaśnił Japeth. – Jestem... Byłem Tezaurusem Minimumem Drugiego Stopnia. To skrzywienie, niebezpieczeństwo, zagrożenie zawodowe. Po prostu czasami stajemy się rozwlekli, pompatyczni, górnolotni, napuszeni, grandilokwentni... Walczę z tym, wierz mi. Może ruszymy w drogę, zanim ktoś zacznie nas szukać?

– Chyba masz rację – przyznał Arthur po krótkim wahaniu. Potrzebował więcej czasu do namysłu, a nie mogli zostać tam, gdzie byli.

– Ty pierwszy – zaproponował Japeth, ukłonił się i znowu uchylił wyimaginowanego kapelusza.

– Nie, ty pierwszy – sprzeciwił się Arthur i również nieznacznie się ukłonił. Nie chciał, aby Rezydent szedł tuż za nim, zwłaszcza że wszędzie wokół wałało się tyle podsypki. Japeth sprawiał wrażenie osoby szczerzej, ale chłopak wolał nie ryzykować ciosu w głowę, utraty

przytomności i trafienia w ręce Nadzorców.

Rezydent pochylił głowę i ruszył wzdłuż toru. Jego drewniaki głucho postukiwały na kamiennych podkładach. Arthur szedł z tyłu, intensywnie rozmyślając i od czasu do czasu potykając się o własne drewniaki. Gdyby tylko mógł przekazać wiadomość do Niższego Domu! Każdy pomysł, który mu przychodził do głowy, miał wady. Kiedy przypomniał sobie, że Poniedziałkowy Południk potrafił ni z tego, ni z owego przywoływać telefon w Domu i w Poślednich Królestwach, na moment ogarnął go nieopisany entuzjazm. Zaraz jednak uświadomił sobie, że nawet gdyby i jemu udało się powtórzyć tę sztukę, to i tak telekomunikacja Niższego Domu odcięła linię lub domagała się zapłaty gotówką z góry, a on nie miał pieniędzy.

Może zdołałbym je załatwić, dumiał. Potem zadzwoniłbym do Woli albo Suzy lub Poniedziałkowego Południka...

– Jaka waluta obowiązuje w Studni? – spytał, gdy podążali torami, nie widząc po drodze nikogo ani niczego.

– O ile wiem, Odległe Rubieże dysponowały niegdyś bardzo starannie wybitym złotym noblem, srebrnym realem i miedzianym bitem – wytłumaczył mu Japeth. – Ponury Wtorek zagarnął jednak monety i od tamtej pory wszyscy muszą się zadowalać wpisami do księgi głównej. Takimi jak nasze kontrakty.

Wyciągnął prostokątny kartonik, który trzymał na sznurku owiniętym wokół szyi.

– Czy mogę rzucić okiem? – spytał Arthur.

– Nie mam prawa tego zdejmować, przemieszczać ani usuwać – wyjaśnił Japeth. – Jeśli jednak chcesz, zerknij na to, przyjrzyj się temu, dokonaj wstępnych oględzin tego, wbij w to wzrok, a także, rzecz jasna, popatrz na to.

Papier wyglądał jak etykieta zapisana starannym pismem w kolorze mdłej zieleni. Z jednej strony widniał słupek z napisem „Zarobki”, z drugiej – kolumna zatytułowana „Długi”. Po stronie „Zarobków” znajdował się zapis. – „On Or Ob”. W analogicznym miejscu po stronie „Długi” było napisane: „4n 6r 18b”. Gdy Arthur spoglądał na kartonik, kolumna „Długi” zafalowała i zmieniła się na „4n 7r 1b”.

– Teraz rozumiesz, dlaczego nikt nie może zarobić tyle, aby wywiązać się z kontraktu? Zaczynamy zarabiać dopiero wtedy, gdy dotrzemy na dno Studni, a nawet wtedy nie dostaniemy nic, jeśli nie zgromadzimy odpowiednich zasobów Nicości. Musimy jednak płacić za każdy oddech parszywym powietrzem, a w dodatku zdziera się z nas za użytkowanie tego żalostnego wyposażenia.

– To znaczy, że w całej Studni nie ma pieniędzy, czyli monet ani banknotów?

– Tak mi powiedziano, przekazano, doniesiono – potwierdził Japeth. Ponownie skierował się w dół toru. – Nie powinniśmy ruszać w drogę, iść dalej, podążać przed siebie, zmierzać do celu?

Arthur skinął głową. Japeth niewątpliwie coraz bardziej się denerwował, a jego nastrój się udzielał. Chłopak pospieszył za Rezydentem. Szli coraz szybciej, postukując drewniakami, aż wreszcie niemal biegli.

Pośpiech okazał się jak najbardziej wskazany. W odległości stu metrów od nich, przy torze, ze smogu nagle wyłonił się Nadzorca. Zdecydowanym krokiem maszerował wzdłuż szyn z gotowym do użycia miotaczem pary. Na widok Arthura i Japetha odchrząknął i machnął ręką, aby szli dalej, następnie ruszył za nimi. Najwyraźniej zainteresowały go przyczyny opóźnienia w nowym transporcie Rezydentów.

Smog przed Arthurem nieco się przerzedził. Chłopiec dostrzegł kilka grup Rezydentów, którzy wędrowali bez Nadzorców. Nieopodal stała gromada pilnowana przez Nadzorcę. Strażnik uniósł przyłbicę i polerował zęby szmatką, zanurzaną w puszcze białej pasty. Był o głowę niższy od Rezydentów, których obserwował, lecz znacznie bardziej barczysty. Miał mocno spłaszczoną twarz, dwa zęby w dolnej szczęce wystawały niczym małe ciosy.

– Tędy idźcie! – krzyknął Nadzorca za plecami Arthura. – Maruderzy.

Drugi Nadzorca po raz ostatni przejechał materiałem po zębach, zamknął puszkę, wsunął ją pod fartuch, westchnął zaskakująco łagodnie i hałaśliwie opuścił przyłbicę. W jednej chwili zmienił się nie do poznania. Pochylił się, chrząknął i sięgnął po miotacz pary.

Maszyna na jego plecach przestała mrużyć i zaczęła gwałtownie terkotać, wyrzuciła z siebie ciężką chmurę czarnego dymu i wypuściła parę z obu stron za łokciami Nadzorcy.

– Szybciej! – krzyknął. – Do szeregu!

Arthur i Japeth podbiegli do grupy Rezydentów, którzy kręcili się z miejsca na miejsce, usiłując się ustawić w szeregu. Nikt jednak nie chciał stać najbliżej Nadzorcy, więc każdy, kto trafił na feralne miejsce, chował się za plecami towarzyszy i przemykał na koniec szeregu. Ta sytuacja trwała przez minutę lub dwie, aż wreszcie Nadzorca wystrzelił w powietrze strumień pary.

– Dość! – ryknął. – Ty staniesz tutaj! Ty staniesz tu! Dobrze, a teraz wszyscy do szeregu.

Kiedy już wszyscy stali w rzędzie, Nadzorca podszedł do Arthura i Japetha.

– Czemu się spóźniliście? – ryknął.

– Upadłem na głowę – wyjaśnił Arthur. Ta wymówka wydawała się uniwersalna. – Gdzie jesteśmy?

– Jesteście przy Drodze Użytkowej Kolei Studziennych Wielce Potężnego Ponurego Wtorka – krzyknął Nadzorca. – Macie mnóstwo szczęścia!

– Dlaczego? – spytał Japeth. – Czemu? Na jakiej podstawie...

– Zamknąć się! Ja tutaj zadaję pytania!

Japeth się zamknął. Nadzorca chrząknął.

– Ja tutaj zadaję pytania! – powtórzył. – A moje pierwsze pytanie brzmi...

Nagle przerwał, usiłując wyciągnąć brudny skrawek papieru z wewnętrznej kieszeni skórzanego surduta. Wydobywszy kartkę, z trudem ją rozprostował. Gdy w końcu papier był już rozłożony, przysunął go do przyłbicy.

Pytanie, gdy w końcu padło, kompletnie zaskoczyło Arthura.

– Wszyscy jesteście napiętnowani? – chciał wiedzieć Nadzorca.

Chłopiec pokiwał głową, podobnie jak inni, ale opuścił wzrok, by ukryć strach. Był pewien, że lęk jest widoczny na jego twarzy.

– Ktoś tu szybko zdrowieje? – dopytywał się Nadzorca, niewątpliwie odczytując tekst z kartki.

Wszyscy zgodnie pokręcili głowami. Nadzorca omiótł ich spojrzeniem i znowu zerknął na papier.

– Dobra, teraz obejrzymy sobie opuszki – obwieścił strażnik, Chłopiec nie krył zdumienia, widząc że wszyscy zdjęli prawe drewniaki, ściągnęli prawe skarpety i zaczęli podskakiwać na jednej nodze, wyciągając nagą stopę w kierunku Nadzorcy.

– Spokój! – warknął strażnik. – W służbie Ponurego nikt nie marnuje czasu. Dostyc tego skakania, durnie! Kłaść się na plecach i wystawić opuszki.

Zdezorientowany Arthur ułożył się w rzędzie razem z innymi, na zimnej, kamiennej nawierzchni. Gdy zsunął prawy drewniak, spojrzał na obnażoną stopę Japetha i ujrzał to, co interesowało Nadzorcę.

Piętno znajdowało się na opuszcze palucha prawej stopy! Znak był wypisany lśniącym zielonym drukiem: „Zakontraktowano u Ponurego Wtorka”.

Arthur zamarł na chwilę, a potem udał, że jego drewniak nie chce się zsunąć. Jednocześnie gorączkowo usiłował znaleźć jakiś sposób na wydostanie się z opresji. Nadzorca dysponował miotaczem pary, drugi Nadzorca znajdował się gdzieś z tyłu przy torze, a z całą pewnością na platformie przy szynach było ich znacznie więcej.

– Wiedziałem! – krzyknął Nadzorca. – Zawsze się jakiś trafi!

Arthur gwałtownie uniósł głowę. Przez jedną potworną chwilę był pewien, że Nadzorca mówi do niego. Dopiero potem zorientował się, że barczysta postać stoi nad którymś z Rezydentów na drugim końcu szeregu.

– Szybko zdrowiejący, bez dwóch zdań! – ocenił Nadzorca. – Kiedy byłeś napiętnowany?

– Wczoraj, po przyjeździe – odparł załamany Rezydent. – Ale nie zawsze tak szybko zdrowieję. Niekiedy to trwa całymi dniami.

– Dniami! To piętno powinno przetrwać rok. Będę cię musiał zakolczykować, w uchu albo w nosie. Wstawaj.

– Och, proszę pana, błagam, wolałbym inne piętno.

– Nie obchodzi nas, co byś wolał! – ryknął Nadzorca. Przetrasnął kieszenie surduta i w końcu wygrzebał z nich błyszczącą metalową tarczkę o średnicy około dziesięciu centymetrów. – Gdzie to instalujemy?

– Och, w nosie – wymamrotał Rezydent. Nadzorca chrząknął i przyłożył tarczkę do ucha Rezydenta. Lekko rozbłysło światło, dało się słyszeć skwierczenie i zaraz potem tarczka zawisała na płatku ucha Rezydenta niczym gigantyczna ozdoba.

– Przecież powiedziałem, że w...

Zanim nieszczęśnik zdołał dokończyć, leżał już na ziemi, powalony potężnym ciosem wielkiej pięści Nadzorcy.

Rozłożony na łopatki Rezydent rozsądnie powstrzymał się od jakichkolwiek ruchów. Widać było, że z trudem udaje mu się zachować milczenie. Nadzorca ponownie westchnął i potarł kostki dłoni.

– Dobra, który jeszcze jest szybko zdrowiejący?

Arthur błyskawicznie podjął decyzję i uniósł rękę. Nadzorca powlókł się wzdłuż szeregu.

– Och, pan Wciemiębity. Na pewno masz pojęcie, o czym mówisz? Pokaż opuszkę.

Chłopiec się położył, ściągnął drewniak i skarpetę, a następnie zaprezentował strażnikowi gołą stopę. Nadzorca się pochylił, głośno postępując i chrząkając. Po chwili gwizdnął przez zęby.

– Znikło bez śladu! Dobra, wstawaj, dostaniesz kolczyk w nos.

– Fajnie, zawsze chciałem nosić jakiś duży, okrągły przedmiot w nosie – oświadczył Arthur z aprobatą, kiedy wstał. Instynktownie zrozumiał, że nie powinien wprost prosić o zakolczykowanie ucha. – Albo żeby coś mi

dyndało z ust.

– Zamknij usta – prychnął Nadzorca. Podniósł tarczkę i zarechotał, kiedy Arthur gwałtownie się cofnął. Następnie przyłożył przedmiot do lewego ucha chłopca.

Arthur poczuł mocne ukłucie pulsującego bólu, który przeszył mu ucho, przeniknął do głowy i zatrzymał się pomiędzy oczami. Ból był tak silny, że chłopiec zatoczył się do tyłu i z pewnością by upadł, gdyby nie pomoc Japetha.

– Powolny i wrażliwy! – ryknął Nadzorca. – Tutaj trzeba stać mocno na nogach!

– To jedno z dzieci Szczurołapa – odezwał się Japeth. – One są inne. Kiedyś były śmiertelnikami.

– Tutaj nie ma wyjątkowych przypadków! – krzyknął Nadzorca i wymierzył cios Japethowi. Co dziwne, choć Rezydent się nie poruszył, pięść strażnika go ominęła, zupełnie jakby od samego początku Nadzorca chciał go oszczędzić.

Chociaż umysł Arthura był skoncentrowany głównie na pulsującym bólu za gałkami ocznymi, chłopiec nie przestawał się zastanawiać nad tym, dlaczego Nadzorca zachowuje się tak hałaśliwie. Rezydenci najwyraźniej potrafili porozumiewać się wyłącznie na dwa sposoby: głośny i ogłuszający.

– Koniec pyskowania, bo wszystkich przyparzę! – ryknął Nadzorca i zerknął na kartkę papieru.

– Dobra! Od tej pory nosicie nazwę Brygada 205 117. Zapamiętajcie! Brygada 20... – Znowu zajrzał do

kartki. – Brygada 205117. Ty z lewej masz numer pierwszy. Ty masz numer drugi, ty trzeci, ty czwarty, ty piąty, ty szósty, ty siódmy...

– Nieźle liczy, prawda? – wyszeptał Japeth, który nadal podtrzymywał osłabionego Arthura. Ból minął jednak szybko, więc chłopiec mógł już samodzielnie stać, kiedy Nadzorca wskazał go palcem i powiedział:

– Ty jesteś trzynasty.

Ta liczba sprawiła, że Nadzorca znieruchomiał i podrapał się w głowę. Ponownie spojrzął na papier, lecz nie dostrzegł tam tego, czego szukał.

– Nie powinno być trzynastu – mruknął do siebie po długim milczeniu. – W brygadzie jest zawsze dwunastu...

– Może dzieci Szczurołapa dorzucają w ramach dodatku – zasugerował Japeth i wyciągnął rękę, aby powstrzymać Arthura przed zatoczeniem się na niego. – Gratis. Jako premię, bonus lub promocję...

– Zamknij się! – ryknął Nadzorca. – Ty, Numer Trzynasty! Jesteś jednym z dzieci Szczurołapa?

– T-tak – wyjąkał Arthur.

– Nie jesteś posłańcem? Dzieci Szczurołapa zawsze służą tu za posłańców.

– Nie – powiedział Arthur. – Nie jestem posłańcem.

– Zatem dorzucili cię jako dodatek – podsumował Nadzorca z satysfakcją. Jego twarz się rozpromieniła, gdy rozwiązał tę niebywale skomplikowaną zagadkę. Ponownie spojrzął na kartkę i powoli odczytał następną instrukcję. Co pewien czas przerywał i zastanawiał się

nad jakimś słowem lub wycierał plamkę, która zasłoniła druk.

– Dodatek do brygady, zaraz wyruszysz na dno Studni! Wyjdziecie na drogę, a Numer Pierwszy otrzyma świecę czasową. Musicie dotrzeć do Pierwszej Stacji Podróżnej, zanim świeca się wypali. Jeśli tego nie zrobicie, zostaniecie wytropieni i ukarani. Na Pierwszej Stacji Podróżnej otrzymacie następną świecę czasową i będziecie musieli dotrzeć do Drugiej Stacji Podróżnej, zanim świeca się wypali. Ten schemat będzie się powtarzał, aż dotrzecie do Dolnej Stacji. Tam zostaniecie przydzieleni do nowych brygad, z którymi będziecie pracowali w Studni. Chwała Ponuremu Wtorkowi!

Nadzorca złożył kartkę i wsunął ją z powrotem do kieszeni. Następnie przeszukał niemal wszystkie kieszenie, nim wreszcie wydobył wysoką, białą świecę z czerwonymi paskami, rozmieszczonymi tak, aby między jednym a drugim pozostawała wolna przestrzeń szerokości palca. Kiedy tylko Rezydent oznaczony jako Numer Pierwszy wziął świecę do ręki, jej knot samoczynnie zapłonął. Wszyscy Rezydenci wbili wzrok w płomień, a ich twarze wyrażały poruszenie, zgrozę i niesmak.

Także Arthur patrzył na świecę. Jej światło sprawiło, że on i pozostali uświadomili sobie, iż naprawdę zmierzają na dół, ku nieznanym potwornościom Studni.

– W drogę! – ryknął Nadzorca.

Kiedy jednak Numer Pierwszy ruszył przed siebie,

Nadzorca uniósł przyłbicę i coś wymamrotał. Arthur dopiero po chwili zrozumiał, że strażnik, podobnie jak urzędnik zaopatrzeniowy, powiedział: „Dużo szczęścia”.

Arthur był zaskoczony, że Nadzorca życzył im szczęścia, i zarazem martwiło go, iż będzie im ono potrzebne. Niewiele brakowało, a odezwałby się, przechodząc obok strażnika, lecz Nadzorca zatrzasnął już przyłbicę. Następna gromada skazanych na zejście do Studni Rezydentów wyłaniała się ze smogu. Szli z góry, wzdłuż toru.

Chłopak i jego towarzysze zmierzali na dół. Maszerowali gęsiego obok szyn; Numer Pierwszy narzucał szybkie tempo. Arthur wahał się przez chwilę, ale tak naprawdę nie miał wyboru, podobnie jak wcześniej. Nie mógł wrócić na górę, a po drugiej stronie toru znajdowała się krawędź studni.

Musiał podążać za resztą brygady i schodzić coraz niżej, w spowity dymem mrok.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Numer Pierwszy nie zwolnił tempa i przez kilka godzin nie zarządził postoju. Arthur z najwyższym trudem dotrzymywał kroku towarzyszom, a od czasu do czasu musiał podbiegać, aby do nich dołączyć. Ściana Studni z lewej strony stawała się coraz wyższa, a droga użytkowa stopniowo się zwężała i biegła coraz bliżej toru. Chłopiec zaczynał pojmować, jak ogromną przestrzeń zajmuje Studnia. Szyny oraz równoległa do nich droga były niewątpliwie wykute w ścianie Studni i tworzyły spiralną, gigantyczną półkę skalną, przebiegającą od wylotu do dna przepaści. Przy tak gęstym smogu niewiele było widać, lecz krzywizna trasy wydawała się znikoma, więc Arthur ostatecznie uznał, że Studnia musi mieć wiele kilometrów średnicy.

Chłopiec nie miał pojęcia, na jakiej głębokości znajduje się dno. Spytał o to Japetha, który również nie potrafił tego oszacować. Japeth powtórzył pytanie Numerowi Jedenastemu przed sobą, lecz Rezydentka w milczeniu pokręciła głową. Pozostali wędrowcy również nic nie mówili. Z opuszczonymi głowami i wzrokiem wbitym we własne drewniaki albo w pięty Rezydenta przed sobą podążali za Numerem Pierwszym. Od czasu do czasu któryś z nich niespokojnie podnosił wzrok, starając się sprawdzić, ile jeszcze pasków pozostało na świecy czasowej.

Maszerowali godzinami. Po drodze nie widzieli nic godnego uwagi, jeśli nie liczyć sporadycznych stert zepsutych części maszyny, usypanych przy torze. W pociągu Ponurego popękało wiele osi, często urywały się korbowody, rozpadały koła, korodowały tłoki i dochodziło do wielu innych uszkodzeń. Arthur domyślał się, że przyczyną takiej usterkowości jest szkodliwość Nicości z dna Studni.

Chętnie przyjrzałby się różnym elementom, lecz brygada po raz pierwszy zatrzymała się dopiero wtedy, gdy Numer Szósty potknęła się o własne drewniaki i upadła, przewracając Numer Piąty, który przewrócił Numer Czwarty. Postój potrwał jednak tylko tyle czasu, ile było trzeba, aby trzech Rezydenci wstali i z powrotem włożyli drewniaki.

Godzinę później Arthur celowo zgubił but, aby nieco odpocząć, lecz wędrował na samym końcu grupy, więc poza Japethem nikt nie zwrócił na niego uwagi. Reszta brygady nie zatrzymała się, dlatego Arthur i Japeth musieli podbiec, aby do niej dołączyć.

W ten sposób chłopiec stracił resztę energii. Wiedział, że w Domu nie potrzebuje żywności ani wody, lecz mimo to odczuwał głód, pragnienie oraz przygnębienie. Próbował otrząsnąć się z depresji, powtarzał sobie, że czarne myśli nachodzą go tylko z powodu zmęczenia. W tym jednak tkwił zasadniczy problem. Arthur był na granicy wyczerpania. Coraz bardziej opadał z sił, a Rezydenci nieprzerwanie

maszerowali.

Im dłużej szedł, tym trudniej mu było odpędzić myśli o tym, by dać za wygraną i pisemnie zrezygnować z Klucza oraz Władzy nad Niższym Domem. Nie potrafił skupić uwagi na niczym poza kapitulacją.

Gdy wyłonili się ze smogu, Arthurowi udało się na pewien czas poskromić pesymistyczne przemyślenia i poczuł się odrobinę lepiej. Podbiegł nawet na czoło kolumny, by zerknąć na świecę czasową. Zignorował przy tym wymowne spojrzenia Numeru Pierwszego, któremu nie podobało się, że dodatek opuścił swoje miejsce w grupie. Przyływ dobrego samopoczucia trwał jednak tylko kilka minut. Arthur szybko powrócił na koniec gromady, poruszony świadomością, że na świecy wypaliły się zaledwie dwa paski z dwunastu. Zgodnie ze wskazaniem jego zegarka, który co prawda chodził do tyłu, ale poza tym wyglądał na sprawny, maszerowali już przez sześć godzin. Biorąc pod uwagę, że do wypalenia pozostało jeszcze dziesięć pasków, wędrowców czekało aż trzydzieści godzin w drodze.

Nawet pomimo ustąpienia smogu panowały nieprzeniknione ciemności. Jedyne światło dawały świeca czasowa oraz latarnie sztormowe należące do brygady. Na domiar złego wkrótce zanurzyli się w wilgotne, ciężkie chmury, co prawda czystsze niż smog, lecz zimne i kleiste.

Jeszcze trzydzieści godzin marszu, pomyślał Arthur. Nie dam rady. Ale muszę... muszę...

Był już zbyt zmęczony, aby myśleć o tym, jak się oswobodzić z niewoli, lecz perspektywa następnych trzydziestu godzin marszu skłoniła go do intensywniejszego poszukiwania sposobu ucieczki. Zaczął się częściej rozglądać, na wypadek, gdyby nadarzyła się jakaś sposobność.

Może zdołałbym się ukryć, a po pewnym czasie przekraść z powrotem na górę, rozmyślał. Albo zniecka napaść na Nadzorcę, odebrać mu odzież i przebrać się w nią. Tyle że, jak dotąd, podczas marszu nie widziałem ani jednego Nadzorcy... A może znajdę budkę telefoniczną i kilka monet, których nie zauważył Ponury. Wówczas zatelefonowałbym do Woli i byłbym uratowany...

Rozważania Arthura przerwał odgłos spadającego drewniaka. Uświadomił sobie, że zasnął podczas marszu i że Japeth nie idzie przed nim, tylko obok niego, przytrzymując go za łokieć.

Chłopiec zorientował się, że sam zgubił but. Pochylił się, aby go wsunąć na stopę; jego ruchy były jednak tak powolne, jakby nadal był pogrążony we śnie.

– Jak długo... spałem? – wymamrotał. Wszystko wyglądało tak samo. Rezydenci znikli w chmurach przed nim, prowadzeni przez niewyraźną postać z migającym światłem w dłoni. Z prawej strony przebiegał tor kolejowy. Nieopodal leżała jeszcze jedna sterta połamanych kół i innych rupieci.

– Nie wiem – odparł Japeth. – Odważny jesteś, skoro potrafisz spać w marszu. Podejrzewam, że mnie uda się

zasnąć dopiero za wiele tygodni.

– Po prostu jestem wykończony – westchnął Arthur.
– Nie jestem Rezydentem.

– Nie jesteś Rezydentem? – zdumiał się Japeth. – Przecież nawet dzieci Szczurołapa zostały Rezydentami. W pewnym sensie.

– Ja nie. Jestem śmiertelnikiem. Wcześniej tylko raz byłem w Domu...

– Ale dysponujesz mocą! Wyczułem ją, gdy podaliśmy sobie dłonie. Powiedziałeś, że masz misję...

Chłopiec potrząsnął głową, aby się rozbudzić. Ogarnęło go tak przemożne zmęczenie, że nie potrafił nawet odpowiednio ułożyć ust i języka, aby wyraźnie mówić. Uderzył się w twarz i poczuł, jak z jego dłoni łagodnie emanuje energia. To go otrzeźwiło... odrobinę.

– Trudno mi to wyjaśnić – powiedział. – Ponury Wtorek jest moim wrogiem, a ja naprawdę chcę pomóc wszystkim w ucieczce ze Studni. Najpierw jednak sam się muszę wyzwolić.

– Od kontraktu nie ma ucieczki – poinformował go ponuro Japeth i przesunął palcami po sznurku na szyi. – Kontraktowi robotnicy zawsze są zawracani na Odległe Rubieże, nawet jeśli udaje im się dotrzeć do innej części Domu. Nie ma ucieczki, ratunku, wyzwolenia ani oswobodzenia. Utkwiliśmy tutaj na wieczność. Na zawsze, plus jeden statutowy dzień.

– Musi istnieć jakiś sposób – upierał się Arthur. Był nieco odświeżony – albo z powodu spoliczkowania

samego siebie, albo po drzemce w marszu. Czuł się jednak tylko trochę lepiej. Intensywne przemęczenie dawało o sobie znać z każdej kości, z każdego mięśnia; czekało na sposobność, aby się nasilić i ogarnąć go całego. – Czy kontraktu nie da się zerwać?

– Cisza tam z tyłu! – rozkazał Numer Pierwszy. Najwyraźniej uznał, że jest szefem, bo trzyma świecę.

– Wsadź sobie kinol w fartuch! – poradził mu Japeth.
– Będziemy rozmawiali tyle, ile będziemy chcieli.

Numer Pierwszy wymamrotał coś w odpowiedzi, ale umilkł. Przyspieszył jednak kroku, a pozostali Rezydenci posłusznie poszli za jego przykładem. W rezultacie Arthur musiał podbiegać co dwadzieścia kroków, a nie co pół godziny, jak dotąd. Wkrótce poczuł znajomy ucisk w prawym płucu. Bolało go także gardło i miał opuchnięty nos. Zakłęcie, które zdradził mu Strażnik Porucznik, najwyraźniej przestawało działać.

– Nawet gdybyś mógł odciąć mi identyfikator kontraktowy, nic by to nie dało – wyjaśnił Japeth, lekkim krokiem biegnąc u boku Arthura. – Ponury Wtorek dysponuje główną listą kontraktów, zawierającą dokumenty wszystkich Rezydentów oraz wyliczenie, ile jesteśmy winni i ile zarabiamy. Indywidualny identyfikator po prostu samoczynnie się odtwarza, jeśli ulegnie uszkodzeniu albo zniszczeniu. Jedyńm sposobem wydostania się byłoby wykupienie naszych kontraktów przez któreś z innych Dni. A to się nigdy nie stanie. Nasze Dni przetransferowały nas do Ponurego,

choć trafiajniej byłoby powiedzieć, że zostaliśmy sprzedani, przehandlowani albo wymienieni.

– Musi istnieć jakiś sposób – mruknął Arthur z uporem. Przynajmniej on sam nie był zakontraktowany, choć fakt ten nie miał najmniejszego znaczenia, kiedy chłopiec zmierzał w odwrotnym kierunku, niż powinien, i pozbawiał się w ten sposób szansy ucieczki. Poza tym padał z nóg, ciekło mu z nosa, jedno płuco odmawiało mu współpracy, drugie było obolałe z powodu nadmiernego obciążenia. Mógł myśleć tylko o tym, żeby stawiać jedną nogę przed drugą, i o niczym więcej.

– A właśnie – ożywił się Japeth. – Skąd wzięłś katar? W Średnim Domu coś takiego byłoby warte fortunę.

– Powiedziałem ci, że jestem śmiertelnikiem – pociągnął nosem Arthur. – Przeziębilem się.

– Och – westchnął Japeth. – Przeziębienie! Umiesz to przekazywać innym? Może udałoby ci się przekupić Nadzorcę...

Arthur pokręcił głową. Nie miał pojęcia, jak przekazywać przeziębienie. Mógł co najwyżej kichnąć na Japetha, lecz nie zamierzał tego robić. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Rezydenci wykazywali tak ogromne zainteresowanie dolegliwościami śmiertelników. Rzecz jasna, dla nich miały one aspekt wyłącznie kosmetyczny, bo nie wywoływały złego samopoczucia.

Pół godziny później ciężka wilgoć chmury zmieniła się w zwykły deszcz. Brygada przystanęła na chwilę, aby

włożyć peleryny. Deszcz wkrótce przeszedł w jednostajną mżawkę, od czasu do czasu akcentowaną pojedynczymi, ciężkimi, żrącymi kroplami. Jedna z nich upadła Arthurowi na dłoń, a gdy się po niej zsuwała, na skórze pozostawał wypalony, skwierczący ślad. Podobnie jak w wypadku rany zadanej przez Sponiewieraka poparzenie zagoiło się bez śladu już po kilku minutach.

Deszcz Nicości, pomyślał Arthur z przygnębieniem. Tylko tego mi było trzeba.

Pałące krople spadały co kilka minut, lecz większość trafiała na kaptur lub pelerynę chłopca, pozostawiając w stabilizowanym błocie małe, wyżarte kraterki. Arthur był tak zmęczony, że ledwie je zauważał. Przez cały czas szedł, ale tylko dlatego, że Japeth prawie go niósł.

Mimo to coraz bardziej zostawali w tyle. Płomyk świecy, niesionej przez Numer Pierwszy, często znikał im z pola widzenia, a zamglona sylwetka Numeru Jedenastego tylko od czasu do czasu pojawiała się w deszczu.

– Dalej nie dam rady – jęknął Arthur w końcu, gdy całkiem stracili z oczu Numer Jedenasty. – Ty idź. Dogonię grupę, kiedy odpocznę. Schowam się za tą stertą rupieci, Nadzorcy mnie nie znajdą.

Japeth pomógł chłopcu usiąść przy jednym ze stosów uszkodzonych elementów pociągu. Arthur oparł się plecami o parę kół z wózka zwrotnego i opuścił głowę na kolana. Bez przekonania wytarł nos o rękaw i pomyślał, że powinien znowu rzucić zakłęcie oddechowe. Był

jednak taki zmęczony...

Po chwili uświadomił sobie, że Japeth nadal przed nim stoi.

– Idź! – polecił mu słabym głosem. – Wymyślę jakiś sposób, żeby was dogonić. Po co mają cię przyparzyć?

– Gorąca para być może nie jest tak przerażająca jak dalsza droga w głąb Studni – zauważył Japeth, ważąc słowa. – U ściągniętych tutaj Rezydentów dostrzegłem tylko rozpacz i zwątpienie. Ty dajesz poczucie nadziei. Nie jesteś zakontraktowany. Skrywasz w sobie moc. Wolę zaryzykować i związać swoje losy z tobą. Odpocznij, a ja będę czuwał. Pilnował cię. Chronił. Bronił. Opiekował się tobą. Przejmował się twoimi losami. Troszczył się o ciebie. Stał na straży. Trzymał wachtę. Patrolował. Sprawował nadzór...

Japeth mówił, a Arthur czuł, że traci kontakt z rzeczywistością. Głos Rezydenta oddalał się coraz bardziej. Chłopcu wystarczyła sekunda, aby zasnąć.

Obudził się, słysząc dziwny warkot oraz drzenie szyn. Japeth szarpał go za ramię.

– Arthurze! Wstań! Coś jedzie po torze!

Chłopak usiadł i momentalnie się rozkaszał. Bolesny kaszel zaczynał się głęboko w jego klatce piersiowej i przetaczał przez gardło; trwał i trwał, zupełnie jakby organizm z desperacją próbował usunąć z ciała toksyczną substancję.

Arthur wepchnął palce do nosa, a kciuk do ust. Następnie, między jednym atakiem kaszlu a drugim,

wymamrotał słowa zaklęcia Strażnika Porucznika. Mimo to podrażnienie nie ustawało i wzmógł się katar. Chłopiec był coraz bardziej przerażony. Zaklęcie nie poskutkowało. Czuł, że zadławi się na śmierć, tutaj, w tej przerażającej Studni...

Nagle kaszel ustał i w tej samej chwili Arthurowi wyszło w nosie. Odetchnął głęboko, rozkoszując się powietrzem, które wypełniało mu płuca. Czuł się dobrze, chociaż bardzo zeszywniały mu nogi. Według wskazań chodzącego do tyłu zegarka, przespał trzy godziny.

– Musimy się ukryć! Zamaskować! Znaleźć schronienie! – ostrzegł Japeth.

Arthur popatrzył na szyny, a wtedy wielka kropla deszczu zmieszanego z Nicością trafiła go w policzek, niemal wyzerając mu oko. Chłopak zaklął i wytarł kroplę, nie zwracając uwagi na bolesne pieczenie. Ponownie spojrzął na tor, lecz tym razem pamiętał o starannym osłonięciu twarzy kapturem.

Na szynach dostrzegł dwie rozmazane plamki światła – równie słabego jak światło z jego latarni sztromowej – oddalone o mniej więcej trzydzieści centymetrów od siebie. Rozstaw lamp był zbyt mały i nie świeciły dość mocno, aby uznać je za reflektory lokomotywy. Także warkot wydawał się zbyt cichy, szyny brzęczały bardzo łagodnie. Duży parowóz z ładunkiem wydawałby całkiem inny odgłos.

Mimo to Arthur podbiegł na drugą stronę sterty metalu i razem z Japethem przykucnął za przewróconym

siedzeniem, które ktoś wyrzucił z wagonu. Końskie włosie, stanowiące wypełnienie tapicerki, sterczało na wszystkie strony niczym osobliwa roślina. Chłopiec i Rezydent wsunęli latarnie do środkowego otworu w wielkim kole napędowym, przykryli je stalowym amortyzatorem i znieruchomili w kompletnej ciemności.

Arthur wstrzymał oddech, coraz bardziej przerażony widokiem zbliżających się świateł i mrocznego kształtu, który za nimi majaczył.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Arthur zerknął zza przewróconej ławki na nadjeżdżający pojazd. Z powodu deszczu i rozmytego światła wyjątkowo trudno mu było zorientować się, co takiego się do nich zbliża. Tylko co do jednego nie miał wątpliwości: nie był to pociąg. W pewnej chwili Arthur zauważył, że pojazd sunie na jednym kole, które ma około dwóch metrów wysokości i ponad pół metra szerokości, i toczy się po wewnętrznej stronie torów. Ściśle biorąc, maszyna składała się z dwóch kół: jednego wewnątrz drugiego. Środkowe pozostawało nieruchome. Światła były przymocowane do boków wewnętrznego koła, w którym przebywał ktoś... lub coś.

Arthur nie zauważył żadnych śladów silnika parowego ani innego urządzenia wprawiającego koło w ruch. Być może po prostu staczało się ono ze zbocza, bez możliwości powrotu na górę. Taki środek transportu wydawał się nieodpowiedni dla Ponurego Wtorka, co chłopiec przyjął z ulgą. Trudno byłoby komuś znacznie wyższemu lub grubszeemu od Arthura zmieścić się wewnątrz koła.

Tyle że Ponury Wtorek wcale nie musiał wyglądać tak jak na wizerunkach z drzwi stacji... W gruncie rzeczy mógł być niski i drobny... poza tym nigdzie nie powiedziano, że był ludzkich kształtów.

– Co to takiego? – spytał Japeth szeptem.

– Nie wiem – odszepnął Arthur. Nie odrywał wzroku od toczącego się koła. Czyżby maszyna zwalniała? A może wyobraźnia płatała mu figla?

– Zatrzymuje się! Staje! Hamuje! Przestaje jechać dalej!

– Pst! Bez paniki – syknął Arthur. Pochylił się i podniósł długą miedzianą rurkę, całą pokrytą wgłębieniami wypalonymi przez Nicość. Być może wcześniej był to przewód pary albo rura ogniowa. Przedmiot, choć śliski i wilgotny, wydawał się przyjemnie ciężki.

– A jeśli ten ktoś ma miotacz pary? – spytał Japeth.

– Pst! – syknął Arthur ponownie. – Może nas minie i pojedzie dalej.

Tymczasem koło zatrzymało się w odległości około dziesięciu metrów od nich. Szyny przestały brzęczeć, dzięki czemu chłopiec wyraźnie usłyszał dziwny, niski dźwięk, który nieprzerwanie wydawało koło. Arthur dopiero po chwili rozpoznał ten odgłos: było to tykanie mechanizmu zegarowego. Momentalnie przypomniał sobie dramatyczne zdarzenia z Piwnicy Węglowej, po której grasowały zegarowe stwory...

Osoba wewnątrz koła wyprostowała jedną nogę, potem drugą. Nieznajoma postać wydawała się poruszać normalnie, a nie jak nakręcana maszyna, niemniej Arthur mocniej zacisnął dłoń na miedzianej rurce. W jego głowie ponownie pojawiły się desperackie myśli. Może powinien podejść do pojazdu i poddać się, poprosić o dostarczenie

go do Ponurego Wtorka...

Nie! Stanowczo przeciwstawił się tym podszeptom. Nie poddam się. Nie dam za wygraną, nie będę beczynnie czekał, aż ktoś mnie zaatakuje parą albo potnie na kawałki.

Kierujący dziwnym pojazdem osobnik całkiem wysunął się z koła i stanął za lewą latarnią. Światło, rozproszone i rozmyte przez deszcz, było zbyt słabe, aby ocenić rozmiary obcego. Arthur nie potrafił także się zorientować, co robi nieznajomy. Nie widział jednak żadnych śladów unoszącej się nad nim pary i nie dostrzegął błysku obnażonego ostrza.

Pograżona w półmroku istota uniosła rękę. Arthur zdrętwiał. Gdy z końca jej palca wskazującego wytrysnął snop jasnego światła, chłopak poderwał się i rzucił przed siebie, wymachując miedzianą tuleją nad głową.

– Aaa! – ryknął, szarżując.

– Arthur! – rozległ się głos.

Arthur gwałtownie zatrzymał się i niemal się przewrócił. Opuścił rurkę i wbił wzrok w światło. Grzbietem lewej dłoni starł z twarzy krople deszczu.

– Suzy? – spytał.

– Pewnie, głupku! A kogo się spodziewałeś?

Arthur uśmiechnął się i pokręcił głową, kiedy Suzy Turkusowy Błękit stanęła przed latarnią. Wyglądała tak samo jak zawsze: miała jasne oczy i była ogólnie zaniedbana. Na swoje liczne koszule narzuciła wszechobecny fartuch z Odległych Rubieży; spod niego

wystawał fragment jej kamizelki w kolorze owoców morwy. Zamiast sfatygowanego cylindra nosiła dziwaczny, mały, okrągły czerwony kapelusik, z lśniącem czarnym paskiem pod brodą. Za pasem miała duży, rozcięty na końcu kijek, w szczelinę na jego skraju wetknęła kawałek pergaminu.

Chłopiec ponownie pokręcił głową, a jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. Suzy była nie tylko świetnym przyjacielem i druham, lecz także miała zwyczaj pojawiać się w chwilach, gdy Arthur naprawdę potrzebował pomocy. Poza tym do tej pory jeszcze nigdy nie widział jej przygnębionej. Nawet tutaj, w Studni Ponurego Wtorka.

– Nie sądziłem, że spotkam kogoś życzliwego – przyznał Arthur. – Ogromnie się cieszę, że cię widzę.

– Nic dziwnego – zauważyła Suzy. – Też bym się cieszyła w tej koszmarnej dziurze. Kim jest twój towarzysz?

Arthur obejrzał się przez ramię i zerknął na Japetha, niepewnie stojącego za przewróconą ławką.

– To Japeth. Japeth, wszystko w porządku. To moja przyjaciółka! – zawołał do Rezydenta. – Chodź do nas. – Ponownie spojrzął na Suzy. – Japeth został przydzielony do mojej brygady roboczej. Pomógł mi... ocalić życie, trzeba nazwać rzecz po imieniu. Ale co ty robisz w tej dziurze?

– Szukam ciebie, a jakże – wyjaśniła Suzy. – Au!

Ciężka kropla deszczu zaprawionego Nicością upadła

jej na grzbiet dłoni. Suzy skrzywiła się i ją starła, nie zwracając uwagi na czerwone zgrubienie, które pozostało na skórze. W przeciwieństwie do Arthura i Japetha, nie nosiła peleryny ze stabilizowanego błota.

– Muszę wyciągnąć parasol – mruknęła i zaczęła gmerać pod koszulami. Wydobyła i rozłożyła maleńki wielobarwny parasol z papieru, taki jak do ozdabiania drinków koktajlowych. Przedmiot wyglądał niedorzecznie, lecz po chwili eksplodował, podobnie jak *Atlas*, osiągając rozmiary normalnego parasola.

Atlas!

Arthur wpadł w panikę. Zaczął grzebać pod peleryną i fartuchem w poszukiwaniu kieszeni koszuli. Przez chwilę był przekonany, że upuścił *Atlas* na szynach! Sekundę później jego dłoń spoczęła na szorstkiej oprawie z materiału i odetchnął z ulgą.

– Zawał? – zainteresowała się Suzy. – Nie za młody jesteś?

– Nie, sprawdzam tylko, czy mam *Atlas* – wyjaśnił Arthur. Ponownie popatrzył na Suzy. Miał ochotę ją uścisnąć, tak bardzo się cieszył na jej widok. Pohamował się jednak i tylko wyciągnął ku niej dłoń. Suzy wzięła go za rękę.

– To dla mnie prawdziwa przyjemność – oświadczyła oficjalnie. – Widzisz, łyknęło mi się dobrych manier.

Uścisnęli sobie dłonie. Nagle paznokieć na palcu wskazującym dziewczynki zaśnił bardzo jaskrawym, wyraźnym światłem, które niemal oślepiło Arthura. Suzy

momentalnie puściła dłoń przyjaciela i pociągnęła za palec tak mocno, że zachrzęściły jej stawy. Wówczas światło znikło.

– Powinno było zgasnąć, kiedy cię znalazłam – burknęła. – Pierwsza Dama... to ona była Pierwszym Fragmentem Woli... zrobiła tak, żeby było jaśniejsze, kiedy będziesz już blisko.

– Ale skąd wiedziałaś, że tutaj jestem? – spytał Arthur.

– To było jasne – oświadczyła i przyłożyła palec wskazujący do nosa. Ponownie zajaśniał, a ona się cofnęła, zaskoczona. – Głupie zaklęcia palcowe! Gdyby to kogoś interesowało, to moim zdaniem ta Wola zbyt długo była żabą.

– Skąd wiedziałaś? – powtórzył Arthur uparcie.

– Po tym, jak odcięto telefon, przyszło mi do głowy, że przeniknę do twojego świata, tyle że Pierwsza Dama nie pozwoliła mi ruszyć w drogę, no bo Pierwotne Prawo. No to mówię: „Kretyńskie to prawo, skoro nie wolno mi nic zrobić, chociaż wszystkim innym wolno”, na co Pierwsza Dama mówi: „Jeśli nie będziesz ostrożna, moja panno, powędrujesz do swojego pokoju na najbliższe dziesięciolecie, cokolwiek się zdarzy”. Więc mówię: „Arthur tu rządzi, on ze mnie zrobił Poniedziałkową Przedpołudnicę, ty jesteś tylko Plenipotentką”..., no i posłała mnie do pokoju. Tyle że wylazłam kominem, a Kichol pozwolił mi skorzystać z Siedmiu Cyferblatów, żebym sprawdziła, co jest grane, no i zobaczyłam, że

Szkaradzieje się przedarli, a za nimi Sponiewierak, no więc chciałam cię ostrzec, ale masz jakąś grubą czaszkę czy co, i nie docierają do ciebie senne widzenia, więc Kichol pomógł mi poprosić *Atlas*, aby cię pokierował do tej dziewczyny Liść, co to ją spotkałam, kiedy byliśmy na Niebywałych Schodach, i potem posłałam jej sen, żeby wiedziała, gdzie Szkaradzieje otworzyli swoją stronę Drzwi w waszym świecie, a sama... Co to ja mówiłam?

Odetchnęła głęboko i trajkotała dalej:

– Ach, tak... Uznaliśmy, że Liść powtórzy ci, co trzeba, a potem skorzystasz z tych drzwi, żeby dostać się do Domu. Ale potem pomyślałam, że lepiej wyruszę ci z pomocą, no więc poszłam porozmawiać ze Strażnikiem Porucznikiem i poprosiłam go, żeby mnie przepuścił, ale nie chciał, więc przekradłam się z powrotem do Pokoju Dziennego i znowu zajrzałam do Siedmiu Cyferblatów, i zobaczyłam, że przechodzisz przez Drzwi, no więc zeszłam do Atrium na spotkanie z tobą. Ale się nie pokazałeś, więc zapukałam do Drzwi i porozmawiałam ze Strażnikiem Porucznikiem.

No i pytam go: „Czy Arthur przechodził przez Drzwi?”, a on mówi: „Tak”, więc czekam, a ten milczy, no to pytam: „Dokąd poszedł?”, a on: „Do Odległych Rubieży”, więc pytam: „Dawno temu?”, a on mówi: „Przed dwiema godzinami Czasu Domowego”, a potem mówię: „Proszę mnie przepuścić”, a on mówi: „Nie”, więc pytam: „Czemu?”, a on mówi: „Nawet gdybym mógł na to pozwolić, z tych Drzwi zdołałabyś skorzystać

wyłącznie od strony Poślednich Królestw. Musisz więc przejść przez Dom”.

No to wróciłam do Pierwszej Damy, trochę pokrzyczałam i narobiłam zamieszania, i w końcu ona mówi: „Ponury Wtorek zasłużył na to, żebyś stanęła na jego progu”, no i wyposażyła mnie w różne drobiazgi, żebym mogła cię stąd wyciągnąć, takie jak ten numer z paznokciem.

– Rozumiem – powiedział Arthur słabym głosem. Przez cały dzień prawie nic nie mówił, więc miał niemal dosyć słuchania Suzy, która najwyraźniej była w gadatliwym nastroju. – No więc jak się dostałaś na Odległe Rubieże, zdobyłaś to... to koło i w ogóle?

– Ponury wykorzystuje dzieci Szczurołapa jako posłańców – wyjaśniła Suzy i zademonstrowała rozszczepiony kijek z pergaminem na końcu. – Poniedziałkowy Południk, który był Zmierzchnikiem, przeniósł mnie do Środkowego Domu, gdzie jego przyjaciel sprzedał mój kontrakt Ponuremu Wtorkowi, żebym mogła dołączyć do posłańców. Potem zamieniłam się z Nedom, żeby zjechać po torze, bo palec mi świecił, gdy podchodziłam do szyn.

Arthur pokręcił głową. Jego nowy kolczyk irytująco dyndał i uderzał go w szyję. Chłopak nadal był zmęczony i obolały, więc z trudem docierały do niego te wszystkie informacje. Dopiero po chwili pojał znaczenie słów Suzy.

– Jesteś zakontraktowana! – wykrzyknął. – To oznacza, że zostałam tutaj uwięziona!

– Tymczasowo – odparta Suzy i wzruszyła ramionami. – Kiedy znajdziesz Drugi Fragment Woli i odsuniesz od władzy Ponurego Wtorka, zwolnisz mnie z kontraktu.

– Mnie też – dodał Japeth. – Panie. Wasza Ekscelencjo. Wasza Eminencjo. Wasza Wysokość. Wasza Dostojność. Kimkolwiek właściwie jesteś.

– On jest Poniedziałkiem – oświadczyła Suzy. – Ma władzę nad Niższym Domem.

Japethowi utknęło w gardle to, co zamierzał powiedzieć. Natychmiast uklonił się tak nisko, że niemal położył głowę u stóp Arthura.

– Nie jestem Poniedziałkiem! – zaprotestował chłopak, wyraźnie zmieszany. Naprawdę nie był Poniedziałkiem. Nie był jednym z Dni. Zupełnym przypadkiem wplątał się w ważne zdarzenia, lecz jak najszybciej zamierzał wrócić do normalnego, spokojnego życia. – Nazywam się Arthur Penhaligon. Władzę nad Niższym Domem przekazałem... Pierwszej Damie, czy jak tam każe na siebie mówić. Wyprostuj się, proszę!

Japeth nieznacznie uniósł głowę, lecz pozostał w ukłonie. Cofnął się o kilka kroków, potknął o pęknięty fragment szyny i jak długi padł na plecy. Arthur rzucił się mu na pomoc, przez co Rezydent jeszcze bardziej się stropił.

Kiedy Japeth wstawał, Arthur popatrzył na Suzy.

– Niby jak mam znaleźć Drugi Fragment Woli i odsunąć od władzy Ponurego Wtorka? Nie potrafię nawet

wydostać się z tej Studni! Au! Au!!!

Kropla deszczu z Nicością kapnęła mu na wargę. Arthur natychmiast wytarł ją nerwowo i zaczął podskakiwać, trzymając się za twarz, aż wreszcie ból ustąpił. Nie wiedział, czy to się działo za sprawą zaklęcia Strażnika Porucznika, czy też nadal dawał o sobie znać wpływ Pierwszego Klucza, lecz oparzenia wywołane deszczem Nicości goiły się już po kilku minutach. Mimo to ból pozostał...

– Dlatego tu jestem – zauważyła Suzy. – Pomogę ci. Może powinieneś spojrzeć gdzie indziej, będzie trochę obrzydliwie.

– O czym mówisz? – spytał Arthur, kiedy Suzy wsunęła do ust dwa palce.

– O tym! – obwieściła, wyrywając ząb z tyłu szczęki, w całości, z krwawiącymi korzeniami.

Chłopak się skrzywił i cofnął, kiedy Suzy pluła krwią na szyny.

– Musiałam przemyć dodatkowy ząb mądrości, z samego tyłu buzi – wytłumaczyła i położyła ząb na ziemi, starannie osłaniając go parasolem. – Mam w nim wszystko, czego nam potrzeba.

Arthur spojrział na zakrwawiony ząb. jak ten ohydny trzonowiec mógł cokolwiek pomieścić?, pomyślał, ale na tyle dobrze znał specyfikę Domu, że przezornie milczał.

Nagle, na oczach chłopca, czerwień zakrwawionych korzeni zaczęła się powoli rozprzestrzeniać po całym zębie, zmieniając jego barwę z białej na intensywnie,

jednolicie szkarłatną. Trzonowiec załśnił, jego zarys stał się zamazany i niewyraźny. Przeobrażał się. Sekundę potem na miejscu zęba pojawiła się mała, gruba drewniana laleczka, na trzy centymetry wysoka i na pięć szeroka, z uśmiechniętą buzią, rumianymi policzkami i w pomalowanym na jasnoczerwono palcie, z czarną kreską wokół brzucha, czyli w miejscu, w którym można było ją otworzyć. Przypominała najmniejszą laleczkę z zestawu rosyjskich matrioszek, chowanych jedna w drugiej.

– Hm, jesteś pewna, że o to chodziło? – zapytał.

– Otwórz – zachęciła go Suzy i pociągnęła nosem. – Sam sprawdź.

Arthur pochylił się i rozkręcił lalkę. Gdy zdejmował jej górną połowę, jego kciuk i palec wskazujący zostały brutalnie rozchylone, z mocą, która niemal doprowadziła do ich zwichnięcia. Z mniejszej lalki wyskoczyła większa.

Druga matrioszka była pięć razy większa od pierwszej, maleńkiej laleczki, którą Arthur przed chwilą otworzył. Chłopiec westchnął, kiedy Suzy uniosła brew.

– Śmiało – zachęciła go. – W środku są jeszcze trzy lalki, a dopiero na końcu ta z ekwipunkiem. Pamiętaj, żeby nie przybliżać głowy do lalek.

– Ja to zrobię, panie – zaproponował Japeth.

– Nie, ja to zrobię – zaprotestował Arthur. – I nie mów do mnie „panie”!

– Według życzenia, wasza jaśnie wielmożność.

– Tak też do mnie nie mów – zabronił mu Arthur,

sprawnie odkręcając główkę drugiej lalce i odchylając się, aby większa kukiełka mogła wyskoczyć i nie uczynić mu trwałej krzywdy.

Pozostałe lalki także szybko zostały uwolnione i po kilku minutach Arthur odkręcał główkę piątej i ostatniej matrioszki, niemal dorównującej mu wzrostem, za to trzy razy od niego grubszej. Tym razem z jej środka nic nie wyskoczyło.

Chłopiec ostrożnie zajrzał do wnętrza otwartej kukiełki, gotów odskoczyć, gdyby nastąpiła jakaś opóźniona reakcja albo gdyby znajdowały się tam jakieś budzące odrazę przedmioty. Lalka była jednak pusta, jeśli nie liczyć spoczywającej na jej dnie płóciennej torby, w przybliżeniu rozmiarów szkolnego plecaka Arthura.

– Trzeba było to ukryć w tylu lalkach, żeby Niuchacze Ponurego nic nie wywęszyły – wyjaśniła Suzy. Wetknęła parasol na sztorc w otwór na szprychy głównego koła, przetoczyła lalkę na bok i schyliła się, by wyciągnąć torbę. Ze środka przez cały czas wydobywał się jej przytłumiony głos. – Pewnie ich nie zauważyłeś w drodze powrotnej. Straszna rzecz, ci Niuchacze. Po prostu psi pysk bez reszty ciała. Nos pełzający na porośniętych szczeciną nogach, które moim zdaniem Ponury oderwał jakiemuś świerszczowi i powiększył. Miałam ochotę puścić pawia, poważnie.

– Jeden taki na mnie wpęzł, kiedy tutaj trafiłem – przypomniał sobie Japeth i zadrżał. – Bezcielesny pysk z parą małych oczu i skurczonym nosem węszył po mej

skórze... Nie miałem pojęcia, co to takiego i co robi.

– One tak wachają, czy nie ma gdzie magii albo zakazanych mocy – wyjaśniła Suzy. – Takich jak te tutaj.

Wsunęła torbę pod parasol i otworzyła ją. Torba rozkładała się jak zestaw piknikowy. W środku znajdowały się dwie śnieżnobiałe ciężkie kartki papieru, pałeczka szkarłatnego laku, cztery małe kulki zwiniętego sznurka, pudełko zapalek (z rysunkiem kaczki ćmiącej fajkę oraz napisem: „Zapałki sztormowe – pięciokrotnie ognistsze, superłatwe w użyciu”) oraz dwa szklane słoiki wypełnione czymś, co przypominało zielone wełniane żabki pacynki nakładane na palce.

– Dwa zestawy Skrzydeł Wznoszących oraz dwa zestawy samoprzylepnych palców – powiedziała dziewczynka. – Skrzydła zabiorą nas ze Studni, polecimy na nich do sklepienia Odległych Rubieży. Potem weźmiemy samoprzylepne palce i wgramolimy się po sklepieniu nad iglicę Wieży Skarbca Ponurego Wtorka. Później opadniemy na tę iglicę, podniesiemy kogutka – tego, co pokazuje, skąd wieje wiatr – i jak najszybciej wejdziemy do środka, znajdziemy Drugi Fragment Woli i zrobimy tutaj porządek... Tak wygląda plan Pierwszej Damy, więc na pewno wszystko zakończy się kompletną klapą.

– Co to są Skrzydła Wznoszące? – spytał Arthur. – I dlaczego musimy wdrapywać się po sklepieniu? Co to takiego Wieża Skarbca... ?

– Co to za hałas? – przerwał mu Japeth. – Najmocniej

przepraszam.

Arthur również usłyszał jakiś dźwięk i wbił wzrok w ciemności, jednocześnie naciągając kaptur na twarz, aby ochronić oczy. Gdzieś w górze rozbrzmiewał bardzo donośny syk. Chłopiec w jednej chwili zorientował się, że sam odgłos wydaje zapalnik przy odpalaniu fajerwerków. Syczenie było jednak tysiąckrotnie głośniejsze, a jego źródło znajdowało się bardzo daleko.

– Oho – mruknęła Suzy. Z rozcięcia na końcu kijka wyciągnęła złożoną kartkę i wręczyła ją Arthurowi. – To o to chodzi. Mam ostrzec wszystkie brygady między Górną Stacją oraz Pierwszą i Drugą Stacją Podróżną...

Arthur rozpostarł list i pospiesznie przeczytał:

Niebezpieczeństwo. Do wszystkich Nadzorców, wszystkich brygad, wszystkich stacji podróżnych, wszystkich robotników, całego personelu. Na dzisiejsze Popołudnie Czasu Domowego przewidziany wybuch słoneczny, obejmujący górne warstwy, od Górnej Stacji do Drugiej Stacji Podróżnej. Wszyscy robotnicy otrzymują niniejszym rozkaz zatrzymania się lub zaprzestania pracy, gdy tylko rozlegnie się syk trzydziestosekundowego lontu: będzie wyraźnie słyszalny. Wszyscy robotnicy muszą osłonić oczy i nie patrzeć w górę, do chwili, gdy usłyszą gwizd odwołujący alarm. Gdyby wybuch słoneczny ujawnił obecność Nicości, wówczas należy ogłosić alarm, zgodny z treścią Stałych Rozkazów 27 par. 4 lub też unisono wrzeszczeć jak

najgłośniej przez trzy sekundy w odstępach co dziewięć sekund. Za zgodność Rozkazu – Wtorkowy Jednora.

Trzydziestosekundowy lont?, zastanowił się Arthur. Z pewnością chodzi o zapalnik... nastawiony na trzydzieści sekund.

– Patrzcie w ziemię! – krzyknął i pchnął towarzyszy twarzami w dół, na zimny, mokry kamień.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Arthur padł na ziemię, z Suzy i Japethem po obu stronach. W tej samej chwili nagle rozbłysło światło tak silne, że musiał zamknąć oczy, chociaż patrzył w dół, a twarz miał zasłoniętą kapturem.

Skulił się w oczekiwaniu na falę uderzeniową lub gwałtowny skok temperatury, lecz, o dziwo, nic podobnego się nie zdarzyło. Po rozbłysku zapanował spokój, a jaskrawe światło zaczęło powoli przygasać.

Kilka sekund później przez Studnię przetoczył się cichy, lecz przenikliwy gwizd, przypominający daleki krzyk ptaka. Arthur domyślił się, że to gwizd odwołujący alarm. Lekko uchylił lewe oko, prawe pozostawiając szczelnie zamknięte, i zaryzykował ostrożne spojrzenie.

To, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie. Na wysokości około półtora kilometra, w odległości trzynastu-czternastu kilometrów, niczym małe, przyjemnie jasne słońce, zawisła gigantyczna świecąca kula, o rozmiarach stu balonów na gorące powietrze. Wszystkie deszczowe chmury znikły, a wraz z nimi deszcz i smog. Powoli przygasające światło iluminowało górne partie Studni na całej jej szerokości. Przepaść była tak ogromna, że jej przeciwległa krawędź wyglądała jak rozmazana smuga, oddalona o co najmniej trzydzieści kilometrów. Otchłań sięgała tak głęboko, że nawet światło po wybuchu słońca nie mogło przeniknąć do jej

dna.

– Więc tak wygląda wybuch słońca – mruknęła Suzy i pociągnęła nosem. – Spodziewałam się czegoś lepszego. Wiesz, czekałam na jakieś ognie sztuczne i ogłuszający huk, taki, żeby od eksplozji prawie popeękały nam bębenki.

– Jest większa, niż sądziłem... niż można było podejrzewać – wyszeptał Arthur. Kiedyś był w Wielkim Kanionie Kolorado i myślał o Studni w podobnych kategoriach. Tymczasem była ona o wiele szersza niż Kanion, a także nieporównanie głębsza. – Chodzi mi o Studnię.

– Tak czy owak, to tylko cuchnący dół, i tyle – oświadczyła Suzy. – Lepiej się pospieszmy, musimy przyczepić te skrzydła. Dobrze będzie, jak skorzystamy z tego wybuchu słońca. Następny może się trafić dopiero za parę miesięcy.

– Czym właściwie jest ten wybuch słońca? – zapytał Arthur i dłonią wskazał wielką lśniąca kulę. Jej światło było już znacznie mniej jaskrawe niż na początku, a cienie z dna Studni stopniowo skradały się coraz wyżej. Wysoko w górze pojawiły się załążki chmur deszczowych. – Co on daje?

– Sama dobrze nie wiem – odparła Suzy. – Ned wspomniał, że taki wybuch oczyszcza Nicość, na trochę usuwa deszcz i takie tam. Co kilka miesięcy Ponury Wtorek robi coś podobnego w różnych częściach Studni. Chyba to trochę tak jak z czyszczeniem rur żrącym

kwasem. Ale nam to na rękę. W świetle lepiej się lata. O ile w końcu się stąd ruszymy.

– Słyszałem, jak jeden Nadzorca mówił do drugiego, że wkrótce będzie potrzebny wybuch słońca, aby skontrolować tor – powiedział Japeth niepewnie. – Można zatem założyć, że w trakcie wybuchu, podczas jego trwania, może nastąpić inspekcja szyn, a ponieważ światło z wybuchu słońca nadal nas zalewa, rozjaśnia okolice, w niedługim czasie powinniśmy się spodziewać, hm, inspekcji...

Arthur spojrział na tor. Idąc skrajem Studni, pokonał co najmniej pięćdziesiąt kilometrów łagodnie opadającej drogi użytkowej. Od Górnej Stacji musiał go dzielić dystans około jednej trzeciej głębokości Studni, czyli mniej więcej kilometr, co się przekładało na ponad piętnaście kilometrów toru. Popatrzył w tamtą stronę i zmrużył oczy, aby ochronić je przed światłem po wybuchu słońca, które nie świeciło już jaśniej niż zwykła latarnia uliczna. Eksplozja spełniła jednak swoje zadanie: chociaż zaczynało się ściemniać i chmurzyć, powietrze nadal było przejrzyste.

Japeth i Suzy również spojrzeli na tory. Z początku nic nie dostrzegli, lecz po chwili wszyscy przemówili jednocześnie:

- Dym...
- Pociąg...
- Pociąg Ponurego!

W tym samym momencie zorientowali się, że

nadjeżdża pociąg, chociaż znajdował się zbyt daleko, aby go widzieć. Od wypolerowanego metalu odbijało się światło po wybuchu słońca, a wysoko w górę wzbijał się słup iskier i rozmazanego, czarnego dymu. To musiał być pociąg Ponurego Wtorka, zmierzający na dół.

– Minie kilka godzin, zanim tutaj dotrze – zauważył Arthur bez przekonania. – Co najmniej godzina. Prawda?

– Tak, musimy włożyć Skrzydła Wznoszące – oznajmiła Suzy i dodała: – Nazywają się tak, bo mogą latać tylko do góry. Można się przechylać, żeby zmienić kierunek lotu, ale i tak będzie się leciało tylko coraz wyżej. To bardzo słaba magia, znacznie słabsza niż ta, która jest używana przy normalnych skrzydłach. Coś takiego łatwiej przeszmuglować.

– Co z Japethem? – spytał Arthur.

– Przykro mi. – Dziewczynka wzruszyła ramionami. – Nic się nie da zrobić.

– Panno Suzy, czy mógłbym skorzystać z twojego koła, żeby dogonić brygadę? – zapytał Japeth. – Potem, kiedy już pokonasz Ponurego Wtorka, panie, być może zechcesz zadać sobie odrobinę trudu i wyzwolić mnie z kontraktu? A może znajdziesz jakieś zajęcie, odpowiednie dla byłego Tezaurusa?

– Nie: „kiedy”, tylko raczej: „jeśli” go pokonam – mruknął Arthur. – Poza tym nie mogę tak po prostu odlecieć i zostawić cię. Ty mnie nie zostawiłeś, kiedy mogłeś odejść.

– Jestem pewien, że mnie nie opuścisz – oznajmił

Japeth i ponownie się uklonił. – To tylko opóźnienie, zwłoka, odłożenie na późniejszy termin, przesunięcie czasu realizacji. Nie wątpię, że odniesiesz sukces, i moje uwolnienie, ratunek, oswobodzenie, wyzwolenie, ocalenie...

– Już zrozumieliśmy – przerwała mu Suzy. – Miło było cię poznać, Japeth. Nic się nie martw. Arthur jest bystrzejszy, niżby się wydawało. Na pewno o ciebie zadba. Wtorek to pestka w porównaniu z Poniedziałkiem.

– Naprawdę? – spytał Japeth.

– Co ty, nie bądź mięczakiem – upomniała go Suzy.
– Tylko żartowałam, żeby ci dodać otuchy. Nie powinieneś był się dopytywać. A teraz, Artek, pora włożyć skrzydła i samoprzylepne palce. Muszę wyciąć dziury w twoim płaszczu i koszuli.

– Nie mów na mnie Artek! Po co mi dziury w ubraniu?

– Bo skrzydła trzeba przykleić lakiem do ramion – wyjaśniła dziewczynka i pokazała łaskę czerwonego laku.

– W laku zatopimy sznurek, więc kiedy przyjdzie pora odrzucić skrzydła, pociągniesz za sznurek, złamiesz pieczęć i opadniesz. Prosto, łatwo i przyjemnie. Do roboty.

Mimo to Arthur nadal się wahał. Czuł, że ponownie jest wciągany w sprawy, nad którymi nie panuje. Czy jednak miał możliwość wyboru?

– Ten pociąg jest zdumiewająco szybki, chyży, prędko – powiedział Japeth, który obserwował dym z

lokomotywy Ponurego. – Jeśli mam skorzystać z koła, chyba powinienem niezwłocznie wyruszyć, odjechać, pożegnać się, zniknąć.

– Racja – przyznał Arthur. Z trudem wciągnął potężny haust powietrza w zmęczone płuca i nieco się wyprostował. Zaciągnął u Japetha dług wdzięczności, podobnie jak u Suzy i u pozostałych, i teraz musiał zrobić wszystko i jeszcze trochę, aby go spłacić. Kapitulacja nie wchodziła w grę. – Pokonam Ponurego Wtorka i wyzwolę cię, podobnie jak pozostałych robotników kontraktowych. Nikt nie powinien być niewolnikiem. Ani tutaj, ani nigdzie indziej.

– Nareszcie mówisz jak dawny Arthur – pochwaliła go Suzy. – A już sądziłam, że Studnia osłabiła ci siłę woli.

– Dzięki – mruknął Arthur i wyciągnął dłoń ku Japethowi. – Powodzenia. Zrobię, co w mojej mocy, żeby cię stąd wyciągnąć.

Tym razem rozbłysło mniej iskier, kiedy uścisnęli sobie prawice. Arthur poczuł energię, która wypłynęła z jego dłoni i przetoczyła się falą przez całe ramię. Japethowi zadrżała ręka, zupełnie jakby poczuł to samo. W następnej chwili chłopiec zauważył, że Rezydent urósł o kilka centymetrów, a jego podarta koszula samoczynnie się zszyła. Nawet sznurek przytrzymujący mankiety zmienił się w spinki, zdobione macicą perłową.

– Będę ci służył, Arthurze, kiedy tylko zdołam – zapewnił Japeth i puścił jego dłoń. – Tymczasem żegnaj,

Mistrzu. Panno Suzy, czy możesz zadać sobie odrobinę trudu i objaśnić mi, wytłumaczyć lub przybliżyć zasady funkcjonowania koła?

Pospiesznie podszedł do koła i wgramolił się do środka. Suzy zaprezentowała mu dźwignię służącą do kontrolowania prędkości i pokazała zamknięte drzwiczki, za którymi znajdowała się dźwignia skrzyni biegów. Dostęp do niej mieli jedynie Ponury Wtorek oraz jego Szkaradzieje, i tylko oni mogli uruchomić mechanizm zegarowy koła, aby jechać w górę toru, a nie toczyć się w dół.

Japeth delikatnie przesunął drążek do przodu i koło ruszyło z miejsca. Rezydent pomachał dłonią, kiedy mijał Arthura, a następnie popchnął dźwignię najdalej jak się dało. Koło przyspieszyło i wkrótce zniknęło w zapadającym mroku.

Ponownie zaczęło kropić. Na razie mżawka nie była skażona Nicością. Chmury rozpościerały się przy krawędzi Studni i coraz wyraźniej sunęły ku blednącej jasności pozostałej po wybuchu słońca.

Arthur stał nieruchomo, kiedy Suzy przecinała mu pelerynę oraz koszulę krótkim, ostrym nożem – tym samym, który zabrała z Poniedziałkowej Sieni. Dziewczynka zajmowała się wycinaniem, a chłopiec przypominał sobie, jak był w szpitalu i za moment miał otrzymać zastrzyk w ramię.

Po wycięciu otworów w ubraniu Arthura Suzy wzięła do ręki jedną z kartek papieru, szybko ją złożyła i

rozdarła na dwie części, z których miały powstać skrzydła. Pod wpływem jej dotyku papier stawał się coraz bardziej puszysty i pierzasty.

– Połóż się – poleciła chłopcu. Arthur posłusznie się położył, lecz odwrócił głowę, aby sprawdzić, co robi jego przyjaciółka.

Suzy rozpostarła skrzydła na ziemi i przycisnęła je kamieniem z podsypki. Następnie odwinęła dwa kawałki sznurka i położyła je obok skrzydeł. Potem sięgnęła po laskę laku oraz zapalki.

– Będzie trochę piekło – ostrzegła Arthura i potarła zapalką o ziemię. Drewnisko zapłonęło z donośnym sykiem, a z jego główki wystrzelił płomień długości jednego metra.

– Mniejszy – przykazała dziewczyna. Płomień zmalął. – Jeszcze mniejszy. Dobrze.

Arthur nie widział, co zrobiła potem, ale wyraźnie to poczuł. Kropla gorącego laku spadła mu prosto na łopatkę. Następnie wyczuł papierowe skrzydło, które otarło mu się o plecy. Przy szyi zawisł mu sznurek, a Suzy mocno przycisnęła lak kciukiem.

– Nie ruszaj się! – mruknęła. – Muszę szybko przykleić drugie, bo nierówno urosną.

Chłopiec przygryzł wargę, aby stłumić okrzyk bólu, kiedy lak skapnął mu na drugą łopatkę. Mniej go zabolalo, kiedy się tego nie spodziewał, lecz w obu wypadkach ból szybko ustąpił.

– Gotowe! – wykrzyknęła Suzy z satysfakcją. –

Powinny urosnąć w jakieś dziesięć minut. Teraz przygotuję swoje, a ty mi je przykleisz do pleców.

– Nie wiem jak! – sprzeciwił się Arthur.

– To proste – zapewniła go. Pospiesznie złożyła i przedarła drugą kartkę papieru. – Roztopisz lak, nakapiesz mi na łopatkę, doczepisz skrzydło i sznurek, nakapiesz jeszcze trochę laku i przyciśniesz kciukiem. W ubraniu mam już otwory po zwykłych skrzydłach.

– Zgoda – mruknął Arthur bez przekonania. Wziął do ręki skrzydła, obciążył je tym samym kamieniem z podsypki i położył obok nich sznurek. Następnie sięgnął po zapalniczki. Wyglądały zwyczajnie, poza etykietą na pudełku.

– Szybciej – popędziła go Suzy, leżąc na ziemi i drapiąc się po plecach przez dziury w ubraniu. – Ten kamień jest zimny.

Arthur potarł zapalniczkę o podłogę i cofnął się, gdy buchnął ogień. Płomień był jeszcze wyższy niż na zapalniczce Suzy, a jego energiczny i żywiołowy taniec nie miał nic wspólnego z żadnym wiatrem. Arthurowi wydawało się, że dostrzega maleńką, szeroko uśmiechniętą twarz płomienia.

– Mniejszy – powiedział. – Dużo mniejszy.

Płomień stopniowo się skurczył, a twarzyczka powoli przestawała się uśmiechać i zaczynała smutno krzywić. Kiedy płomyk zmniejszył się do wysokości paru centymetrów, Arthur wziął do ręki lak i szybko stopił koniec laski, aby na plecach Suzy skapnęła duża kropla. Ze

zdeenerwowania zachowywał się nieco niezdarnie, toteż odrobina laku skapnęła dziewczynie na ubranie i spłynęła na skórę.

– Co tak powoli? – spytała Suzy. – To nie jest żadne skomplikowane zaklęcie, nie?

Arthur zmarszczył brwi i nakapał znacznie więcej laku, następnie ostrożnie przycisnął do niego skrzydło i sznurek, rozpuścił jeszcze trochę laku i docisnął go kciukiem. Sądził, że pozostawi w ten sposób ślad swoich linii papilarnych, ale nic podobnego się nie stało. Lak załśnił wszystkimi barwami tęczy i pojawił się na nim odcisk idealnie okrągłej pieczęci z profilem Arthura w wieńcu laurowym na skroniach. Wokół podobizny widniały słowa spisane dziwnym alfabetem, który powoli zmienił się w normalne litery, ułożone w napis: DOMINUS ARTHUR MAGISTER DOMUS INFERIOR. Po chwili tekst ponownie uległ zmianie i głosił: LORD ARTHUR MISTRZ NIŻSZEGO DOMU.

– Na co czekasz? – spytała Suzy zirytowanym tonem.
– Na zaproszenie na podwieczorek u Ponurego Wtorka?

– Przepraszam – powiedział Arthur, zahipnotyzowany widokiem własnej pieczęci. Szybko dokleił drugie skrzydło, które trochę urosło na ziemi i papier zdecydowanie przypominał już pióra. Czyste, lśniące i białe, pozostawały w ogromnym kontraście do pokrytego sadzą kamienia oraz pogłębiającej się ciemności.

Chłopiec poczuł, że jego skrzydła zaczynają

trzepotać, wzniecając wiatr, który owiewał mu kostki. Skrzydła nadal były jednak za małe, aby go unieść ponad ziemię.

Suzy wręczyła Arthurowi jeden ze słoików pełnych przedmiotów, które przypominały wełniane żaby pacynki na palce. Drugi wepchnęła do kieszeni fartucha i skupiła się na zbieraniu wszystkich drobiazgów do torby. Na koniec zawiesiła ją na szyi z przodu, aby nie przeszkadzała skrzydłom.

– W słoiku jest sześć samoprzylepnych palców. Włóż je teraz na kciuki i co drugi palec – poinstruowała Arthura, odkręcając własny słoik. – Nie będą się lepiły, dopóki nie wypowiedz zaklęcia. Brzmi ono: „Lepcie się za dnia, lepcie się w nocy, dłoń przez minutę i z całej mocy”. Raz będzie się lepiła jedna, a raz druga dłoń, żebyś mógł się poruszać. Ale pamiętaj, która jest lepka, a która zaraz się oblepi. Jak przyjdzie pora, powiem ci, jak je zdjąć.

Arthur w myślach powtórzył zaklęcie, aby mieć pewność, że nic nie przekreślił. Potem nasunął sześć samoprzylepnych palców na kciuki i co drugi palec. Wszystkie przypominały wełniane pacynki, ale gdy je wkładał, wiły się i popiskiwały jak żywe myszy, przez co tylko utrudniały mu zadanie.

Całą uwagę skupił na wykonywanej czynności, więc przeżył poważny wstrząs, kiedy Suzy nagle podniosła miedziany drążek, który omal nie posłużył mu za broń, i zamachnęła się nim na coś, co nadleciało niczym piłka

baseballowa. Przedmiot miał rozmiary takiej piłki, lecz był czarny i rozmazany jak bryłka smoły.

Suzy trafiła. Koniec pręta eksplodował i zmienił się w metaliczną mgiełkę. Uderzony przedmiot pofrunął poza krawędź Studni i spadł jak kamień.

– Bryłka Nicości – wyjaśniła Suzy i zmarszczyła brwi. – Fruwała w poszukiwaniu innych bryłek, żeby się z nimi skleić i zrobić Niconia.

Popatrzyła na pozostałości wybuchu słońca, teraz już bardzo słabe. Chmury otoczyły światło jednolitą masą, a Suzy i Arthur znaleźli się w półmroku, który szybko zmieniał się w nieprzeniknioną noc.

– Myślałam, że wybuch słońca na dłużej powstrzyma te paskudztwa. Lepiej spraw sobie jakąś pałkę – poradziła Suzy Arthurowi. – Miedź jest lepsza niż stal, ale i jedno, i drugie niespecjalnie się przydaje, gdy trzeba sobie poradzić z bezkształtną Nicością. Do tego należy mieć srebro albo coś specjalnego, na przykład to, z czego się robi miecze, zmrożony księżycowy blask albo ostrze płonące architektonicznym ogniem, jak u Południka. Jak tam twoje skrzydła? Sięgasz do sznurków? Jeszcze ich nie ciągnij.

Arthur przechylił głowę. Jego skrzydła rozpościerały się teraz od łopatek do kolan, były pokryte imponującymi piórami i lśniły. Powoli uderzały powietrze, jakby się rozgrzewały. Poruszając się, roztaczały wokół łagodną woń pomarańczy. Chłopiec dotknął sznurków, które zwisały mu po bokach szyi i sięgały do klatki piersiowej.

– Mogę do nich dosięgnąć – potwierdził. Rozejrzał się i dostrzegł jeszcze jeden fragment miedzianej rurki, nieco grubszy i dłuższy niż ten, którym posłużyła się Suzy. Gdy ruszył po broń, nieoczekiwanie się uniósł i przefrunął kilka metrów.

– Przygotuj się – ostrzegła go Suzy. – Za moment będą trzepotały jak należy.

Arthur pochylił się i ruszył ku miedzianej rurce, częściowo się czołgając, częściowo podciągając na rękach. Gdy tylko jego dłoń zacisnęła się na rurce, skrzydła mocno uderzyły powietrze i momentalnie uniosły go nad szyny, na wysokość trzech metrów.

Suzy nadal pozostawała na ziemi, jej skrzydła dopiero się rozgrzewały.

– Pochyl się, żeby zmienić kierunek! – zawołała. – Z początku kieruj się na środek Studni. Tam trudniej cię będzie zestrzelić z pociągu albo z drogi. Jak doleczysz do sklepienia przede mną, zrób fikołka tuż przed zderzeniem. Zdezorientujesz skrzydła na chwilę, wtedy wyhamują. Przyczep się do sklepienia samoprzylepnymi palcami. Łatwo pójdzie!

Skrzydła Arthura zatrzepotały mocniej i szybciej, coraz prędkiej unosząc go w powietrze. Chłopak popatrzył w dół i zauważył wielką postać, tylko z grubsza podobną do człowieka, która miała na plecach długie, wilgotne skrzydła jak u ważki. Na oczach Arthura stwór wypełził zza krawędzi Studni i zaczął się skradać ku Suzy.

Dziewczynka patrzyła na Arthura i niewątpliwie nie

słyszała ani nie widziała stwora.

– Suzy! – wrzasnął Arthur. – Uważaj! Nico...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy Nicoń skoczył Suzy na plecy, pozostałości po wybuchu słońca nagle zgasły. Studnię ponownie okryły o całkowiti te ciemności, jeśli nie liczyć mizernego kręgu światła roztaczanego przez latarnię sztomową w drżącej dłoni Arthura.

Suzy nie miała własnej latarni, dysponowała tylko dwiema zainstalowanymi na kole zabranym przez Japetha. Arthur wyteęzał wzrok, desperacko usiłując się zorientować, co spotkało Suzy. Jego wysiłki poszły jednak na marne. Nic także nie słyszał – zbyt donośny odgłos wydawały bijące skrzydła oraz pęd powietrza.

– Suzy!

Nie odpowiedziała. Jego skrzydła nieubłaganie biły powietrze, unosząc go coraz wyżej i wyżej, szybciej i szybciej.

– Suzy! – krzyknął jeszcze raz.

Jedyna odpowiedź nadeszła z góry i przybrała formę nieoczekiwanej ulewy. Skrzydła Arthura silnym podmuchem odepchnęły jednak krople wody. Otoczyło go ciepłe, suche powietrze.

– Suzy!

Musiała uciec.

Arthur próbował przypomnieć sobie ostatni obraz, który widział przed zgaśnięciem światła.

Suzy miała całkowicie rozpostarte skrzydła, gotowe do lotu, czyż nie? Z pewnością oderwałyby się od ziemi tuż przed atakiem Niconia.

Prawda?

Arthur przypomniał sobie, co Suzy mówiła mu o Niconiach. Miał wrażenie, że to było wczoraj, tak dobrze pamiętał jej słowa:

„Wystarczy mała, ropiejąca rana po ugryzieniu albo zadrapaniu przez Niconia i zmieniasz się w Nicość. Dlatego wszyscy się ich boją”.

To naprawdę zdarzyło się wczoraj, uświadomił sobie Arthur. Oboje przetrwali poniedziałek, lecz wtorek był znacznie gorszy. Jego początek okazał się fatalny, a teraz...

Coś zatrzepotało w świetle latarni Arthura. Chłopiec odruchowo uderzył obiekt miedzianą tulejką, odtrącając go z powrotem w deszczową ciemność. Dopiero potem pojął, że była to jedna z latających bryłek Nicości.

Bryłka. Szukała innych bryłek, żeby stworzyć Niconia...

Arthur gorączkowo rozglądał się na wszystkie strony.

A jeśli bryłka Nicości trafi mnie w tył głowy? Albo w skrzydła?

Obok stopy chłopca przefrunęła następna gruda. Kopnął ją i czubek jego drewniaka znikł, jakby odcięła go gilotyna. Przez jedną przerażającą chwilę Arthur sądził, że wraz z końcem buta znikły jego palce u nogi. Odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy nimi poruszył.

Po raz pierwszy spróbował zmienić kierunek lotu. Tak, jak go uprzedziła Suzy, skrzydła fruwały wyłącznie ku górze. Arthur przekonał się jednak, że potrafi szybko skorygować kąt, pod którym się wzbija. Aby uniknąć nadlatujących bryłek, przechylił się w prawo, potem w lewo, następnie do tyłu i do przodu, aż wreszcie zaczął fruwać spiralnie; żeby przestać, musiał znieruchomieć w pozycji wyprostowanej.

Wokół niego bezustannie przelatwały grudy. Dotąd żadna nie przyfrunęła od tyłu, a jeśli nawet próbowała, to została odepchnięta strumieniem powietrza poruszanego przez skrzydła. Wkrótce Arthur co kilka minut odtrącał bryłki swoją gwałtownie skracającą się tulejką. Za każdym razem, gdy uderzał grudę, ubywało kilka centymetrów miedzi, więc musiał celować tak, aby trafiać wyłącznie rozpuszczonym końcem rurki.

W pewnej chwili jedna z bryłek trafiła w jego latarnię i przebiła ją na wylot, gasząc tłący się za szkłem płomień, czy też inne źródło światła. Arthur jęknął, lecz ciemności zapadły tylko na kilka sekund. Powoli otoczyło go łagodne, miękkie, białe światło, a nadlatujące bryłki Nicości zaczynały się jarzyć, gdy tylko znalazły się odpowiednio blisko.

Światło emitowały skrzydła chłopca. Przez parę sekund zapewniało mu to poczucie komfortu, lecz wkrótce zrozumiał, że jest rozświetlony niczym bożonarodzeniowy anioł na choince i tylko wabi do siebie Niconi, Nadzorców i wszelkie inne stwory ze Studni.

Nic jednak nie mógł na to poradzić i brakowało mu czasu na przemyślenia. Nadlatywało coraz więcej bryłek, w większości od dołu, więc musiał podciągnąć kolana oraz stopy i pochylić się. Przybranie takiej pozycji nie było łatwe. Za każdym razem, gdy się za mocno wychylił do przodu lub opuścił jedno kolano bardziej niż drugie, tracił równowagę i zaczynał wirować.

Po odbiciu kilkunastu następnych grud Nicości Arthur zorientował się, że jest ich coraz mniej, lecz te pozostałe są większe. Łączyły się... Tworzyły Niconia.

Ten fakt obudził w nim lęk, który szczególnie się nasilił, gdy bryłki przestały nadlatywać z ciemności. Czy to oznaczało, że znalazł się poza ich zasięgiem? A może zbiły się w stwora, przebywającego nieopodal i frunącego za nim?

Coś dotknęło jego nogi. Chłopiec drgnął przestraszony i krzyknął. Uspokoił się nieco dopiero wtedy, gdy zrozumiał, że to tylko bezużyteczna już latarnia, która musnęła mu kolano. Rozchylił dłoń i puścił zbędny przedmiot. Szkło po raz ostatni zabłysło odbitym światłem i latarnia zniknęła w ciemności.

Sekundę później rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a po nim wściekły krzyk, częściowo stłumiony przez szum deszczu i łopot skrzydeł Arthura.

– Au!

– Suzy?! – zawołał chłopiec. Gdy wykrzykiwał imię przyjaciółki, a jego serce wypełniało się nadzieją, do umysłu wkradło się okropne podejrzenie. A może to jakiś

Nicoń, który potrafi podszywać się pod ludzi? A jeśli to stwór umiejący przybierać postaci osób, które rozpuścił albo pożarł? Arthur jak przez mgłę przypominał sobie, że ktoś opowiadał o takich istotach, a może sam przeczytał o nich w Atlasie...

– Suzy? – powtórzył i opuścił wzrok. – Czy to ty?

– Pewnie, że ja! – zabrzmiała odpowiedź. Arthur nadal nie widział dziewczynki, ale czuł, że się do niego zbliża. – Prawie wybiłeś mi oko, durniu! W tej dziurze jest dość śmieci, nie musisz sobie urządzać dodatkowej zwalki.

Arthur pomyślał, że Suzy mogłaby coś takiego powiedzieć. Ale jeśli Nicoń wchłonał jej umysł oraz wspomnienia, łącznie ze słownictwem, doborem określeń i wszystkim innym?

Żałował, że nie może jej zobaczyć, lecz jednocześnie bał się, że ujrzy ścigającą go zdeformowaną istotę człękokształtną z owadzimi skrzydłami, energicznie bijącymi powietrze.

– Co się stało? – spytał Arthur. Dostrzegł coś w dole, lecz nie potrafił rozpoznać niewyraźnego kształtu. – Nicoń...

– Chciał mnie dopaść, tyle że nie trafił! – krzyknęła Suzy. – Mało brakowało. Odgryzł mi prawy drewniak, ale go kopnęłam w zęby, więc chyba dostał za swoje.

Arthur odprężył się. To musiała być Suzy, która cudem uniknęła śmierci.

Ale jeśli to Suzy, to dlaczego jej skrzydła nie jaśnieją

takim samym blaskiem jak jego?

– Lepiej przygaś skrzydła! – zawołała dziewczynka, jakby czytając Arthurowi w myślach. – Światło sprawia, że Nicość się zbryła. Jak będzie jej dostatecznie dużo, powstanie Nicoń.

– Skąd mogę wiedzieć, czy naprawdę jesteś Suzy? – odkrzyknął chłopiec. W jego głosie pobrzmiwał strach.

– Co ty wygadujesz? – rozległa się zirytowana odpowiedź. – Niby kim mam być? Zgaś światło!

– Nie słuchaj jej! – zawołał inny głos, podobny do głosu Suzy, ale nieco bardziej chrapliwy. – Nie gaś światła, tylko ono chroni cię przed Niconiami!

– Do diaska! – krzyknął pierwszy głos Suzy. – Ten stwór, który mi zniszczył drewniak, musiał się na mnie zreplikować. Pewnie znalazł kawałek paznokcia albo skóry.

– Arthur, nie słuchaj! – przekonywał chłopca drugi głos Suzy. – Ja jestem prawdziwą Suzy. Nie gaś światła, lecę do ciebie!

Arthur wpatrywał się w mrok. Gdyby widział rozmówców, z pewnością zorientowałby się, który z nich jest autentyczną Suzy. Niczego jednak nie dostrzegął...

– Arthur, każ swoim kretyńskim skrzydłom zgasnąć i lepiej uważaj! Nicoń zaatakuje cię z góry, uderzy cię prosto w twarz! Jest ślepy, ale wyczuwa moc światła!

Chłopiec zamrugnął oczyma. Ten głos dobiegał z lewej strony i towarzyszyło mu blade iskrzenie, takie jakie emituje pojedyncza odległa gwiazda, obserwowana

w pochmurną noc.

– Kłamstwo! Światło cię chroni! – wrzasnął drugi, bliższy głos Suzy, dochodzący z prawej strony.

– Skrzydła, proszę, przygaście światło – powiedział Arthur cicho i uniósł resztkę miedzianej tulei, którą przytrzymał przed twarzą tak, jakby miał w dłoni miecz.

Uczył to w ostatniej chwili. Koszmarny stwór wpadł z impetem na rurkę, a siła zderzenia gwałtownie odrzuciła Arthura. Chłopiec wywinął w powietrzu kilka kozłów do tyłu, jego skrzydła załopotały energicznie. Tuleja niczym harpun utkwiała w piersiach Niconia, który szarpnął się i wyrwał ją z ręki Arthura. Stwór przemknął obok chłopca i z piskiem znikł w ciemnościach.

Obracając się w powietrzu, Arthur dostrzegł potworną postać o rozmiarach i sylwetce Suzy, ale pokrytą łuskami i płatami krokodylej skóry. Jedno z pięciometrowej długości skrzydeł stwora łopotało jak szalone, rozmazując się w powietrzu, drugie zaś zwisało bezwładnie i bezużytecznie, gdyż w poruszających nim mięśniach klatki piersiowej tkwiła tuleja Arthura.

– Skąd wiedziałeśsss...

Paznokiec Suzy, pomyślał Arthur. Ta słaba iskierka.

Skrzydła chłopca odzyskały rytm i ponownie łopotały spokojnie i równomiernie. Nie świeciły już tak jaskrawo jak wcześniej; rzucone przez nie światło przypominało raczej blask paru świeczek na torcie urodzinowym. Arthur ledwie dostrzegał własne dłonie.

– Niewiele brakowało – mruknęła Suzy.

– Bardzo niewiele – przyznał. – Suzy, wiem, że to ty, ale czy mogłabyś na moment rozjaśnić skrzydła, abym miał całkowitą pewność? Nie chciałbym omyłkowo spalić cię na węgiel swoją mocą.

Drugie zdanie wypowiedział głośniejszym niż pierwsze, na wypadek, gdyby miał do czynienia z następnym Niconiem. Liczył na to, że wystraszy ewentualnego wroga.

– Och, niech ci będzie – westchnęła Suzy i dodała głośniejszym: – Zrobię wszystko, byle uniknąć roznożycopalenia.

W odległości niecałych dziesięciu metrów od stóp Arthura zajaśniało światło. Chłopiec ujrzał spoglądającą na niego Suzy, która mrugnęła okiem, uniosła ręce nad głową i złożyła dłonie, aby upozować się na strzałę. Jej skrzydła szybciej załopotwały. Dziewczyna przechyliła się na lewo i szybko dołączyła do Arthura. Teraz fruwała u jego boku, w odległości zaledwie jednego lub dwóch metrów.

– Roznożycopalenia? – spytał chłopiec.

– Mniejsza z tym – mruknęła i wzruszyła ramionami.

– Ważne, że strasznie brzmi. Na Wysypisku-Zsypisku, w Niższym Domu, trzeba spalać bezużyteczne papiery. Tutaj by mnie to nie przstraszyło. Gdzie jest twój spalacz?

– Chciałbym być u siebie w domu – wyznał Arthur.

– Ja też – odparta Suzy. – Przede wszystkim jednak chciałabym mieć swój dom, a dopiero potem w nim być.

Uważaj na innych Niconi. W dole krąży mnóstwo bryłek, pewnie skrzydła je przyciągają. Zastanawiałam się, czemu nikt tutaj z nich nie korzysta.

– Co takiego? – zdumiał się Arthur. – Wiedziałaś, że w Studni nikt nigdy nie używa skrzydeł?

– Pewnie – przyznała dziewczyna. – Ale sądziłam, że siedzi tutaj tylko stado tępych piechurów. Patrz, jedzie pociąg!

Wskazała palcem lokomotywę. Arthur wbił wzrok w ciemności i przez chwilę zdawało mu się, że w oddali widzi maleńki obłok iskierek. Potem wleciał w gęstą chmurę i nawet skrzydłom nie udało się utrzymać całej wilgoci z dala od jego ciała.

– Jeszcze przez jakąś godzinę pofruniemy przez chmury, a potem przelecimy przez warstwę dymu – oświadczyła Suzy pogodnie. – Gorszego niż cygara Damy Prymus. Stara wiedźma ani razu mnie nie poczęstowała.

– Palenie zabija – oświadczył Arthur, astmatyk i syn lekarki. – Palenie jest przyczyną raka krtani, płuc oraz ust, a także chorób serca. Nie wspominając o latach cuchnącego oddechu, żółtych zębach, brązowych paznokciach, płucach pełnych smoły i takim kaszlu, jakby kot wypluwał kłaki. Tyle że flegma jest jeszcze obrzydliwsza niż kocie kłaki.

– Może i masz rację z tymi żółtymi zębami i paznokciami, ale w Domu nie da się umrzeć od palenia – odparła Suzy. – Chyba że zwiniesz jedno z cygar Pierwszej Damy.

- W moim domu palenie zabija – podkreślił Arthur.
- I zamierzam tam wrócić jak najszybciej. Tam powinienem być... i tam bym był, gdyby nie Potomne Dni, fragmenty Ostatniej Woli i cała reszta.
- Mogło być gorzej – pocieszyła go Suzy.
- Jak to?
- Fragment Woli mógłby ci utkwąć w gardle. Kiedy miałam go w przetyku, czułam się tak, jakby porcja puddingu ryżowego ugrzęzła mi w połowie drogi do brzucha. Ohyda, mówię ci.
- Teraz zdobędziemy następny fragment. Jeśli uda się nam go znaleźć.
- Ten fragment może być lepszy. Przyjemniejszy. Damy sobie radę. Pewnie jest gdzieś w Wieży Skarbca Ponurego, nie?
- Czemu tak sądzisz? – spytał Arthur posepnie.
- To logiczne. Pomyśl sam: Ponury Wtorek słynie z tego, że upycha w swojej wieży wszystko, co najlepsze i najcenniejsze, wszystkie łupy z Poślednich Królestw. To jasne, że Testament też tam będzie.
- Sprawa nie musi być taka prosta – zauważył chłopiec.
- Tak czy siak musimy się dostać do środka wieży@
- podsumowała Suzy. – Przez kogutka kierunkowego. Może być ciężko, nawet z samoprzylepnymi palcami. Potem spotkamy strażników i tak dalej, to pewne.
- Racja – przyznał Arthur z ciężkim sercem.

- Pewnie są tam pułapki.
- Świetnie.
- No i jeszcze trzeba pamiętać, że wpadniemy na Ponurego Wtorka we własnej osobie. Chociaż powinien siedzieć w pociągu, który pojechał w dół Studni.
- Dobrze by było.
- Może wyjechał. Ale z drugiej strony, pociągiem czasami podróżuje któryś Szkaradziej. Uważaj!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Arthur rozpaczliwie uchylił się, kiedy coś zanurkowało tuż obok niego. Ponownie zabrakło mu czasu, aby się zorientować, z czym ma do czynienia. Mignęły mu tylko zęby, pazury oraz bezużyteczne skrzydełka, którymi stwór desperacko młócił powietrze.

– Co to było?

– Bo ja wiem... – mruknęła Suzy. – Nigdy nie wiadomo, w co się połączą grudy. Tak czy owak kiepsko dla tych na dole.

– Dlaczego?

– Nicoń z pewnością przetrwa upadek i nieźle się wkurzy. Uważaj!

Arthur wyrzucił nogi przed siebie, gwałtownie się odchylił i wykonał salto w powietrzu, kiedy ze świstem przeleciała obok niego istota wyglądająca jak skrzyżowanie boa dusiciela oraz łasicy. Szczęki potwora przez moment znajdowały się tak blisko chłopaka, że mogłyby się zacisnąć na jego dłoni.

Stwór przefrunął jeszcze bliżej Suzy, która trzasnęła go miedzianą rurką. Zdumiony Arthur usłyszał brzęk metalu uderzającego o metal i zauważył, że nie znikł ani centymetr tulejki.

– Au! – wrzasnęła Suzy. – Ale mi ręka zadrżała.

– Czy... czy to był Nicoń? – spytał Arthur, odzyskawszy równowagę. Bezustannie rozglądał się na

wszystkie strony, gotów się uchylić, obrócić lub wykonać praktycznie każdy manewr, byle tylko uniknąć tego, co mogło nadlecieć albo spaść z góry.

– Kto to wie? – westchnęła Suzy. – Większość Niconi jest stworzona z jakiegoś mięsa, ale nas zaatakowało coś z metalu. Zgięła mi się rurka.

– Kiedy dotrzemy do sklepienia? – spytał Arthur.

Suzy zmarszczyła brwi.

– Trudno powiedzieć – przyznała. – Jeszcze nie dolecieliśmy nawet do zadymionej górnej warstwy. Może za godzinę, dwie.

Ledwie skończyła mówić, przedarli się przez chmurę i otoczyła ich powłoka smogu. Arthur tak długo przebywał na świeżym powietrzu, że wyraźnie wyczuł wiele odrażających woni, które składały się na ostry i zarazem kwaśny fetor dławiącego dymu. Wyczuwał w nim także nutę ozonu, zupełnie jakby spaliło się jakieś urządzenie elektryczne.

Nawet Suzy marszczyła nos, choć spędziła w Domu tyle czasu, że stała się niemal Rezydentką i smród nie miał na nią szkodliwego wpływu. Na szczęście zaklęcie, które zdradził mu Strażnik Porucznik, wciąż działało bez zarzutu.

Następna godzina minęła spokojnie. Dookoła nadal fruwały grudy Nicości, a w pewnej chwili minął ich spadający Nicoń. Był na tyle blisko, że dostrzegli go i Arthur wpadł w panikę.

Bez względu na okoliczności, skrzydła chłopaka

trzepotały miarowo i przebijały się przez mroczną, zadymioną mgłę. Arthur i Suzy nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują względem skraju-Studni oraz sklepienia Odległych Rubieży.

Po pewnym czasie dziewczynka wyciągnęła z kieszeni fartucha zegarek z dewizką, otworzyła go i zerknęła na cyferblat.

– Chyba jesteśmy już niedaleko – powiedziała i wprawnym ruchem zatrzasnęła wieczko. – Spróbuj położyć się na plecach. W ten sposób spowolnisz ruch skrzydeł i osłabisz siłę zderzenia ze sklepieniem. Gdy w nie uderzymy, wypowiedz zaklęcie, wtedy całkowicie uaktywnisz samoprzylepne palce i się przyczepisz. Potem pociągnij za sznurki i odczep skrzydła. Do Wieży Skarbca pójdziemy razem.

– W którą stronę będziemy musieli wyruszyć? – zapytał Arthur, wierzgnął i rzucił się do tyłu. Niestety, wykonał tylko salto, na moment stracił orientację, a skrzydła zwolniły zaledwie na sekundę.

– Mhm – mruknęła Suzy wymijająco. Udało się jej zawisnąć plecami do dołu, gdyż podkurczyła nogi i przycisnęła stopy do twarzy. O takim gimnastycznym wyczynie Arthur mógł co najwyżej pomarzyć. Spróbował więc unieść kolana i przytulić je do klatki piersiowej, jednocześnie rzucając się w tył. W porównaniu z Suzy zrobił to znacznie mniej sprawnie.

Manewr się powiódł. Skrzydła Arthura machały teraz znacznie ospalej, gdyż usiłowały wypracować

najskuteczniejszą metodę wznoszenia się ku sklepieniu.

– Skąd będziemy wiedzieli, w którą stronę iść, gdy dotrzemy na górę? – nie ustępował Arthur. – Być może będziemy musieli pełznąć przez kilka kilometrów, a nawet nie znamy kierunku. Na dodatek musimy mieć zgaszone skrzydła. Jest ciemno, otacza nas smog, nie widać okolicy.

– Poradzimy sobie – zapewniła go Suzy.

– I zawiśniemy na trzech małych wełnianych pacynkach, przyczepionych do sklepienia na wysokości... wszystko jedno, dajmy na to tysiąca kilometrów... mając pod sobą pustą przestrzeń?

– Bez obaw, Arthurze – pocieszyła go. – Bez wyraźnego polecenia samoprzylepne palce nie oderwą się od podłoża.

Zdenerwowany chłopak wziął głęboki oddech, aby warknąć coś w odpowiedzi, gdy nagle ujrzał sklepienie. Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc, niespokojnie uniosł ręce oraz nogi i przygotował się na uderzenie.

Zakładał, że dotknie litej skały, a tymczasem wpadł w głęboką warstwę sadzy. Wpakował się w nią na co najmniej trzydzieści centymetrów. Kłęby sadzy uniosły się dookoła, oblepiając go całego chmarą drobin. Było ich tyle, że skrzydła nie mogły ich strzepnąć z jego ciała, choć biły z coraz większą energią.

Arthur gramolił się po sklepieniu, aż wreszcie jego kończyny spoczęły na twardym kamieniu pod sadzą. Skrzydła bezustannie trzepotały, usiłując pokonać

nieoczekiwaną przeszkodę.

Suzy znajdowała się nieopodal, a skrzydła wzniecały wokół niej istną chmurę sadzy. Dziewczynka i Arthur uderzyli w sklepienie tak mocno, że wywołali lawinę brudu. Poruszyli pokład sadzy, zbierającej się przez setki, może tysiące lat. Arthur widział, jak jej kłęby unoszą się wokół niego, i słyszał ją w oddali. Wydawała odgłos, który przypominał trzask kostek lodu wytrząsanych z tacki.

– Au! – krzyknęła Suzy, gdy nagle straciła równowagę i uderzyła twarzą w sklepienie. Dziewczynka ponownie zaparta się kolanami i łokciami, podczas gdy skrzydła szaleńczo trzepotały jej na plecach.

– Zakłęcie samoprzylepności! – zawołała Suzy. – Zanim odczepisz skrzydła, upewnij się, że aktywną dłonią dotykasz sklepienia. I pamiętaj: jedna dłoń zachowuje lepkość tylko przez minutę. Potem następuje zmiana!

Arthur splunął sadzą i otarł usta o ramię. Ten manewr sprawił mu sporo trudności, i w rezultacie chłopak tylko rozmazał sobie jeszcze więcej sadzy po twarzy. Brudny osad znajdował się wszędzie, kłębił się w chmurach i przywierał do całego ciała Arthura, z wyjątkiem skrzydeł.

– Nic z tego nie będzie! – zawołał. Wcześniej był zbyt zmęczony i za bardzo zadowolony z nadarzającej się szansy ucieczki ze Studni, by przemyśleć szczegóły przedsięwzięcia. Teraz jednak wyobraził sobie, że zawiśnie na jednej ręce u sklepienia, potem będzie musiał zamachnąć się drugą, przycisnąć ją do sklepienia i

zaczekać, aż przywrze. Z pewnością nie da rady powtarzać tego manewru zbyt długo. W końcu źle oceni czas lub opadnie z sił i nie będzie w stanie nawet podnieść rąk. Albo jeszcze gorzej...

– Ręce nam wypadną ze stawów! – wrzasnęła.

– E, tam – prychnęła Suzy, zmarszczyła brwi i dodała: – Ale wiesz, twoje ręce faktycznie mogą się urwać. Pierwsza Dama o tym nie pomyślała!

Arthur jęknął. Z całych sił próbował powstrzymać skrzydła przed tłuczeniem nim o sklepienie. Zachowywał się jak ogłupiała ćma. Przy każdym uderzeniu skrzydła obijały go o skałę i odrobinę przesuwwały po śliskiej sadzy. Chłopiec co chwila tłukł kolanami oraz dłońmi o twardą powierzchnię. Jeśli miał pecha, walił w nią twarzą i klatką piersiową.

Przesuwał się po śliskiej sadzy...

– A może spróbujemy dotrzeć na miejsce w ten sposób, że skrzydła będą nas przyciskały do... au... sklepienia? – zawołał. – Sadza jest śliska, więc możemy po niej sunąć na czworakach.

Zademonstrował, jak to należy robić. Starał się tak synchronizować ruchy, by ślizgać się na dłoniach i kolanach, kiedy skrzydła przygotowywały się do opadnięcia, i amortyzować zderzenie ze skałą, gdy biły powietrze. W ten sposób za jednym posunięciem udało mu się oddalić o ponad metr od Suzy i nie poobijał się przy tym bardziej, niż gdyby tkwił nieruchomo w miejscu. Na dodatek tak samo utyłł się w sadzy. Był w

niej unurzany do granic możliwości. Tylko jego zęby, białka oczu i skrzydła nie wyglądały na całkiem zabrudzone.

– Działa! – obwieścił.

– Jakoś powoli – mruknęła Suzy z powątpiewaniem.

– Chyba raczej odrzucę skrzydła i pójdę na rękach.

– Nie! – zaprotestował Arthur. Wyobraził sobie, jak Suzy zapomina odpowiednio szybko przełożyć ręce albo jak coś odwraca jej uwagę. Na moment zawisłaby wtedy w powietrzu, a potem runęłaby w dół, z rozpaczliwym wrzaskiem, w bezkresną ciemność... – Nie – powtórzył. – Spróbuj przesuwając się za pomocą skrzydeł, tak jak ja.

Suzy mruknęła coś niewyraźnie, lecz prześliznęła się pod sklepieniem, gdy jej skrzydła się uniosły, i w ostatniej chwili przygotowała się do uderzenia o skałę, kiedy skrzydła opadły.

– Jakoś działa – przyznała. – Ale zanim się dostaniemy na miejsce, nasze kolana i łokcie będą jednym wielkim sińcem.

– Moje rany łatwo się goją – zauważył Arthur. Przypomniał sobie, jak w swoim świecie został pokiereszowany przez Sponiewieraka. Nagle przyszła mu do głowy budząca lęk myśl: może zmieniał się w Rezydenta? W następnej chwili skrzydła opadły, a on niemal rozbił nos o sklepienie. To zdarzenie zmusiło go do skupienia uwagi na zadaniu, przed którym stanął. – Twoje obrażenia też szybko znikają, prawda?

– Tak, ale przedtem bolą – wyjaśniła Suzy. – W

drogę.

– Tylko w którą stronę? – spytał chłopak. – Gdzie się znajduje Wieża Skarbca?

– Na północno-zachodnim skraju Odległych Rubieży – powiedziała Suzy. – To... uch, cholera z tymi skrzydłami... wszystko, co wiem.

– Gdzie jest północ... au, to naprawdę boli... północny zachód? – zapytał Arthur. W mroku, przy tak gęstym smogu i fruwej dookoła sadzy, nie mieli szans dostrzec jakiegoś charakterystycznego elementu krajobrazu.

– Po przeciwnej stronie... uff... południowego... och... wschodu.

Arthur przez moment milczał, czekając, aż jego skrzydła się zamachną i zaczną składać.

– Nie masz pojęcia, co? – westchnął.

– Mam po...

Cokolwiek zamierzała powiedzieć Suzy, nie dotarło do uszu Arthura, bo dziewczynka się pośliznęła i skrzydła wepchnęły jej twarz w smoliste sklepienie. Natychmiast się odepchnęła, plując i klnąc, a potem zamortyzowała uderzenie przy następnym machnięciu skrzydłami.

– Mam pomysł – dokończyła. – Spytaj *Atlasa*.

– Och, świetnie. Łatwizna, prawda? Jak mam otworzyć książkę, skoro potrzebuję obu rąk do amortyzowania uderzeń o sklepienie?

Pośliznął się, gwałtownie odwrócił i grzmotnął o skałę, niemal tracąc przytomność.

– Nie musi się otwierać! – zawołała Suzy. – Połóż na *Atlasie* dłoń i poproś...

Arthur ostrożnie skinął głową. W ustach miał tyle sadzy, że nie potrafił wykrztusić ani słowa. Był pewien, że tylko zaklęcie Strażnika Porucznika chroni go przed zadławieniem się nią.

Powolnym ruchem przycisnął łokcie do klatki piersiowej, aby nadal amortyzować uderzenia o sklepienie i bronić się przed skutkami machnięć skrzydeł, lecz jednocześnie móc dotknąć ukrytego w kieszeni *Atlasu*. Zamierzał przyłożyć do niego palec wskazujący, na którym nie nosił samoprzylepnej nakładki.

– *Atlasie*... – zaczął chłopak, lecz ponownie się pośliznął. Łokcie rozsunęły mu się na boki, prawą stroną twarzy uderzył w sklepienie. Pomyślał, że teraz z pewnością ma podbite oko, i spróbował znowu się ułożyć w odpowiedniej pozycji. Rzecz jasna, przy wszechobecnej sadzy i tak nikt nie mógłby dostrzec śliwy na jego twarzy. Tym razem mocniej przycisnął łokcie do tułowia i zczekał, aż skrzydła uderzą powietrze.

– *Atlasie!* Nie otwieraj się. Pokaż mi, gdzie jest północny zachód.

Arthur poczuł, że książka drży mu w dłoni. Na moment się zdekoncentrował i znowu gruchnął twarzą w pokrytą sadzą skałę. Gdy tym razem wydobywał się z mazi i znowu osłaniał rękami oraz nogami, z nosa kapąła mu krew. Być może był złamany. Między oczami Arthur czuł przeszywający ból.

– Poskutkowało? – krzyknęła Suzy.

Arthur milczał. Przyciskał czoło do sklepienia, wszystkimi mięśniami ciała przygotowywał się do następnego uderzenia skrzydeł, a całą uwagę skupił na zapanowaniu nad bólem złamanego nosa. Pulsowanie zaczęło słabnąć, więc może nos był tylko poobijany. W następnej sekundzie krwawienie samoczynnie ustało, pewnie, do nosa dostało się tyle sadzy, że krew nie miała którędy wypływać.

– Poskutkowało? – zawołała Suzy ponownie.

Arthur poprawił ułożenie ciała i zerknął na kieszeń.

– Nie – oświadczył, ale po chwili dodał: – A właściwie tak, chyba poskutkowało!

Na kieszeni pojawił się mały kompas, złożony z czterech krzyżujących się złotych strzałek, które obracały się tak, jakby były przyczepione do koszuli. Arthur popatrzył na nie uważnie, odchrząknął, gdy jego skrzydła trzepnęły powietrze, wyciągnął rękę i jednocześnie prześliznął się po sadzy.

– Północny zachód jest tam! – krzyknął. – W drogę!

Suzy podążyła za nim i po chwili oboje rytmicznie prześlizgiwali się naprzód, gdy ich skrzydła były złożone wysoko, i amortyzowali uderzenia, kiedy opadały. Chociaż za każdym razem pokonywali zaledwie metr lub półtora, Arthurowi łatwiej teraz było chronić się przed uderzeniem o sklepienie.

Przede wszystkim jednak poczuł przypływ optymizmu. Co z tego, że przywierał do sklepienia

Odległych Rubieży, skoro podążał tam, dokąd chciał?
Na dodatek wymknął się ze Studni!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przez kilka godzin pełzli po sklepieniu, aż wreszcie Arthur nagle wyłonił się ze smogu i poczuł powiew silnego wiatru, który rozdmuchał mu pióra skrzydeł i zaburzył rytm wędrówki.

Wiatr dodatkowo strącił z chłopca warstwę luźnej sadzy. Arthur nagle poczuł się lżejszy i czystszy, choć na skórze i ubraniu nadal miał mnóstwo kleistej substancji.

Jednakże to nie nagłe zniknięcie smogu ani powiew świeżego wiatru sprawiły, że chłopak otworzył usta i niemal złamał szczękę o sklepienie, gdy skrzydła zatrzepotały. Przed sobą ujrzał fragment sklepienia o rozmiarach boiska, oświetlony tak, jakby pod jego powierzchnią skrywały się reflektory, rzucające słup jasnego, złocistego światła, takiego jakie daje późnopołudniowe słońce.

Światło padało wprost na Wieżę Skarbcza Ponurego Wtorka. Kamienna konstrukcja była prosta i okrągła, bez widocznych okien, wysokości mniej więcej pięćdziesięciu pięter i średnicy około siedemdziesięciu metrów. Budowlę wieńczył stromy, ostro zakończony dach, pokryty dachówką, ze zwieńczeniem w postaci wiatrowskazu o kształcie kogutka, tak jak to wcześniej opisała Suzy.

Dziewczyna nie dodała jednak, że wieża i otaczające ją zielone trawniki będą szczelnie osłonięte piramidą z

błyszczącego szkła, której wierzchołek znajdował się tuż ponad kogutkiem i niecałe dwadzieścia metrów poniżej rozświetlonego sklepienia.

– To coś nowego – oświadczyła Suzy. – Stary Ponurak najwyraźniej nie lubił, kiedy jego wieża zarastała brudem i sadzą, jak reszta Odległych Rubieży. Pierwsza Dama o tym nie wiedziała, to pewne.

– Mogła też nie mieć pojęcia o jeszcze innych rzeczach – zauważył Arthur niepewnie. Był mocno poobijany i posiniaczony, więc z niechęcią myślał o nowych trudnościach. Nie mógł się doczekać chwili, w której wreszcie odczepi skrzydła i stanie na nogach jak normalny człowiek. Na ziemi. Nie wspominając już o tym, że chętnie by umył ręce i twarz. Wiedział, że pełna kąpiel albo prysznic to nierealne marzenie.

– Z rozświetlonego obszaru najwyraźniej nie dociera ciepło – dodał. – Zatem chyba możemy się tam zbliżyć. To jednak jest spory kawałek drogi od sklepienia, jak przedostaniemy się przez szkło?

Suzy rzuciła okiem na wieżę i piramidę. Dziewczynka znacznie lepiej niż Arthur radziła sobie ze skrzydłami, które teraz niemal dopychały ją do sklepienia. Osłaniała się tak, aby jedynie złagodzić siłę uderzenia, nie próbowała całkowicie go unikać.

– Chyba będziemy musieli jak najbardziej się zbliżyć... Odczepimy skrzydła w diabły, im szybciej znowu będą papierowe, tym lepiej... Gdy się ich pozbędziemy, zeskoczemy na piramidę, przyczepimy się

do niej samoprzylepnymi palcami, zejdziemy i odszukamy inne wejście.

– Ale nawet w najwyższym punkcie piramida znajduje się piętnaście albo dwadzieścia metrów pod sklepieniem!

– Damy radę. Przypomnij sobie, w Atrium skoczyłeś prawie tak daleko.

– Wtedy miałem... uuuch... przy sobie cholerny Klucz!

Suzy pograżyła się w rozmyślaniach. Na jej czole pojawiły się białe kreski w miejscach, z których odpadła sadza, gdy dziewczynka je marszczyła.

– A może odczepisz jedno skrzydło, a potem skoczysz – zaproponowała. – Wpadniesz w korkociąg... ale... skrzydło nadal będzie cię unosić, więc nie powinno być najgorzej.

Arthur spojrzał na piramidę w dole.

Skok z wysokości dwudziestu metrów, korkociąg, być może twarde lądowanie, potem zejście przy użyciu dłoni, które będą się robiły na przemian lepkie i normalne?

– Nie powinienem był się wybierać na tę wyprawę przełajową – mruknął.

– Co takiego?

– Nic. – Nie przychodziło mu do głowy inne rozwiązanie i miał już dość zabawy w muchę na suficie, zwłaszcza taką, która nie panuje nad skrzydłami. Potrafił robić w Domu mnóstwo rzeczy, które w jego rodzinnych

stronach byłyby niewykonalne lub zbyt niebezpieczne, aby się na nie porywać. Miał nadzieję, że ten skok będzie jedną z nich.

– Zbliżmy się jak najbardziej – zaproponował. – Potem... potem chyba będę musiał skoczyć.

Ślizganie się po sklepieniu było znacznie trudniejsze, gdy znaleźli się na czystym podłożu, więc Arthur nabił sobie jeszcze więcej siniaków. Trochę się obawiał wejścia na rozświetlony obszar, ale nie było tam najgorzej. Światło okazało się łagodne, temperatura normalna. Przy na wpół przymkniętych powiekach bez trudu znosił jasność. Na dodatek światło sprawiło, że jeszcze więcej sadzy odpadło z jego ciała i ubrania.

W końcu dotarli do miejsca znajdującego się w odległości około siedmiu metrów od wierzchołka piramidy i niecałych dwudziestu metrów ponad nim. Arthur musiał mieć twarz zwróconą do góry, gdyż wciąż groziło mu zderzenie ze skałą sklepienia. Tylko od czasu do czasu zerkał w dół. W pewnej chwili uznał, że nie mają szans dostać się bliżej do wieży. Nie miał szans zeskoczyć obok wierzchołka piramidy, zwłaszcza dysponując jednym jedynym skrzydłem.

– Gotowy? – spytała Suzy. – Pamiętasz zaklęcie na samoprzylepne palce?

– Tak, pamiętam – potwierdził. – Tylko daj mi chwilę.

Odległość była spora. Taki upadek w świecie Arthura z pewnością okazałby się śmiertelny. A jeśli szkło się

zbije?

– A jeśli szkło się zbije?

– Szkło się nie zbije – oznajmił głos, który nie należał do Suzy. Arthur niemal naderwał sobie mięśnie szyi, gdy gwałtownie odwrócił głowę, by sprawdzić, kto mówi. Jednocześnie po raz tysięczny boleśnie zderzył się ze sklepieniem.

Suzy coś krzyknęła, ale chłopak nie zrozumiał jej słów. Był nieco oszołomiony po kolizji i próbował się obrócić, aby sprawdzić, kto mówi.

Wreszcie udało mu się spojrzeć w tył. Ujrzał stworzenie, które wyglądało jak czarna, pokryta sadzą kulka z włosów, wielkości jego głowy. Istota tkwiła na nieskazitelnie czystym, lśniącym sklepieniu. W tym miejscu zbyt silnie wiało, aby można było sądzić, że to zwykła grudka sadzy. Poza tym kulka miała dwoje głęboko osadzonych, srebrnych oczu, przypominających powiększone srebrne groszki do dekoracji tortów. Oczy stworka poruszały się niespokojnie na boki. Istota miała także usta, widoczne pod oczami. Wargi lśniły srebrzyście od ukrytych za nimi zębów albo substancji wyściełającej gardło.

– Nicoń! – krzyknęła Suzy. Spróbowała wyciągnąć zza paska miedzianą tulejkę i jednocześnie przygotować się do zderzenia ze sklepieniem, ale musiała dać za wygraną, kiedy skrzydła rzuciły nią o skałę.

– Nie jestem Niconiem! – zaprotestowała kulka. – Mogę wam pomóc!

– już ja ci pomogę – mruknęła Suzy. Osłoniła się łokciami i usiłowała wydobyć jakiś przedmiot, ukryty pod górną częścią fartucha. Zapewne nóż.

Arthur nie wiedział, co dziewczynka zamierza zrobić, ale wypačkana sadzą, włoszata istota budziła jego ciekawość.

– Suzy, zaczekaj! – zawołał.

Zamilkł, jego skrzydła zatrzepotały, i po chwili przemówił do stworka.

– Skoro nie jesteś Niconiem, to kim jesteś?

Zabrudzony kłaczek pospiesznie trajkotał, jakby usiłował przekonać Arthura, że opowiada prawdziwą historię. W trakcie mówienia powoli się rozwijał i coraz mniej przypominał kulkę, a coraz bardziej włoszatą, pokrytą sadzą gąsienicę. Bardzo wielką, włoszatą, pokrytą sadzą gąsienicę.

– Ponad dziewięć tysięcy lat temu byłem jedną z brwi Ponurego Wtorka, aż kiedyś zostałem wyrwany z jego czoła w wyniku eksplozji Nicości, podczas pierwszych mrocznych wykopów w Studni. Utknąłem tam na wieki, prawie popadłem w Nicość. Emanacje Nicości stopniowo mnie przeobraziły i stałem się myślącą, żyjącą istotą. Nie jestem Rezydentem stworzonym przez Architektkę, nie jestem też Niconiem zrodzonym z Nicości. Prawdziwe Niconie mną gardzą, a Rezydenci się mnie boją. I jedni, i drudzy usiłują mnie wykończyć przy lada sposobności.

Suzy i Arthur popatrzyli po sobie, potem znowu przyjrzeni się dokładnie włoszatej gąsienicy. W rzeczy

samej istota przypominała niewiarygodnie rozrośniętą, ożywioną brew. Był to podłużny, włochaty rogal, cały pokryty sadzą. Jakby pod wpływem ich spojrzenia, stwór poruszał się nieznacznie, falował i wydawał cmokające odgłosy.

– Nadal jestem związany z Ponurym Wtorkiem – wyznało włochate stworzenie. – Znam część jego umysłu i niektóre tajemnice.

– On naprawdę wygląda jak wielka brew – przyznała Suzy z wahaniem. – A w pobliżu dużych zasobów Nicości dochodzi do osobliwych zdarzeń.

– Co robisz tak wysoko? – zapytał Arthur. Żałował, że nie może zerknąć do *Atlasu* i sprawdzić, co księdze wiadomo o tej... brwi. W zaistniałych okolicznościach było to jednak zbyt trudne.

– Usiłowałem przedostać się do Wieży Skarbca – wyznała istota. – Muszę przebywać w pobliżu skarbów. Pragnę czuć ciężar złota, pławić się w odbitym świetle obrazów, obejmować posagi. Gdy tam się znajdę, nigdy nie odejdę. To wszystko, czego pragnę: chcę się dostać do Wieży Skarbca!

– Jak możesz nam pomóc, skoro nie potrafisz tam przeniknąć? – zapytał Arthur.

– Nie zrobię tego w pojedynkę – wyznał włochaty rogal. – Niemniej mogę wam pomóc, a potem wy możecie pomóc mnie. Dla przykładu: mam diament do cięcia szkła.

– Pokaż – zażądała Suzy.

Włochacz zakołysał się do przodu i do tyłu, cmokając nieprzyjemnie, i otworzył paszczę szerzej, niż Arthur mógł się spodziewać. Istota powoli wysunęła czarny język, który wyglądał na pokryty klejem. Na podwiniętym końcu ozora znajdował się diament wielkości paznokcia na kciuku Arthura. Klejnot połyskiwał w świetle sklepienia.

– Skąd go wzięłeś? – spytała Suzy.

– Żłobiłem gło... – zaczął mówić stwór, lecz przerwał i podjął wątek dopiero wtedy, gdy schował język. – Zrobiłem go z Nicości. Już wam mówiłem, że wiem sporo z tego, co jest wiadome Ponuremu. Poza tym dysponuję niektórymi jego umiejętnościami. Mój język nie jest jednak dość silny, aby przytrzymać diament i przeciąć nim szkło. Potrzebuję kogoś do pomocy.

– Jak się nazywasz? – zaciekawiał się Arthur. Włochacz przez chwilę milczał, więc chłopak dodał: – Jak o sobie mówisz?

– Chyba możecie nazywać mnie... Sadza – oświadczył stwór. – Tak... Sadza. Wdychałem ją, żyłem w niej, jadłem ją tak długo, że jej nazwa do mnie pasuje.

– Jadłeś sadzę? – zdumiała się Suzy. – Po co?

– Z nudów – wyjaśnił Sadza. – Nadzorcy miotają we mnie parą, kiedy znajdę się zbyt blisko. Nic nie najchętniej by mnie zjedli. Nie mogłem przedostać się do Wieży Skarbca. Co mi pozostało? Tylko rozmyślać na murach oraz sklepieniu tego królestwa i jeść sadzę.

– Jeśli chcesz, żebyśmy ci pomogli przedostać się do

Wieży Skarbca, to musisz przysiąc, że udzielisz nam wszelkiej możliwej pomocy w działaniach przeciwko Ponuremu Wtorkowi – zapowiedział Arthur.

– Obiecuję! – wykrzyknął Sadza. Podekscytowany stwór niemal odpadł od sklepienia. Arthur wzdrygnął się na widok brzucha kłaczka, w całości pokrytego odrażającymi, drobnymi przyssawkami, takimi jakie się widuje na kończynach ośmiornic. Właśnie te przyssawki cmokały, gdy Sadza się przemieszczał.

– Ta historia może być prawdziwa, ale po mojemu to i tak Nicoń – wyszeptała Suzy, gdy zbliżyła się do Arthura najbardziej jak mogła. – Bystry, więc bardzo niebezpieczny. Ale ten diament jest nam potrzebny.

– Mam dość zwisania głową w dół i obijania się o to... to idiotyczne sklepienie – odszepnął chłopiec. – Powinniśmy przyjąć jego pomoc.

Suzy niechętnie skinęła głową.

– Akceptujemy twoją propozycję – oświadczył Arthur, zwracając się do Sadzy.

– Dobrze! Dobrze! – zagulgotał Sadza. – Współpraca z wami to dla mnie przyjemność. Kimkolwiek jesteście.

– Mam na imię Arthur – wyjaśnił Arthur pośpiesznie, nim Suzy zdążyła przedstawić go jako Poniedziałka albo Mistrza Niższego Domu. – A to jest Suzy.

– I zamierzacie podprowadzić to i owo z Wieży Skarbca? – dopytywał się Sadza. W jego głosie pobrzmiwał niepokój. Stwór najwyraźniej uznał za oczywiste, że ma do czynienia ze złodziejami.

– Zamierzamy odzyskać zrabowane dobra! – prychnęła Suzy ze złością. – Rzeczy, które powinny trafić z powrotem do prawowitego właściciela dziesięć tysięcy...

– Suzy! – przerwał jej Arthur. Nie chciał, aby Sadza dowiedział się zbyt wiele. Jeśli tę istotę faktycznie łączył jakiś nieokreślony związek z Ponurym Wtorkiem, niewykluczone, że Ponury Wtorek również miał z nią kontakt.

– Odzyskać – podkreśliła Suzy. – Arthur chce tylko tego, co już powinien...

– Suzy! Jesteś gotowa do wypowiedzenia zaklęcia samoprzylepności?

– Och, samoprzylepne palce! Zgadza się? – spytał Sadza i skierował srebrzyste oczy na dłonie Arthura. – Pierwszorzędnie wykonane. Ponury nie zrobił ich osobiście, ale widać, że to dzieło jednego z jego lepszych rzemieślników.

– „Lepcie się za dnia, lepcie się w nocy, dłoń przez minutę i z całej mocy” – wyrecytowała Suzy, spoglądając na ręce. Oparła się na łokciach i przedramionach. Gdy wypowiedziała słowa zaklęcia, pacynki na jej palcach zaczęły się wić i popiskiwać, a na dodatek pojaśniały dziwnym zielonym światłem.

Suzy amortyzowała uderzenie – przycisnęła obie dłonie do sklepienia i odchyliła się. Jedna dłoń przywarła do podłoża kciukiem oraz dwoma palcami. Drugą ręką Suzy momentalnie chwyciła oba sznurki przy szyi i

energicznie je pociągnęła. Lak pękł z trzaskiem i skrzydła natychmiast wybuchły, zmieniając się w chmurę konfetti, które porwał wiatr.

Suzy zawisała u sklepienia i popatrzyła na Arthura. Uśmiechnęła się do niego, nie zważając na podbite oczy i siniak na brodzie, wyraźne ślady długotrwałego obijania się o sklepienie.

– Co za ulga! – oświadczyła. – Za czterdzieści sekund spadam, więc teraz ty fruń, panie Sadza. Pamiętaj, że na piramidzie masz się trzymać z dala ode mnie.

Podkreśliła wagę swoich słów, wydobywając zza paska miedzianą rurkę.

Sadza nie potrzebował dodatkowej zachęty. Sprężystym ruchem, z głośnym cmokaniem, przypominającym odgłos towarzyszący zgniataniu folii bąbelkowej, stwór oderwał się od sklepienia. Wiatr nieznacznie zmienił tor lotu istoty, która ostatecznie przywarła do wschodniej ściany piramidy, w odległości około dziesięciu metrów od wierzchołka.

– Powodzenia, Arthurze – powiedziała Suzy. Szybko schowała tulejkę za pasek, aby mieć wolną dłoń. – Chyba powinieneś...

Samoprzylepne palce na jej prawej dłoni nagle przestały popiskiwać i straciły lepkość.

Arthur patrzył, jak Suzy spada. Niemal odwrócił wzrok, gdy miała uderzyć o piramidę, ale wylądowała na nogach, odbiła się i przez kilka sekund toczyła w dół. W końcu udało się jej spowolnić upadek, kiedy plasnęła

lepką dłonią o powierzchnię szkła.

Zamarła i poruszyła się dopiero po chwili. Przetoczyła się na plecy, pomachała do Arthura i krzyknęła coś, czego nie dosłyszał. Jej słowa zagłuszył wiatr i trzepot skrzydeł chłopca.

Arthur spojrzał w górę, jeszcze raz zamortyzował zderzenie ze sklepieniem i odetchnął głęboko. Potem podparł się tak, aby jego dłonie nie dotykały sklepienia i wypowiedział zaklęcie samoprzylepnych palców. Przy ostatnim słowie poczuł swędzenie na ich czubkach i usłyszał popiskiwanie pacynek.

Prawą ręką pociągnął za prawy sznurek. Usłyszał trzask pękającego laku i za uszami wybuchła mu chmura konfetti. W następnej chwili już spadał. Skrzydło u jego ramienia coraz mocniej biło teraz powietrze, próbując samodzielnie udźwignąć ciężar chłopca i skierować go ku górze.

Arthur spodziewał się, że wpadnie w korkociąg, ale skrzydło tylko podrzucało go tak gwałtownie, że wkrótce zaczął wykonywać szaleńcze salta.

Ułamek sekundy później Arthur uderzył o szklaną powierzchnię piramidy.

Nie spodziewał się, że zderzenie będzie tak strasznie mocne.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Arthur wrzasnął. W chwili upadku poczuł potworny ból w lewej nodze i zaczął się zsuwać, stopniowo nabierając prędkości. Nic nie widział, bo skrzydło tłukło mu się przy głowie.

W końcu zdołał przycisnąć lepką dłoń do szkła i znieruchomiał z nagłym szarpnięciem. Wówczas pociągnął za sznurek i omal się nie udławił, gdy gęste konfetti wypełniło mu usta.

Chłopak ponownie zaczął się zsuwać, gdy jego dłoń przestała się kleić. Natychmiast plasnął drugą ręką o szkło i znowu znieruchomiał. Słyszał krzyki Suzy i Sadzy, ale nie potrafił skupić na nich uwagi. Musiał sprawdzić, co się stało z jego nogą. Ból przenikał go do głębi, promieniując w górę ciała i w dół, do stóp. Arthur bał się spojrzeć na nogę.

Dopiero po chwili przemógł się i zerknął na nią. Miał rozdarte dżinsy oraz niby-pizamowe spodnie, ofiarowane mu przez Strażnika Porucznika. Spod materiału sączyła się krew, dostrzegł także coś, czego się obawiał najbardziej: z nogi wystawało coś sztywnego. Niewątpliwie kość.

Złamał piszczel albo strzałkę, kości podudzia. Może obie. Złamanie było skomplikowane, z przemieszczeniem.

Arthur poczuł falę straszego, nieoczekiwanego

chłodu. Zadrżał. Usiłował stłumić dreszcze i jednocześnie podciągnąć kończynę, aby lepiej się przyjrzeć otwartej ranie. Zrobiło mu się niedobrze na widok bezwładnej, zdeformowanej nogi, z której sterczała złamana kość.

Odetchnął głęboko. Płuca zacisnęły mu się w nagłym przypiływie paniki.

Nie grozi mi atak astmy, powiedział sobie. To wykluczone. Jestem w Domu. Tutaj wszystko wygląda inaczej. Rany szybko się goją. Nawet złamana kość zrośnie się w krótkim czasie... ale ja w ogóle nie mam czasu... ten ból jest nieznośny, nie wytrzymam go długo... muszę coś zrobić...

Niepewnie, delikatnie położył dłoń nad golenią, ledwie dotykając sterczącej złamanej kości. Nawet to muśnięcie wywołało straszliwy ból, przenikając nogę, tułów i głowę. Niewiele brakowało, a straciłby przytomność.

– Na potęgę... Pierwszego Klucza... – wyszeptał Arthur. – Niech moc, która pozostała w mojej dłoni... mnie uleczy. Niech złamana kość... zrośnie się.

Jego dłoń przestała się trząść, choć resztą ciała nadal wstrząsały dreszcze. Arthur poczuł ciepło w ręce i ujrzał, że kość cofa się pod skórę, która momentalnie się zasklepia.

Zdawało mu się, że ból trwał jeszcze przez kilka minut, choć w rzeczywistości zapewne były to sekundy. Chłopak przestał cierpieć, kiedy jego prawa dłoń straciła lepkość i musiał przycisnąć do szkła lewą rękę.

Przez cały czas odczuwał nieprzyjemne drętwienie w nodze, ale mógł odwrócić głowę i skupić uwagę na tym, co się dzieje wokół niego. Chwilę później Suzy przycisnęła lepką dłoń do szkła tak, aby się zatrzymać obok przyjaciela. Sadza obserwował: ich z oddali, jego srebrne oczy migotały w czarnym futrze.

– Co się stało? – spytała dziewczynka. – Jesteś poważnie ranny?

Arthur pokręcił przecząco głową. Dreszcze powoli ustępowały, ale nadal z trudnością wydobywał z siebie głos.

– Złamałem nogę – wyjaśnił. – Ale chyba ją wyleczyłem...

Suzy uniosła brwi i skrzywiła się, bo rozbolały ją podbite oczy.

– Nieźle – pochwaliła. – Skoro tak dobrze ci poszło, to może załatwisz sprawę moich siniaków?

– Hm, tak naprawdę to nie wiem, co zrobiłem – mruknął Arthur. Uniósł nogę i kilka razy zgiął ją oraz rozprostował. Nadal była sztywna i niesprawną. Arthur poczuł, że ogarnia go strach. Kość się zrosła, ale noga wyglądała teraz trochę krzywo.

Nie zagoiła się tak, jak należy, pomyślał. Będę kulawy. Mogę zapomnieć o bieganiu. Koniec z baseballem. Koniec z piłką nożną.

– Oho – mruknęła Suzy, przerywając Arthurowi rozmyślenia. – Nadzorcy.

Chłopiec popatrzył w dół i zaczął się osuwać.

Pospiesznie zmienił dłonie i na chwilę zapomniał o nodze. Suzy wskazywała ręką grupę Nadzorców, którzy wyłonili się ze smogu i biegli do podstawy piramidy.

– Ich miotacze pary raczej tu nie sięgną – zauważyła dziewczyna. – Ale mogą mieć inną broń. Lepiej ruszajmy. Z samoprzylepnymi palcami nie pójdzie nam szybko.

– Tak! Tak! – krzyknął Sadza i ruchem robaczkowym zaczął się przemieszczać ku wierzchołkowi piramidy. – Musimy wedrzeć się do środka i dołączyć do... ujrzyć skarby!

Arthur skinął głową, podciągnął się jak najwyżej nad przyklejoną dłoń i wysunął drugą rękę, aby przykleić ją do szkła. Odczekał moment, a gdy przywarła do podłoża, powtórzył manewr.

Po dziesięciu minutach nadal znajdowali się daleko od wierzchołka. Około trzystu metrów poniżej i stu na wschód, u podstawy piramidy, grupa Nadzorców pośpiesznie ustawiała jakiś obiekt, który podejrzenie przypominał broń. Z okrytych smogiem rejonów przytoczyli maszynę parową i z wielką gorliwością palili w niej ogień. Inna grupa Nadzorców ustawiała na trójnogu długą lufę z brązu i rurą ze srebrzystej siatki podłączała ją do maszyny.

– Armata parowa – wyjaśnił Sadza, spoglądając ze swojego stanowiska na samym czubku piramidy. – Pospieszcie się, zanim nas zmiotą!

– Przecież się spieszymy! – burknął Arthur i ostrożnie podciągnął się na ręce, aby sprawdzić, czy już

się przykleiła. Bezustannie spoglądał na dół, ale nie interesowali go Nadzorcy, tylko jego własna noga. Na razie funkcjonowała bez zarzutu, ale w odległości kilku centymetrów od kolana była nienaturalnie zakrzywiona i jakby niedopasowana.

Suzy dotarła na szczyt przed Arthurem. Sadza natychmiast wysunął ku niej diament na języku.

– Zaraz – powstrzymała go Suzy. – Muszę precyzyjnie określić czas klejenia samoprzylepnych palców.

Wyciągnęła zegarek kieszonkowy, zawiesiła go na fartuchu i zaczęła, aż zmieni się jej przylepna dłoń. Potem wydobyła z rękawa białą niegdyś chustkę, wzięła przez nią klejnot i starannie oczyściła, zanim zdecydowała się wziąć go do ręki.

– Patrz na mój zegarek – nakazała Arthurowi, który właśnie dotarł do celu. – Będę wycinała aż do zamiany samoprzylepnych palców. Powiedz mi, kiedy wskazówka sekundowa dojedzie do dwójki.

Arthur spojrział na zegarek powieszony na posrebrzonym łańcuszku. Czasomierz bezustannie podskakiwał, więc trudno było dostrzec tarczę. Wskazówka sekundowa miarowo tykała, lecz gdy dotarła do dwunastki, Arthur zdekoncentrował się, bo jego palce się odlepiły.

– Uważaj! – krzyknął pospiesznie i plaśnięciem o szkło uratował się przed zjazdem.

Suzy wepchnęła diament do ust i w ostatniej chwili

zmieniła dłoń. Następnie powróciła do pracy z klejnotem. Diament nie przecinał szkła na wylot, ale zarysowywał je na tyle głęboko, żeby potem można było jednym mocnym uderzeniem rozbić wierzchołek piramidy i przez powstały otwór przedostać się do środka wiatrowskazu na szczycie wieży.

– Będą strzelać z armaty parowej – powiedział Sadza z niepokojem w głosie. – Szybciej! Szybciej!

Arthur spojrzał w dół. Nadzorcy właśnie unosili lufę z brązu, by ją wycelować w wierzchołek piramidy. Wszyscy pospiesznie obracali koła i tryby. Z końca lufy wydobywały się długie smugi pary, a maszyna wydmuchiwiała jednostajny strumień gęstego, czarnego dymu.

– Muszę jeszcze naciąć mały fragment szkła – oznajmiła Suzy Arthurowi. – Lepiej, żebyś ty uderzył, nie ja. Chyba będzie potrzebna moc Pierwszego Klucza. Wyciągnij mi tulejkę zza paska.

Chłopak sięgnął ręką i wydobył miedzianą rurkę. Suzy dokończyła rysowanie głębokiej kreski wokół wierzchołka piramidy, w odległości nieco ponad metra od samego czubka.

– Uderz!

Arthur zamachnął się mocno. Miedziana tuleja odbiła się od szkła, a jej vibracje przeniosły się na rękę chłopca. Usłyszeli wyraźny brzęk, a dłonie Arthura się rozgrzały. Zamachnął się ponownie i tym razem brzęk był tak donośny, że chłopak nie miał wątpliwości: wierzchołek

piramidy pękł wzdłuż narysowanej diamentem kreski.

Arthur i Suzy wspólnie pchnęli czubek konstrukcji, który przez chwilę stawiał opór, a następnie przechylił się i spadł. W jego miejscu powstał wygodny kwadratowy otwór, bezpośrednio nad wiatrowskazem.

Samoprzylepne palce Arthura straciły swoją moc i chłopiec zjechał kilka metrów niżej, zanim przykleił się drugą dłonią do szkła. Suzy szybko obejrzała krawędź grubej na trzy centymetry ściany piramidy.

– Szkło nie jest ostre – oświadczyła, wdrapała się wyżej i wśliznęła do wnętrza. Stopami ostrożnie dotknęła dwóch krańców wiatrowskazu, aby sprawdzić, czy ją utrzymają.

Prawa dłoń Suzy przywarła do szkła, kiedy wsunęła się do otworu. Dziewczynka zawisła na niej i szybko wyrecytowała : „Kleiste palce, bardzo dziękuję, zostańcie mi wierne, gdyż was potrzebuję”.

– Tak brzmi zaklęcie – dodała. Jej głos nagle przycichł, gdy ukryła głowę za krawędzią otworu. Przez szkło machnęła do Arthura, który z trudem zrozumiał, że ma do niej dołączyć.

Zanim zdążył się poruszyć, Sadza wdrapał się obok niego, dał nura w dziurę i ześliznął się po wiatrowskazie, po przeciwnej stronie niż Suzy. Potem popęłznął dalej, ku dachowi wieży, i po chwili zniknął Arthurowi z oczu.

Sekundę później w górę piramidy wystrzelił z rykiem strumień dalekosiężnej pary, po drodze okrywając szkło chmurą.

Arthur przerzucił nogi przez skraj otworu, a Suzy pomogła mu oprzeć stopy na strzałce wiatrowskazu. Chłopiec ukląkł, aby się jak najlepiej schować w piramidzie. Jego plan niemal się powiódł. Niemal, gdyż jego prawa dłoń pozostała na zewnątrz, mocno przyklejona samoprzylepnymi palcami.

Arthur otworzył usta, aby wypowiedzieć zaklęcie odlepienia, lecz zdążył wyrecytować tylko pierwsze słowo, nim dotarł do niego kłęb pary. Większość gorącego gazu przetoczyła się nad głową chłopaka, ale część dostała się do wnętrza piramidy. Arthur ukrył się jak najgłębiej, gdy para przygrzała mu uszy i kark. Gorący gaz parzył, lecz na szczęście do Arthura dotarł chłodniejszy otok chmury.

Tylko prawa dłoń chłopca musiała się znaleźć w samym środku gorącego strumienia. Arthur nie odczuł jednak bólu. Przez chwilę bał się spojrzeć na rękę, przyszło mu bowiem do głowy, że nie cierpi, gdyż ból jest zbyt potworny, by go odczuć, a z kończyny zostały tylko kości. Potem zauważył, że prawą dłoń przyciska do klatki piersiowej, a lewą trzyma się wiatrowskazu. Samoprzylepne palce najwyraźniej odkleiły się w ostatniej chwili i Arthur instynktownie cofnął rękę przed rozgrzaną parą.

Głęboko odetchnął z ulgą i wyrecytował zaklęcie. Lepkie palce u jego lewej dłoni natychmiast się uspokoily i przestały wić.

– To coś jest na zawiasach – oznajmiła Suzy, która

ostrożnie zeszła na dach i uważnie oglądała podstawę wiatrowskazu. Urządzenie miało około dwóch metrów wysokości, wykonano je z żeliwa, zatem musiało być niesłychanie ciężkie. Arthur postukał w żeliwny dziób kogutka i zaczął się zastanawiać, jak miałoby go podnieść, aby zgodnie z sugestią Pierwszej Damy dostać się do środka wieży. Sytuacji nie zmieniał nawet fakt, że wiatrowskaz opierał się na zawiasach.

– Musi istnieć jakaś blokada – dodała Suzy. – Zamek albo dźwignia... Och...

Przycisnęła ukryty przełącznik. Rozległ się donośny, metaliczny dźwięk i Arthur raptownie wyfrunął w powietrze. Po chwili ciężko spadł na dach wieży i stoczył się po dachówkach do rynny, jego nogi nagle znalazły się nad przepaścią, a on sam rozpaczliwie młócił rękoma, by o coś zaczepić. Dłonie chłopca nie były już lepkie.

W ostatniej sekundzie chwycił rynnę, lecz nogi zadyndały mu pod skrajem dachu. Usiłował odetchnąć z ulgą, ale nie mógł złapać tchu.

Nagle dachówki zagrzechotały i Arthur ujrzał nad sobą zaniepokojoną Suzy, która najpierw spojrzała na przyjaciela, a potem na ziemię, odległą o kilkaset metrów.

– Przepraszam – powiedziała dziewczynka. – Tam jest mechanizm sprężynowy...

– Pomóż mi się wydostać! – wyszeptał Arthur. Powoli wracał mu normalny oddech. Raz jeszcze chłopak był wdzięczny losowi, że znajduje się w Domu. Gdyby w podobny sposób stracił oddech tam, skąd przybył, bez

wątpienia doświadczyłby ataku astmy.

– Zamachnij się nogami do tyłu, za siebie – poradziła Suzy. – Ściana piramidy jest oddalona zaledwie o jakiś metr. Zaprzyj się o nią, a ja cię wciągnę.

Powrót na dach zajął Arthurowi kilka minut. Przez następnych kilka minut chłopak leżał na plecach i dyszał, potem z trudem usiadł.

Suzy zaglądała do włazu pod wiatrowskazem, który teraz spoczywał pod kątem prostym do wieży. Arthur powoli wdrapał się wyżej i zatrzymał obok dziewczynki. Na szczęście dach nie był zbyt stromy.

– Wewnątrz większa niż na zewnątrz – mruknęła Suzy, nie odrywając wzroku od środka wieży. – A ten cały Sadza dał nogę.

Arthur zajrzał przez właz. Pomimo komentarza przyjaciółki spodziewał się, że ujrzy coś w rodzaju okrągłej sali.

Tymczasem wewnątrz budowli w żaden sposób nie przypominało jej wyglądu zewnętrznego. Przestrzeń za murami nie była nawet zaokrąglona, tylko prostokątna i rozległa. Arthurowi skojarzyła się z dziewiętnastowiecznym więzieniem, które odwiedził podczas szkolnej wycieczki. Pomieszczenie było duże i ponure, jego centrum stanowił dziedziniec o wielu poziomach cel, wbudowanych w murowane ściany na wszystkich czterech bokach konstrukcji. Wzdłuż ścian przebiegały żeliwne chodniki.

Więzienie, które zwiedził Arthur, miało sześć

poziomów i około stu cel z każdej strony. Więzienny skarbiec Ponurego liczył co najmniej pięćdziesiąt poziomów, a jego główny dziedziniec miał długość zdecydowanie ponad półtora kilometra. Trudno było precyzyjnie określić jego rozmiary, gdyż jedyne światło pochodziło z migoczących lamp olejowych – albo ich imitacji – rozmieszczonych w naściennych uchwytych, które zainstalowano przy co czwartej celi. Arthur oszacował, że na każdym poziomie musi się znajdować co najmniej tysiąc cel, co łącznie dawało ponad pięćdziesiąt tysięcy pomieszczeń!

– To wygląda jak więzienie – zauważył. – Niemal identyczne jak to, które zwiedzałem z klasą, tyle że nieporównanie większe.

– Tak to właśnie robi Ponury Wtorek – potwierdziła Suzy. – Kopiuje, co zobaczy. Lepiej bierzmy się do szukania Woli.

– Mamy rozpocząć poszukiwania? – zapytał Arthur z niedowierzaniem i popatrzył w dół, na żelazną drabinę, która prowadziła do najwyższego chodnika. Następnie spojrzał na cele z lewej i prawej strony, tworzące pozornie bezkresny ciąg nabijanych ćwiekami żeliwnych drzwi. – Od czego?

– Zależy, czego szukacie – zauważył Sadza, który nagle wyłonił się z mroku u podnóża drabiny. – Czy dobrze usłyszałem? Wspomnieliście o... Woli?

– Wiesz, gdzie ona jest? – zapytał Arthur pośpiesznie, zanim sobie przypomniał, że nie chciał

wyjawiać Sadzy prawdziwego powodu wyprawy.

Sadza dźwignął się i wyprężył, prezentując ohydne, naszpikowane przyssawkami podbrzusze. Arthur odchylił się, wstrząśnięty. Zauważył, że stwór się powiększył. Z całą pewnością był o połowę większy niż przedtem.

– Ostatnia Wola Architektki? – dopytywał się Sadza.
– Jej część, powierzona Ponuremu Wtorkowi?

– Tak jest – potwierdził Arthur. Zwrócił uwagę, że zmienił się także głos Sadzy. Brzmiał teraz groźniej, nie był już taki życzliwy, całkiem jakby Arthur i Suzy przestali być tak użyteczni jak wtedy, gdy poczwara chciała się dostać do Wieży Skarbca.

– Nie wiem dokładnie, gdzie jest – odparł Sadza. Spojrzenie jego srebrzystych oczu spoczęło na Suzy, która uniosła miedzianą rurkę. Stwór cofnął się. – Ale domyślam się, gdzie jej szukać. Chodźcie za mną.

Sadza zsunął się po drabinie i przedostał na górny chodnik. Nie obejrzał się, aby sprawdzić, czy Arthur i Suzy idą za nim.

– Rozrósł się – szepnęła dziewczynka. – Jak Nicoń, który wyssał z kogoś życie.

Arthur skinął głową i przygryzł wargę.

– Musimy za nim iść – zauważył w końcu. – Tutaj jest zbyt wiele cel, aby przetrząsnąć każdą z osobna, zwłaszcza że Ponury Wtorek z pewnością już wie, gdzie jesteśmy.

– A jeśli Sadza zastawił na nas pułapkę?

– Nadal uważam, że musimy zaryzykować.

– Chyba faktycznie – przyznała Suzy. – Ale wypatruj architektonicznego miecza, świetlnego topora albo czegoś podobnego. Jeśli to coś jeszcze się rozrośnie, będzie nam potrzebna lepsza broń niż ta miedziana tulejka.

Arthur skinął głową i ruszył pierwszy po drabinie na dół. Czuł, że z jego nogą dzieje się coś dziwnego, a gdy wreszcie stanął na chodniku, wrażenie to jeszcze się nasiliło. Zrobił kilka kroków, znieruchomiał, pomacał oba kolana, a na jego czole pojawił się mars.

– Co jest?

– Moja noga... Ta złamana – wymamrotał Arthur z wahaniem. – Skurczyła się. Jest o parę centymetrów krótsza od drugiej!

Pochylił się i ponownie dotknął nóg. Już dawno temu zgubił drewniaki, które spadły do Studni. Teraz stał w skarpetkach i nie miał najmniejszych wątpliwości: nie mylił się. W magiczny sposób wyleczył złamaną kość, ale popełnił przy tym jakiś błąd. Jego noga nie tylko się wykrzywiła, lecz na dodatek wyraźnie skróciła.

– Fakt, jest krótsza – potwierdziła Suzy swobodnie. – Rusz się, ten Sadza złazi po drabinie na niższy poziom.

– Nic nie rozumiesz! – krzyknął Arthur. – Mam jedną nogę krótszą!

Mówiąc to, rozkaszłał się i stracił oddech. Poczucił ucisk w płucach, który na szczęście nie mógł być objawem astmy. W Domu nie groziła mu ta choroba. Przeżył wstrząs, atak paniki lub coś zbliżonego. Astma dostatecznie dała mu się we znaki, i tak nie mógł robić

wszystkiego, na co miałby ochotę. Teraz jeszcze okulał. Wszystko się zmieni na gorsze...

Arthur pohamował się z trudem.

Nie mogę teraz o tym myśleć, uznał. Muszę znaleźć Drugi Fragment Woli, pokonać Ponurego Wtorka i wrócić, aby ocalić dom i wszystkie nasze pieniądze, a także zapobiec innym nieszczęściom. Co z tego, że jedną nogę mam odrobinę krótszą? Lepsza krótsza niż złamana, prawda?

– Rusz się! – powtórzyła Suzy. Zaczęła schodzić po drabinie, więc Arthur poszedł za jej przykładem. Ostrożnie i chwiejnie pokonywał szczeble, przyzwyczajając się do krótszej kończyny.

Musieli biec, aby dogonić Sadzę, gdyż stwór popełził żeliwnymi schodami na niższy poziom, potem pokonał około stu metrów i znowu skierował się na poziom niżej.

Arthur i Suzy mieli na nogach tylko skarpety, lecz mimo to ich kroki dźwięczały na metalowym podeście, a odgłos ten rozbrzmiewał echem na rozległym dziedzińcu.

– Jeśli są tu strażnicy, z pewnością wiedzą już, gdzie się znajdujemy – zauważył Arthur z niepokojem. Echo jego głosu roznosiło się wokoło jeszcze wyraźniej niż stukot kroków.

– Tutaj nie ma strażników! – zawołał Sadza. Zatrzymał się przed drzwiami jednej z cel, które wyglądały dokładnie tak samo jak wszystkie pozostałe. – Ponury Wtorek nikomu nie pozwala wchodzić do Wieży Skarbca, tylko on ma do niej dostęp. Nawet Szkaradzieje

nie mają tu prawa wstępu. A ja w końcu jestem tam, gdzie zawsze powinienem być – razem ze wszystkimi skarbami!

Arthur i Suzy skrzywili się i cofnęli, gdy gęsta, przezroczysta ślina spłynęła z pyska Sadzy, a następnie przesączyła się przez żeliwną kratę chodnika.

– Czy Wola znajduje się w tej celi? – spytał Arthur. Ktoś taki jak Ponury Wtorek raczej nie zachowałby się na tyle przewidywalnie, by ukryć Wolę za tymi drzwiami, nawet jeśli nikt poza nim i jego dawną brwią nie wiedziałby, w którym z pięciu tysięcy pomieszczeń szukać.

– W środku powinna się znajdować droga do Woli – wyjaśnił Sadza. Gdy mówił, jego ślina zmieniała się w pianę. – W tym miejscu muszę jednak was pożegnać. Czekają na mnie inne, bardziej lekkostrawne skarby!

Stwór skoczył do tyłu i pokonał barierkę, gdy Suzy rzuciła się naprzód, aby uderzyć go tuleją. Oboje z Arthurem podbiegli do krawędzi chodnika. Spojrzeli w dół i dostrzegli Sadzę kilka poziomów niżej, przyczepionego do skraju podestu. Przy akompaniamencie donośnych pyknięć poczwara ześliznęła się pod chodnik i znikła im z pola widzenia.

– I dobrze się stało – oświadczył Arthur. – Mam nadzieję.

– To się okaże, jak sprawdzimy, czy to właściwe drzwi – mruknęła Suzy. Po uważnych oględzinach spróbowała odsunąć grubą na palec zasuwę. Sztaba nie

drgnęła, nawet gdy dziewczyna ciągnęła ją oburącz i pchała nogami obrzeże drzwi.

– Zablokowane albo zabezpieczone zakłębieniem – stęknęła. – Nie ma nawet kłódki do otworzenia wytrychem.

Arthur obejrzał zasuwę. Wyglądało na to, że jest przyspawana, gdyż między nią a otworami, przez które przebiegała, znajdował się metal. Gdy chłopiec przyłożył dłoń do sztaby, nagle poczuł intensywne ciepło. Na podłogę spadły drobiny rdzy, zasuwa zagrzechotała i Arthur bez trudu ją odsunął.

Suzy gwizdnęła z podziwem.

– Niezły trik – zauważyła. – Gdybym umiała, zrobiłabym to samo ze spizarką, w której Pierwsza Dama trzyma ciastka.

Arthur pchnął drzwi i wszedł do środka.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Chłopak minął próg i znalazł się w bardzo przestronnym pomieszczeniu. Nie była to mała cela, lecz salon wielkości dużego pokoju dziennego w domu Arthura – domu, który chłopiec i jego bliscy mogli stracić, jeśli nie uda się powstrzymać Szkaradziejów.

Poza gabarytami pokój nie miał nic wspólnego z tamtym salonem. Przede wszystkim bardziej przypominał kajutę na statku niż pokój. Nie było w nim ceglanych, więziennych ścian, tylko deski uszczelnione smołą, która w wielu miejscach wyciekała. Sufit oraz podłoga również były wyłożone deskami i wszystko lekko zatrzeszczało, kiedy Arthur wszedł głębiej. Jedyne źródłem światła okazała się zawieszona na łańcuchu pod sufitem rozkołysana lampa. Cienie w pomieszczeniu poruszały się i tańczyły.

W jednym kącie stało starannie zasłane wąskie łóżko, w drugim – kilka baryłek oraz kufer. Większą część pokoju zajmował długi stół ze starannie wypolerowanego drewna. Jego blat zastawiały niezliczone ilości rozmaitych, leżących na płask butelek. Wiele z nich spoczywało na podstawkach z drewna lub z kości słoniowej.

W każdej butelce tkwił statek. Wiele różnych typów statków w wielu różnych rodzajach butelek, wykonanych ze szkła we wszystkich możliwych barwach, grubego i

cienkiego, zakorkowanych, zalakowanych, zapieczętowanych ołowiem lub zatkanych metalowymi zatyczkami. Statki miały po jednym maszcie, po dwa, po trzy, albo wcale nie miały masztów, za to mnóstwo wioseł. Na wielkich jednostkach mogły służyć załogi złożone z kilkuset osób, na małych zmieściłby się zaledwie jeden żeglarz.

Arthur podszedł bliżej. Lampa zakołysała się, cienie poruszyły. Chłopak nagle dostrzegł czerwoną poświatę w kącie pokoju, na skraju stołu. Znieruchomiał, gdy ujrzał, że jej źródłem jest fajka w ustach siedzącego tam mężczyzny. Podstarzały jegomość o siwych włosach i zaroście wyglądał tak, jakby jego twarz od tygodnia nie widziała brzytwy, choć jeszcze nie można było powiedzieć, że nosi brodę.

Nieznajomy miał na sobie grube niebieskie palto z rękawami, na których znajdowały się ciemne paski. Niegdyś mogły być ozdobione czterema haftowanymi złotem warkoczami. Zamiast wszechobecnych drewniaków z Odległych Rubieży mężczyzna nosił gumowce, których górna krawędź cholewy była wywinięta ponad kolanem.

Człowiek ten miał głęboko osadzone jasnoniebieskie oczy o bardzo przenikliwym spojrzeniu. Skrzyżował wzrok z Arthurem. Po chwili ostrożnie odstawił zapaloną fajkę na stojak, położył ptasie pióro, którym pisał, zatrzasnął wieczko kałamarza, odsunął wielkie tomisko w oprawie z brązu i nabił na metalowy szpikulec kartkę

papieru, która przypominała staroświecki telegram. Kartka dołączyła w ten sposób do setek podobnych, wcześniej nadzianych na szpikulec.

Następnie mężczyzna wstał, wyprostował się w całej okazałości, na niemal dwa metry, i podszedł do światła.

– To Szczurołap! – zapiszczała Suzy i osunęła się na kolana, z powodu omdlenia albo udając upadek, by dezorientować ewentualnego wroga. Arthur nie wiedział, co nią powodowało. Z ulgą jednak stwierdził, że nieznamy nie jest Ponurym Wtorkiem, jak można było podejrzewać.

Ulgą potrwiała zaledwie sekundę, gdyż obcy wydobył z cienia harpun o długości prawie trzech metrów, połyskujący i lśniący na całej długości, od niewiarygodnie ostrego z wyglądu grotu do ucha na końcu, przez które zwykle przewleka się linę.

– Bujda, panienko, nie jestem Szczurołapem – warknął mężczyzna głosem niskim i donośnym. – Myślisz o moim najmłodszym bracie. A teraz zdradźcie mi swe imiona, zanim spełnię życzenie Ponurego Wtorka i traficie do niebytu.

– Czy niebytu to część Domu? – zapytał Arthur.

Mężczyzna zachichotał.

– Powinieneś wiedzieć, że niebytu oznacza całkowite nieistnienie – wytłumaczył chłopcu. – Ale dobry ze mnie człowiek i nie żywię urazy do was, Rezydentów. Ta oto moja przyjaciółka przetnie nić waszego przeznaczenia, a ostra ona jak trzeba, i tak skończycie pieśń.

W trakcie przemowy klepnął harpun, który jeszcze bardziej wyjaśniał.

– A teraz podajcie mi nazwiska. Tymczasem robię za szczura lądowego, prowadzę rejestr dla Ponurego Wtorka i nie mam chęci nagabywać zimnego trupa o nazwisko, co by je skreślić z listy płac. Mówcie!

– Z listy płac? – powtórzył Arthur. – Chodzi o rejestr kontraktowych robotników?

– A jakże, muszę mieć w nim porządek, więc podajcie nazwiska, z łaski swojej. A może powinienem wyłuskać je z was grotem mojej towarzyszki?

– Nie jestem kontraktowym robotnikiem – zapewnił go Arthur. Lekko zadrżał, gdy mężczyzna uniósł harpun i potrząsnął nim tak, jakby szykował się do rzutu. – Jestem Mistrzem Niższego Domu i przybywam po Drugi Fragment Woli.

Mężczyzna zmrużył oczy, ale odłożył harpun i podszedł do chłopca. Stał nad nim, chwycił go za brodę i odchylił mu głowę. Popatrzyli sobie w oczy. Harpunnik jednocześnie odparował cios, który Suzy usiłowała mu zadać miedzianą rurką. Złapał dziewczynę za kołnierz i podniósł, nawet nie spoglądając w jej kierunku.

– Mistrz Niższego Domu, powiadasz?

– Tak... tak jest – wymamrotał Arthur niepewnie. Usta Suzy przybierały siną barwę, a jej oczy wywracały się w głąb czaszki. – Puść ją!

Wyciągnął ręce, aby chwycić Suzy i opuścić ją na ziemię. Z początku zupełnie nie udawało mu się poruszyć

ręką mężczyzny, ale po chwili poczuł, jak rozgrzewa mu się dłoń i Suzy nagle wylądowała na podłodze.

– Proszę, proszę – mruknął człowiek. – Zatem to prawda.

Energicznie potrząsnął dłonią Arthura, który podał mu ją z wyraźnym wahaniem.

– Jestem... niech pomyślę... kapitan Tom Shelvocke – oznajmił mężczyzna. – Żeglarz, chwilowo uziemiony przez tego poganiacza niewolników, Ponurego Wtorka. A kimże jest ta młoda dama, Mistrzu?

– Mów mi Arthur. – Chłopak pomógł Suzy wstać. Posłała marynarzowi spojrzenie pełne nienawiści i rozmasowała gardło. – To Suzy Turkusowy Błękit, Poniedziałkowa Przedpołudnica.

– Wybacz, że cię trochę przyduśłem – powiedział Tom i wyciągnął rękę ku dziewczynie. – Ale wiedz, że zgodnie z prawem powinnaś już być przekluta na wylot przez moją przyjaciółkę, bo takie właśnie rozkazy wydał Ponury Wtorek. „Każdy kontraktowy robotnik, który przekroczy ten próg, ma być zabity” – dodał. – Jeśli jednak któryś z pozostałych Dni każe mi zostawić ją w spokoju, to siła wyższa, Tom musi poczekać i przemyśleć sprawę, i może zupełnie nic nie robić.

Suzy niechętnie uścisnęła dłoń Toma i cofnęła się tak, by nie mógł już jej dosięgnąć.

– Kim jesteś? – zapytał Arthur. – Rezydentem? A może kimś... czymś innym?

– Jestem skarbem – wyjaśnił Tom. – Zabranym przez

Ponurego Wtorka z miejsca zwanego Ziemią. Słyszeliście o niej?

– Tak – potwierdził Arthur. – Też jestem z Ziemi. Tam mieszkam, ale muszę być Mistrzem, tylko jeszcze jest za wcześnie... Długo by mówić. Dlaczego jesteś skarbem?

– Bo nie jestem ani śmiertelnikiem, ani Rezydentem, ani Niconiem – oświadczył Tom. – Podobnie jak mój brat Szczurołap, którego panna Błękit niechybnie spotkała. Jestem jednym z synów Architektki oraz Starucha, że tak powiem. Staruch począł nas trzech ze śmiertelniczkami, a Architektka wychowała nas w Domu, ze wszystkimi zmianami, które się wiążą z pobytem tutaj. Kiedy skuła Tatę łańcuchami, wymknęliśmy się z powrotem do Poślednich Królestw. Ja wyruszyłem na Ziemię i zaciągnąłem się na kilka wypraw morskich, tu i tam, i z powrotem. O zniknięciu Matki dowiedziałem się, kiedy Ponury Wtorek zabrał mnie z pokładu statku i wpakował tutaj. Użył do tego całej mocy Drugiego Klucza. I to by nie wystarczyło, gdybym był gotowy na atak i miał przyjaciółkę pod ręką. A prawda jest taka, że gdybym wypił kapkę mniej rumu do kolacji, rozumiecie, gdyby nie ten cholerny ptak, co to go przypadkiem postrzeliłem... Ale co się stało, to się nie odstanie. Trzyma mnie tutaj moc Klucza, mogę co najwyżej oglądać światki w moich butelkach i muszę służyć Ponuremu Wtorkowi jako sekretarz z popapranymi atramentem palcami.

– Nie ma nic złego w palcach popapranych

atramentem – mruknęła Suzy.

– Jak to? – spytał Tom ostro.

– Z czego jest wykonana twoja przyjaciółka? – zapytała dziewczynka pospiesznie. Arthur jeszcze nigdy nie słyszał, by zwracała się do kogoś z podobnym szacunkiem.

– Powstała z lśniącej piany, jaka wytworzyła się wokół płetw przepływającego narwala, pod zorzą polarną na Morzu Arktycznym – oznajmił Tom. – Matka podarowała mi ją na setne urodziny, gdy zaczynałem życie na morzu.

– To dobrze. – Suzy nie kryła zadowolenia. – Gdzieś za drzwiami czai się Nicoń, który powinien zapoznać się z twoją przyjaciółką.

– Nicoń? W Wieży?

– Niegdyś był brwią Ponurego Wtorka – wyjaśnił Arthur. – Tak przynajmniej utrzymuje.

Tom zaniósł się głębokim, grzmiącym śmiechem i zatarł dłonie.

– Zdaje mi się, że Wtorek wkrótce wpłynie w strefę sztormów. Czy mam rację, sądząc, że szukacie w Wieży Skarbca czegoś konkretnego, Arthurze? I czy mógłbym wam ułatwić zdobycie tego czegoś?

Arthur już wcześniej zastanawiał się nad tym, rozmyślał także o słowach Toma. Kilka spraw nie dawało mu spokoju.

– Czym są te „światki” w butelkach? – zapytał.

– Och, butelki to coś, czego sam nauczyłem

Ponurego Wtorka – oznajmił Tom. – No bo tak: jeśli ma się sztukę i rzemiosło, i moc, i specjalnie wykonaną butelkę, to można skopiować drobny fragment Poślednich Królestw i wepchnąć go do butelki. Tam pozostanie, jak się należy, i miejsce, i czas, i cała reszta, chyba że ktoś wyciągnie zatyczkę. A jeśli posiadało się tajemnicę, to można odwiedzić każde miejsce zamknięte w butelce.

– Zatem to są kopie prawdziwych statków w prawdziwych miejscach?

Przyjrząwszy się butelkom, Arthur zauważył, że zamknięte w nich jednostki poruszają się, morze chlupocze, słońce – czasem niejedno – sunie po niebie.

– Wszystkie, z wyjątkiem jednej – odparł Tom. – W niej znajdziesz prawdziwe miejsce, nie kopię. Tam czas płynie tak, jak należy, nie powtarza się w kółko przez kilka skopiowanych godzin.

– Jak to? – zdziwił się Arthur. – A więc co jest w tej butelce?

Tom uśmiechnął się.

– Raduje mnie twoje pytanie, bo właśnie o tym chciałbym ci opowiedzieć. W tej jednej butelce skrywa się słońce i kilka światów, a także słoneczny żaglowiec, najbardziej misterny z dotąd zbudowanych. Może popłynąć prosto ku słońcu, w samo najgorętsze jądro, a załoga żaglowca ani odrobinę się przy tym nie rozgrzeje.

– Po co ktoś miałby żeglować do wnętrza tego słońca? – zapytał Arthur.

– Och, choćby po to, aby sprawdzić, co takiego

Ponury Wtorek mógł tam ukryć dziesięć tysięcy lat temu.

– Wolę?

Tom znowu się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

– Czy możesz nas tam zabrać?

– Na życzenie mogę zabrać jeden z Siedmiu Dni do dowolnie wskazanej przezeń butelki, bo Ponury Wtorek nigdy tego nie zabronił.

– Zatem ja, Arthur, Mistrz Niższego Domu, rozkazuję ci zabrać mnie oraz Suzy do wnętrza słońca, które dziesięć tysięcy lat temu odwiedził Ponury Wtorek.

– Z przyjemnością poześluję z wami ku słońcu – oświadczył Tom. – Potrzebne nam będą jasnopłaszczce, gwiazdne kaptury i Niematerialne Buty.

Żeglarz podszedł do kufra za baryłkami i sięgnął do środka, znacznie głębiej, niż pozwalałaby na to wielkość skrzyni. Szybko wyciągnął kilka długich okryć, lśniących wielobarwnie niczym macica perłowa. Rzucił je Arthurowi, który ugiął się pod ich ciężarem. Miał wrażenie, że musi dźwigać pięćdziesięciokilogramowe naręcze wełny. Następnie Tom cisnął na ziemię kilka par butów, takich samych jak te, które sam nosił. Obuwie wyglądało jak najzwyklejsze w świecie gumowce sztormowe. Na koniec wskazał dłonią róg stołu.

– Przyda się nam jeszcze solniczka z obiadowej części mego stołu. Panno Błękit, jeśli łaska. Stary Wtorek niechybnie zostawił na pokładzie kilku Aporterów.

Arthur podzielił stertę ubrań na sześć mniejszych, jeden komplet najwyraźniej pasował na niego, więc

chłopiec ochoczo ściągnął fartuch i przymierzył odzież. Płaszcz leżał idealnie. Pomimo swojej wagi był bardzo chłodny i niezwykle miękki. Arthur od razu go polubił.

– Gwiazdny kaptur w kołnierzu – wyjaśnił Tom. Sam również ubrał się w jasnopłaszcz, wziął od Suzy wielką solniczkę i wsunął ją do kieszeni. Następnie postawił kołnierz i rozwinął kaptur, który zdaniem Arthura musiał być wykonany z luźno utkanego gwiazdnego światła. Kaptur migotał i lśnił, ledwie widoczny poza słabym zarysem krawędzi w miejscu zetknięcia z dłońmi Toma.

– Naciągnijcie go na głowy, a nie spotka was nic złego – polecił im Tom. Nasunął kaptur tak, aby całkiem zasłonić twarz, i przycisnął go kciukiem do górnego guzika płaszcza. – Po włożeniu Niematerialnych Butów będziecie stosownie wyekwipowani na wypadek jakichkolwiek problemów gwiazdnej natury – dodał żeglarz. – Tylko pamiętajcie, by wsunąć dłonie w rękawy, jeśli zrobi się nieco gorąco. Na pokładzie „Heliosa”, jak go nazywam, ten sprzęt nie będzie wam potrzebny, ale lepiej być gotowym na każdą ewentualność. Może będziemy musieli awaryjnie przybijać.

– Do czego przybijemy? Co jest we wnętrzu tej gwiazdy? – dopytywał się Arthur i jednocześnie usiłował naciągnąć Niematerialne Buty. Gdy tylko jego stopy znalazły się na miejscu, obuwie się zmarszczyło i zmieniło kształt, aby ostatecznie przybrać formę zwykłych tenisówek. Obuwie Suzy zmieniło się w półbuty ze lśniącej, lakierowanej skóry.

– Miejsce stworzone przez Ponurego Wtorka – odparł Tom. – Tylko tyle mogę powiedzieć. Gdy będziemy przybijali do brzegu, może być gorąco, a jak przyjdzie pora odpłynąć, temperatura pewnie wzrośnie. Gotowi?

– Gotowa – odparła Suzy.

– Muszę tylko rzucić okiem na rejestr – powiedział Arthur. Podszedł do oprawionej w brąz księgi, grubej na ponad pół metra, o papierze cienkim jak łupina cebuli. Otwarta stronica była zadrukowana tabelami, a w każdej rubryce znajdowały się wyraźne, staroświeckie napisy, niewątpliwie skopiowane z pożółkłych formularzy na szpikulcu.

W rubrykach widniały słowa: numer, zawód, dawne nazwisko, pochodzenie, wykroczenie, kara oraz te same napisy, które Arthur widział na karcie identyfikacyjnej Japetha: ZAROBKI i DŁUGI.

Wyraźnie wypisywane cyfry w kolumnach zarobki i długi zmieniały się bezustannie i nie przypominały starannego, archaicznego stylu pisma, zapewne autorstwa Toma.

– Jeden z wymysłów Ponurego Wtorka – zauważył Tom posepnie. – Rejestr może się sporządzać samoczynnie, ale Ponury lubi zaganiać mnie do wprowadzania informacji o nowo przybyłych. Stworzenie tego rejestru oznaczało zwolnienie ponad dwóch tysięcy urzędników. Wszyscy stracili zajęcie i powędrowali na dno Studni.

– Muszę go zniszczyć, aby uwolnić kontraktowych

robotników – oświadczył Arthur.

– Po wielekroć usiłowałem go podrzeć lub wyrwać ze stołu – wyznał Tom. Pochylał się nad butelkami i ostrożnie wyciągał rękę, aby sięgnąć do tej, która świeciła jasnym, żółtym światłem. – Ponury Wtorek robi wszystko solidnie, zwłaszcza jeśli ma to związek z niewolnictwem.

Arthur próbował wyrwać kartkę, która znajdowała się na wierzchu, lecz nie potrafił jej odpowiednio mocno uchwycić. Palce zsuwały mu się bezustannie. Potem usiłował podnieść księgę, która ani drgnęła. Sprawiała wrażenie jednolitej, metalowej bryły, przybolcowanej do betonowego bloku.

– Obiecałem Japethowi, że uwolnię jego i pozostałych robotników – wyznał Arthur. Obie dłonie położył na otwartych stronach rejestru i odetchnął najgłębiej jak potrafił.

– Ja, Arthur, Lord Poniedziałek, Mistrz Niższego Domu, przyzywam potęgę Pierwszego Klucza, aby zniszczyć ten rejestr! Niech każda jego kartka zmieni się w proch, a jego oprawa niech się połamie na kawałki!

Dłonie Arthura się rozgrzały, buchnął spod nich dym, ale księga nie zmieniła się w pył, nie eksplodowała, nie obróciła się w perzynę. Gdy chłopiec się cofnął, rejestr wyglądał tak samo jak wcześniej.

– Wykonany Drugim Kluczem – zauważyła Suzy. – Coś mi się widzi, że bez niego nie zniszczysz księgi.

Arthur nie odpowiedział. Wpatrywał się w tabelę, gdzie u pewnego Rezydenta, który niegdyś nazywał się

Sargarol, a teraz był trzynastocyfrową liczbą i Wiertnikiem Piątej Klasy, w rubryce DŁUGI pojawiały się coraz wyższe liczby.

W pewnej chwili w powietrzu załopotała żółta kartka i upadła obok księgi. Arthur podniósł świstek, spodziewając się informacji o nowo zakontraktowanym robotniku.

Tymczasem w jego dłoniach spoczywał telegram, złożony z zaledwie pięciu wersów wielkich liter, wystukanych na bardzo starej maszynie do pisania:

KAPITANIE STOP ZŁODZIEJE W WIEŻY
STOP WYBIJ WSZYSTKICH INTRUZÓW
STOP BEZ WYJĄTKU STOP NATYCHMIAST
INFORMUJ O WSZELKICH INCYDENTACH
STOP PONURY WTOREK KONIEC

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Arthur zerknął na Toma. Stary żeglarz przestawiał butelki i na tej czynności skupił całą swą uwagę. Nie patrząc na telegram, Arthur powoli położył dłoń na kartce i przesunął ją po stole ku sobie. Zgniół papier i w tej samej chwili kaszlnął, aby zagłuszyć szelest. Powstałą kulkę wepchnął głęboko do kieszeni jasnopłaszcza.

– Jak się dostaniemy do środka? – spytała Suzy, pochyliła się i zajrzała do wnętrza butelki, którą Tom przed nią postawił. – Czy to słoneczny żaglowiec?

– „Helios”. Doskonała jednostka, jedna z najświetniejszych w mojej flotyli. Chociaż łapie w żagle kosmiczne wiatry słoneczne i nie pływa po ukochanych moich morzach, jest dla mnie trzecim ulubionym statkiem, po słupie „Polly Parbuckle” oraz oficerskiej kwinkweremie.

– Wygląda jak metalowy żółw – mruknęła Suzy. Popatrzyła na Toma i pośpiesznie dodała: – Bez obrazu, rzecz jasna.

– Nie ma mowy o obrazie, moja panno – zapewnił ją Tom. – W rzeczy samej wygląda jak metalowy żółw, albowiem ten kształt świetnie się sprawdza przy żegludze słonecznej. A teraz poproszę, byście położyli lewe dłonie na butelce i zatopili spojrzenia w moim „Heliosie”, podczas gdy ja będę wypowiadał zaklęcie, które nas przeniesie na pokład. Ku uwadze: obserwujcie statek, nie

spoglądajcie na żadną z planet ani na samo słońce. Arthurze, możemy zaczynać?

Chłopak zawahał się. Na własnej skórze doświadczył okropności Studni, więc desperacko pragnął zniszczyć rejestr i uwolnić zakontraktowanych robotników, a dopiero potem wyruszać na słoneczny żaglowiec.

– A gdybyś mi pomógł zabrać rejestr? – spytał Toma, olśniony nieoczekiwanym pomysłem. – Jesteś synem Starucha. Ja mam trochę mocy Pierwszego Klucza. Może wspólnie wystarczy nam siła, aby podnieść księgę?

– Podnieść ją razem? Kto wie, to niewykluczone, że się uda – przyznał Tom. – Ale co potem?

– Czy moglibyśmy zrzucić ją do słońca, które odwiedzimy? – zapytał Arthur. – Z pokładu słonecznego żaglowca?

– Tak, to by się dało uczynić. Ale w ten sposób niekoniecznie zniszczylibyśmy rejestr. Wszystko zależy od zabezpieczeń, użytych przez Ponurego Wtorka podczas wytwarzania księgi.

– Och... Rozumiem, że pracowałyby nawet wtedy, gdybyśmy wrzucili ją do słońca, ale nie moglibyśmy już jej wydobyć i spróbować zniszczyć w inny sposób.

Tom pokręcił przecząco głową.

– Jeśli księga nie zostanie zniszczona, wówczas znajdzie sposób, aby tutaj powrócić – oświadczył. – Taką specyfikę mają te rzeczy.

– Moglibyśmy cisnąć rejestr do Studni, a wówczas pochłonięłaby go Nicość – zaproponował Arthur. Wsunął

rękę do kieszeni i dotknął okładki *Atlasu*. – Poproszę *Atlas* o radę.

– *Atlas! Kompletny Atlas Domu i Bezpośrednich Przyległości?* – wyraźnie zdumiał się Tom. – Masz go?

– Tak – potwierdził Arthur. – Co w tym dziwnego?

– Zniknął w tym samym czasie co Matka, dziesięć tysięcy lat temu – wyjaśnił Tom. – To jedno z jej największych dzieł, obok Domu oraz Poślednich Królestw.

Arthur wydobył mały zielony notatnik i popatrzył na niego uważnie. Z całą pewnością przydawał się od czasu do czasu, ale chłopiec nie zaprzętał sobie nim głowy, uważając go za nieco irytującą i trudną w użytkowaniu bazę danych. Faktycznie, *Atlas* pomógł Arthurowi uciec przed Sponiewierakiem... i wskazał mu drogę do Wieży Skarbca...

– To chyba dość niezwykle – przyznał bez przekonania. Potem kontynuował, na wypadek, gdyby *Atlas* miał uczucia i można było go urazić: – Chciałem powiedzieć, że to naprawdę niezwykle! I praktyczne. Spytałem go, czy rejestr kontraktowych robotników można zniszczyć, rzucając go w słońce.

Chłopiec położył *Atlas* na dłoniach i skupił na nim uwagę. Skoncentrował się wyłącznie na pytaniu. Książka zadrżała mu na rękach, lecz się nie otworzyła i nie rozrosła do pełnych rozmiarów. Arthur spróbował ponownie, w myślach powtarzając treść pytania. *Atlas* nie zareagował.

– Nie działa – oznajmił Arthur. Próbował otworzyć go jak zwyczajną książkę, ale stronice sprawiały wrażenie mocno sklejonych, tak jak za pierwszym razem w szpitalu.

– Aby korzystać z *Atlasu*, trzeba być Matką albo mieć Klucz – wyjaśnił Tom. – Po wielekroć próbowałem tego sam, jako że praca z *Atlasem* należała do moich obowiązków.

– Otwierałem go już wcześniej – upierał się Arthur. – Po tym, jak przekazałem Klucz Woli... Pierwszej Damie. Powiedziała, że *Atlas* nawet bez Klucza odpowie na część moich pytań.

– To dlatego, że część mocy Pierwszego Klucza jeszcze w tobie pozostała. – Tom wbił w Arthura przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu. – Zachowałeś resztkę jego potęgi. Ale tylko odrobinę, nie więcej niż kroplę na dnie kielicha. Z pewnością bez opamiętania korzystałeś ze swej mocy. Nawet śmiertelna istota może utrzymać sporą część potęgi Klucza.

– Chyba... niezbyt dobrze... wyleczyłem nogę – zauważył Arthur i zamrugał oczyma, spoglądając na swoją wykręconą, krótszą kończynę. – Poza tym otworzyłem drzwi do twojego pokoju i próbowałem usunąć rejestr. Przedtem pchnąłem jednego ze Szkaradziejów... i użyłem mocy, by dotrzeć do Frontowych Drzwi. Nie wiedziałem, że mogę ją zużyć.

Arthur z mieszanymi uczuciami rozmyślał o utracie mocy otrzymanej od Pierwszego Klucza. Gdyby był u

siebie i nie działo się nic złego, z pewnością cieszyłoby go, że znowu jest taki jak dawniej. Teraz jednak, w Domu, kiedy niebezpieczeństwo groziło mu z każdej strony, czułby się bardziej komfortowo, dysponując odrobiną magii.

– To ci może wyjść na dobre – zauważył Tom. Odwrócił się tyłem do Arthura i skupił uwagę na butelkach. – Moc Architektki, tkwiąca w jej osobie i emanująca z jej Kluczy, jest niezwykle groźna dla śmiertelników.

– Czy twoim zdaniem pozostało mi dość mocy, abyśmy wspólnie podnieśli rejestr? – zapytał Arthur.

Tom wzruszył ramionami i zaczął coś mówić, lecz jego głos został zagłuszony przez donośne dudnienie, które odbiło się echem w pokoju. Podłoga oraz ściany zadrżały i głucho zadudniły, butelki zagrzechotały wysokim tonem.

– Piramida – mruknął Tom. – Ponury Wtorek wzniosł zachodnią stronę, by łatwiej się tu dostać. Przyjdzie prosto tutaj. Spróbujemy zmierzyć się z rejestrem!

Arthur nie wahał się ani przez chwilę. Oburącz złapał jedną stronę księgi, Tom chwycił drugą.

– Raz, dwa, trzy... W górę! – krzyknął Arthur.

Rejestr jęknął niczym ogarnięty boleściami człowiek, potem zapiszczał jak kot, któremu ktoś nadepnął na ogon, i przesunął się nad stołem, wydając odgłos, który przypominał gwałtowne hamowanie samochodu.

Księga okazała się tak ciężka, że po stronie Arthura

prawie opadła do podłogi. Żeglarz i chłopiec chwiejnie podeszli do butelki ze słonecznym żaglowcem.

– Arthurze, przyłóż nos do butelki i wbij wzrok w statek! – sapnął Tom, pochylając się i przytykając do szkła własny nos o kształcie ptasiego dzioba. – Panno Błękit, wystarczy twoja dłoń.

Przyciśnięcie nosa do naczynia okazało się dla Arthura niebywale trudnym wyzwaniem, lecz na szczęście butelka była dość duża.

– Zasłaniasz mi głową! – krzyknęła Suzy. Chłopak nieco się przesunął, a Suzy zajrzała mu przez ramię.

– Patrzcie na statek! – rozkazał ponownie Tom. Następnie wykrzyczał coś, co przypominało wiersz, w języku, którego Arthur nigdy nie słyszał. Żeglarz wydawał z siebie ryki i niskie, chrapliwe pomruki, od których chłopiec dostawał dreszczy.

Arthur oderwał wzrok od żaglowca i spojrzał na planetę, otoczoną wieloma pierzastymi pierścieniami. Przypominała Saturna, lecz lśniła znacznie jaśniejszym blaskiem. Zdesperowany chłopak z trudem ponownie skupił uwagę na statku. Pojazd w rzeczy samej przypominał metalowego żółwia, jak to zauważyła Suzy. Żółw, długości dobrych dwudziestu pięciu metrów, był wykonany z kutego złota, a na przedzie skorupy miał ponadtrzydziestometrowe płetwy z promieniującego światła o czerwonym zabarwieniu. Na głowie stwora widniało dwoje ogromnych oczu, niewątpliwie okien, wykonanych z ciemnoniebieskiego materiału,

przypominającego barwą staromodne szklane sflawiki wędkarskie.

Arthur wpatrywał się w te iluminatory. Wydawało mu się, że coraz bardziej się ku niemu zbliżają, aż wreszcie dostrzegł zamazane postaci, które się za nimi poruszały. Gdy znalazły się jeszcze bliżej niego, zorientował się, że sylwetki należą do Toma i Suzy, a także – co zupełnie niezwykle – do niego samego.

Tom ogłuszająco wykrzyczał ostatnie słowo i nagle . Arthur zorientował się, że wygląda przez okna z niebieskiego szkła, obserwując odległą planetę, otoczoną pierzastymi pierścieniami. Tom i Suzy znajdowali się u jego boku, a rejestr spoczywał na pokładzie pomiędzy nimi. Powierzchnia pokładu była pokryta podłużnymi płytami ze złocistego metalu, które przybito srebrnymi gwoździami.

– Witajcie na pokładzie „Heliosa” – oznajmił Tom. Jego wzrok utkwiony był w punkcie za plecami dzieci. Żeglarz wydobył z kieszeni srebrną solniczkę.

Arthur odwrócił się gwałtownie. Stali na mostku „Heliosa”, w owalnej komorze o średnicy około siedmiu metrów. Koło sterowe było utrzymywane w jednej pozycji dzięki przywiązanej do niego jaskrawobiałej linie. Wokół steru zainstalowano kilka nietypowych wskaźników oraz mapnik w formie skrzynki z przezroczystego metalu, w której znajdowały się trójwymiarowe obrazy planet oraz słońca, przypominające lśniące ryby w głębokim, krystalicznie

czystym akwariem. Frontową ścianę pomieszczenia wyposażono w dwa wielkie okna z niebieskiego szkła, z tyłu usytuowano otwarty właz, prowadzący na niższe poziomy jednostki.

– Trzymaj – polecił Tom Arthurowi i wręczył mu solniczkę. – Zejdź i usuń wszelkich Aporterów i im podobnych, którzy mogą się tam czaić. Ja przygotuję jednostkę do drogi.

– A co z rejestrem? Co z Ponurym Wtorkiem? Czy nie może wyciągnąć nas z butelki?

– Rejestr może zostać tam, gdzie jest, lecz musimy uważać, by nie próbował żadnych sztuczek. Co do Ponurego Wtorka: powinniśmy powrócić w niepełną minutę od zaokrętowania. Tutaj czas płynie wolno.

Tom przystąpił do odwiązywania koła sterowego. Arthur zważył solniczkę w dłoni i spojrzał na Suzy.

– Prowadź – zaproponowała dziewczyna. – Chcę zwiedzić resztę statku.

Arthur zszedł na niższy pokład, krzywiąc się na schodach i powłócząc lewą nogą. Podobnie jak resztę „Heliosa”, przejście oraz korytarz poniżej zbudowano ze złocistego metalu, który lśnił łagodną jasnością, dzięki czemu nie trzeba było korzystać z latarni. Arthurowi przyszło do głowy, że światło mogło być oślepiająco jaskrawe, ale tłumił je ochronny płaszcz. Czuł na twarzy delikatny gwiazdny kaptur, lecz nie miał śmiałości go ściągnąć, by zweryfikować swoją teorię.

Pod mostkiem rozciągały się dwa pokłady. Arthur i

Suzy metodycznie przeszukali wszystkie kabiny, pomieszczenia oraz skrytki, lecz nie natrafili na żaden ślad Aporterów. Znaleźli za to butelkę z brązu, zabezpieczoną ołowianą zatyczką. Zdaniem Arthura naczynie było zatkane solidnie. Jeśli skrywało Nicość, nie wy dostała się ani odrobina.

Młodzi podróżnicy znaleźli jeszcze wiele innych godnych zainteresowania przedmiotów, gdyż „Helios” był wyposażony w najrozmaitsze sprzęty oraz zaopatrzony w różnoraką żywność, aby wędrowcy mogli zapuszczać się na powierzchnie planet, badać odległą przestrzeń kosmiczną i penetrować wnętrze słońca. Przeznaczenia wielu rzeczy nie znali, lecz inne, choćby szable zgromadzone w zbrojowni, wzbudziły ich podziw, więc bezzwłocznie się w nie zaopatrzyli. Po powrocie na mostek mieli za pasami szerokie, lecz krótkie szable o krawędziach głowni błyszczących od ściętego, księżycowego blasku. Suzy wzięła sobie także złoty kolczyk z brylantem, znacznie bardziej efektowny niż kontraktowy identyfikator w uchu Arthura. Dziewczynka znalazła dla siebie także jaskrawoczerwoną bandankę, którą zawiązała na głowie, nie ściągając kaptura.

Widok za niebieskimi iluminatorami zdecydowanie się zmienił. Dwie długie płetwy „Heliosa” jeszcze bardziej się wydłużyły na przedzie jednostki, przez co zaczęły przypominać bliźniacze spinakery z niematerialnego, czerwonego światła. Zniknął obraz planety otoczonej licznymi pierścieniami. Zamiast niej

widać było gwiazdy szybko przesuwane się za oknami oraz słońce, które rozrosło się już do takich rozmiarów, że zasłaniało połowę przestrzeni.

– Nie znaleźliśmy żadnych Niconi – zameldował Arthur.

– Na pokładzie żaglowca mówcie do mnie „sir” albo „panie kapitanie” – polecił Tom, bez cienia opryskliwości.

– Dobrze, panie kapitanie.

– I jeszcze: „tak jest” zamiast „dobrze” – ciągnął Tom. – Zanim dopłyniemy na miejsce, uczynię z was żeglarzy z prawdziwego zdarzenia.

– Czy wszystko przebiega zgodnie z planem... panie kapitanie? – spytał Arthur, zerkając na gwałtownie powiększające się słońce.

– W rzeczy samej. Obraliśmy kurs prosto na ogniste jądro gwiazdy, a „Helios” sunie na świetle jak należy.

– Na pewno nie spłonimy? – dopytywała się Suzy. – Kapitanie, czy raczej: sir.

– Nie, jeśli nie pozostaniemy tam zbyt długo – oświadczył żeglarz. – Krótkotrwały pobyt nie powinien się okazać kłopotliwy ani dla „Heliosa”, ani dla nas samych. A teraz wypada mi skupić uwagę na halsowaniu pod wiatr słoneczny. Pora trzymać żagle.

Arthur i Suzy przez ponad godzinę obserwowali, jak Tom kręci kołem sterowym raz w jedną, raz w drugą stronę. Żeglarz od czasu do czasu pociągał albo popychał którąś z dźwigni zainstalowanych na ścianie przed sterem,

albo stukał w szybkę podrygującego wskaźnika, aby go ustabilizować. Słońce coraz bardziej rosło, aż wreszcie wypełniło sobą wszystkie iluminatory. W rezultacie na zewnątrz widać było wyłącznie oślepiająco białe światło.

Arthur był zadowolony, że chroni go lśniący metal kadłuba słonecznego żaglowca oraz jego niebieskie iluminatory. Wiedział, że bez nich całe jego ciało spłonęłoby na popiół już w odległości wielu milionów kilometrów od słońca. Cieszył się też z tego, że gwiazdny kaptur zapobiega jego natychmiastowemu oślepieniu.

Tom wykonał półobrót sterem, przewidując zmianę kierunku wiatrów słonecznych, i ruchem ręki wskazał kółko spoczywające na podłodze przy jego stopie.

– Arthurze, czy widzisz tę obręcz? – spytał.

– Widzę... Chciałem powiedzieć: tak jest, panie kapitanie.

– Chwyć ją. Gdy powiem „wybieraj”, pociągniesz obręcz w górę tak wysoko, jak tylko potrafisz. Potem, gdy powiem „zwolnij”, puścisz ją.

– Tak jest, panie kapitanie!

Arthur zrobił kilka kroków, ukląkł i chwycił za obręcz. Skierował wzrok na Toma, który uważnie wpatrywał się w iluminatory i wykonywał ćwierćobroty kołem, przez cały czas w prawo.

– Wybieraj!

Arthur gwałtownie pociągnął obręcz, która wystrzeliła z podłogi, a w ślad za nią jaskrawo połyskujący łańcuch. Zdawało się, że jego ogniwa zostały

wykonane z kryształów, a może nawet brylantów. Arthur zachwiał się i cofnął, wciąż ciągnąc obręcz. Z otworu wyłaniały się kolejne metry migoczącego łańcucha i rozpościerały po całej podłodze pokładu.

– Miej baczenie, by cię nie przywaliło! – zawołał Tom.

Arthur już wcześniej zdał sobie sprawę z takiego niebezpieczeństwa, ale łatwiej było o nim mówić, niż mu zapobiegać. Łańcuch przysłonił wszystko, nagromadził się w ilości co najmniej stu metrów, i Arthur musiał umknąć przed nim na schody prowadzące na niższy poziom. Przez cały czas ścisnął w dłoni pierścień. Suzy ukryła się w kącie pomieszczenia i podejrzliwie obserwowała łańcuch.

– Uważaj, Arthurze! – krzyknął Tom. Nieoczekiwanie wyszedł zza steru, owinał łańcuchem rejestr na podłodze, skoczył z powrotem za koło sterowe i zawołał: – Zwolnij!

Arthur puścił łańcuch. Pierścień wyskoczył mu z dłoni, ogniwa łańcucha zsunęły się tam, skąd przybyły. Pętla wokół rejestru zacieśniła się. Na kilka sekund łańcuch się zatrzymał, a księga pozostała przyczepiona do pokładu. Gdy Arthur skoczył z powrotem na schody, ujrzał sunący po podłodze rejestr. Księga zgrzytała, a głębokie rysy na posadzce świadczyły o tym, z jaką siłą przeciwstawia się łańcuchowi.

– Tędy nie przejdzie! – krzyknął Arthur i wskazał otwór na łańcuch. Przelot miał wielkość spodka. Wielkie,

oprawione w blachę z brązu tomisko dotarło do otworu, lecz w nim nie utkwilo. Wsunęło się do środka z rozdzierającym wrzaskiem, który sprawił, że Arthur ponownie wpadł do przejścia między pokładami, mocno zatykając uszy dłońmi.

Chwilę później statek wpadł na jakąś przeszkodę. Rozległ się huk, coś zgrzytnęło o kadłub. Pokład zakołysał się na boki.

Arthur dowlóknął się do mostka. Potrząsał głową, dzwoniło mu w uszach.

– Wszystko musiało się rozegrać niespodziewanie – mówił Tom do Suzy. – Rejestr lepiej by się bronił, gdyby wiedział, że zawinę go w łańcuch kotwicy. Żywię nadzieję, że nie ogarnęło cię przesadne zaniepokojenie?

Suzy popatrzyła na Toma, wskazała palcem na ucho i energicznie pokręciła głową.

– To dobrze! – ucieszył się Tom, nieświadomy, że dziewczyna potrząsa głową, aby odetkać uszy. – Dobiliśmy, że tak powiem. Trochę się pokołyszymy na łańcuchu i przekonamy, czy...

Białe światło w iluminatorze zmieniło się. Arthur uważnie wpatrywał się w soczystą zieleń drzew, która nagle wykwitła za szybami. Drzewa były obwieszane pnączami i okryte gęstymi liśćmi, przetykanymi jaskrawobiałymi kwiatami.

– Wygląda jak dżungla! – wykrzyknął zaskoczony chłopak.

– To jest dżungla, swojego rodzaju – potwierdził

Tom. – Wyspa tropikalna, zachowana w bańce Niematerialnego Szkła, osadzona w słonecznym jądrze.

– Jak się na nią przedostaniemy? – spytała Suzy, o wiele za głośno. Jej słuch jeszcze nie odzyskał normalnej wrażliwości.

– Wylądowaliśmy na piaszczystej plaży, pokonawszy burtą Niematerialną Ścianę – wytłumaczył jej żeglarz. – Teraz możemy przejść w bród na ląd, tylko zaczekamy jeszcze chwilę, aby się upewnić, że kotwica chwyciła grunt. Nie chcielibyśmy przecież, żeby statek bez nas podryfował ku słońcu.

– Czy teraz znajdujemy się w wodzie? – spytał Arthur.

– W skrawku morza, uchwyconego razem z wyspą – wyjaśnił Tom. – Niematerialne Szkło, które otacza to miejsce, wie, że „Helios” ma prawo przez nie przenikać. Inna jednostka po prostu odbiłaby się od ściany.

Tom pochylił się i kilkakrotnie szarpnął pierścień kotwicy. Wysunęło się parę metrów łańcucha, który potem się zablokował. Tom pociągnął obręcz jeszcze kilka razy i puścił ją.

– Mocno trzyma – oświadczył. – Będzie dobrze, chyba że nadciągnie sztorm. Teraz jednak – na brzeg!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Arthur zmrużył oczy i ukrył dłonie w rękawach jasnopłascza, gdy Tom uchylił właz w bakburcie. Zgodnie z zapowiedzią żeglarza, wokół statku rozpościerała się przejrzysta, błękitna woda, a zaledwie kilka metrów dalej widać było piaszczystą plażę, za którą rozciągał się skraj dżungli. Drobne fale wysokości kilkudziesięciu centymetrów muskały kadłub statku i rozбивały się na plaży.

Chłopak już oglądał okolicę przez iluminator, lecz mimo wszystko nie takiego widoku się spodziewał. Sądził, że dostrzeże jakieś sygnały świadczące o tym, że znajduje się w jądrze słońca. Światło mogłoby być jaśniejsze, w oddali mógłby lśnić pierścień ognia.

Tymczasem na niebie świeciło normalne słońce, powietrze było ciepłe i wilgotne. Arthur wytknął głowę przez właz i ujrzał ocean, rozpościerający się do linii horyzontu i przełamany długą na dwa kilometry linią, zapewne rafą koralową.

W sumie wyspa doskonale się nadawała do uwiecznienia na pocztówce, jako przykład nieskałanego zakątka ziemi, wymarzonego na wakacje.

– Skąd te fale? – spytał Arthur Toma, wskakując do wody. Morze było ciepłe, ale fale okazały się wyższe, niż można było sądzić z pokładu statku. Ponieważ dno podnosiło się stromo, chłopiec nieoczekiwanie znalazł się

w dość głębokim miejscu. W rezultacie musiał podskakiwać, aby utrzymać głowę ponad wodą i usłyszeć odpowiedź żeglarza.

– Ta butelka nie przypomina innych – oświadczył Tom. – Jesteśmy w miejscu, które znajduje się jednocześnie tu i tam, że tak powiem. – Chwycił Arthura i Suzy za kołnierze płaszczy i podniósł ich, gdy nadciągnęła większa fala. – Ale tutaj znajduje się jedyna droga, którą można się dostać na wyspę. Gdybyśmy powędrowali na jej miejsce na starej Ziemi, wówczas wcale byśmy jej nie dostrzegli i musielibyśmy zawrócić. W niesprzyjających okolicznościach statek być może rozbiłby się o brzeg i wkrótce zatonął. Teraz powinniście już dobrnąć na plażę.

– Dzięki – wymamrotał Arthur, gdy Tom postawił ich na płytkiej wodzie, a sam poszedł dalej. Chłopak zbierał się niezdarnie, gdy jego kulawa noga na chwilę utknęła w mokrym piasku.

– Ej, jestem sucha! – zawołała Suzy, zrobiwszy jeden krok po piasku. Jeszcze przed momentem cała była przemoknięta i ociekała wodą.

– Ja też! – dodał Arthur i poklepał się po płaszczu. Z odzieży unosiła się odrobina pary wodnej, lecz poza tym płaszczy i reszta ubrania były całkowicie suche.

– Fenomenalny płaszczy – uradowała się dziewczyna. – Mam nadzieję, że uda mi się go zatrzymać. A do tych butów nie wpada piasek! Na dodatek świetnie by się nadawały do kopania Niconi. Niematerialne Buty chronią

przed wszystkim, co istnieje, nawet przed Nicością. Przynajmniej chwilowo.

– Odzyskałaś dobry humor – zauważył Arthur. Sam również czuł się znacznie lepiej. Czyste powietrze i jasne słońce dodawały mu otuchy, miał nadzieję, że z pomocą Toma wkrótce znajdą Wolę. Gdy będą mieli Drugi Fragment, wówczas skutecznie przeciwstawią się Ponuremu Wtorkowi i wszystko będzie dobrze.

Tę chwilę optymizmu nieco zakłócił fakt, że krótsza noga chłopca ponownie dała o sobie znać. Arthur próbował iść po piasku tak jak zawsze, ale nie potrafił. Musiał nauczyć się inaczej stawiać kroki i zawczasu planować, gdzie umieścić lewą stopę.

Tom wszedł już do dżungli, w miejscu, w którym płynęła rzeczulka słodkiej wody. Drzewa i poszycie były nieco rzadsze nad brzegami wąskiego strumyka, dzięki czemu można było iść wzdłuż jego skraju niemal tak wygodnie jak po ścieżce.

– Jak na mój gust za zielono i za wilgotno – podsumowała Suzy z niesmakiem, gdy szli w górę potoczku. Zerknęła na korony drzew, gęsto porośnięte liśćmi oraz pnączami, i zadrżała. – W tych krzakach może się coś czaić. Wolę chodzić po ulicach.

– A pamiętasz miejsce, w którym kiedyś mieszkałaś? To z dinozaurami? – spytał Arthur. – Tam rosły drzewa.

– Tylko kilka, a poza tym to było w Domu... Gdzie jest Tom?

Oboje zatrzymali się i rozejrzeli. Jeszcze przed

chwilą żeglarz wyprzedzał ich tylko nieznacznie. Teraz go nie widzieli ani nie słyszeli, by rozchlapywał wodę. Dobiegał ich tylko łagodny szmer rzeczutki oraz przyciszony szum wiatru, poruszającego liśćmi sklepienia dżungli.

– Tom? – zawołał Arthur. – Kapitanie?

Przyszły mu do głowy okropne myśli.

Może Tom jednak widział telegram od Ponurego Wtorka? Albo od samego początku planował nas tutaj sprowadzić? Ściągnął nas w to miejsce, bo zastawił tu na nas pułapkę. Zostawi nas tu, na tej tropikalnej wyspie w głębi słońca. Nigdy stąd nie uciekniemy...

– Tu, na górze! – krzyknął Tom.

– Gdzie? – odkrzyknął Arthur. Słyszał żeglarza, lecz go nie dostrzegął. Dookoła było widać tylko dżunglę. Suzy stała obok i uważnie patrzyła na korony drzew.

– Tutaj! – ponownie krzyknął Tom. Tym razem Arthur zauważył, że kapitan macha do nich z gęstwiny liści. – Możecie się tu wdrapać od drugiej strony.

Arthur i Suzy oddalili się od strumienia, pokonali krzaki o bladożółtych kwiatach i dziwnych, podłużnych strąkach, aż stanęli pod pniem dużego, rozłożystego drzewa, jego pień był skrzepowany rosnącymi we wszystkich kierunkach pnączami. Tworzyły one naturalną drabinę, po której można było się wspiać aż do sklepienia dżungli. Arthur i Suzy wdrapali się po niej bez trudu i po chwili ponownie zalały ich promienie słoneczne.

Tom już na nich czekał, skulony na grubym konarze

obok konstrukcji, którą należałoby nazwać gniazdem. Była to kolistą platforma z chaotycznie splecionych gałęzi i pnączy, tworzących skrzyżowanie balkonu i hamaka.

Pośrodku gniazda leżał niedźwiedź, najwyraźniej pogrążony we śnie. Zwierzątko było lśniące i czarne, z wyjątkiem nieco jaśniejszego pyska oraz jaskrawożółtej, półksiężycowatej plamy na piersi. Miało też ogon. Arthur nie był pewien, czy to typowe dla niedźwiedzi – jeśli to rzeczywiście był niedźwiedź. Stworzenie wydawało się za małe, o połowę mniejsze od Arthura, choć zdecydowanie grubsze.

– Oto ona – oznajmi! Tom. – Wola, a ściślej: jej Drugi Fragment. O ile trafnie zapamiętałem z jednej z moich podróży na Wyspy Korzenne, przybrała formę małej niedźwiedzicy. – Arthur podszedł bliżej. Zwierzątko ani drgnęło, lecz powolny ruch klatki piersiowej dowodził, że żyje i jest pogrążone we śnie. Chłopiec pochylił się nad nim i popatrzył na jego futro. Z odległości kilku centymetrów zamiast sierści lub skóry dostrzegł tysiące drobnych, skłębionych literek.

– Co jej się stało? – spytał zaskoczony. Niedźwiedziczka się nie obudziła i w żaden sposób nie okazała, że jest świadoma obecności obcych. – Śpi? Jest zahibernowana?

– Niedźwiedzie... – zaczął żeglarz, lecz nie skończył. Na plaży zabrzmiał huk eksplozji. Arthur, Tom i Suzy gwałtownie się odwrócili w kierunku hałasu i w miejscu cumowania „Heliosa” ujrzeli strzelający w niebo

ogromny gejzer pary.

– Oho – powiedziała Suzy. Jej dłoń spoczęła na rękojeści szabli. – Przybył Ponury Wtorek?

– Nie – zaprzeczył Tom. – Do wyspy można dotrzeć tylko na dwa sposoby: na pokładzie „Heliosa” oraz po Niebываłych Schodach. Wtorek nie odważyłby się wejść na Schody. Zakładałbym raczej, że zbudziliśmy strażnika albo obserwatora. Sam się zajmę tą sprawą.

W lewej dłoni żeglarza nagle pojawił się harpun, połyskując osobliwą mieszanką światła i mroku.

– A co z Wola? – spytał Arthur. Dźgnął niedźwiedziczkę palcem, czujnie spoglądając na jej długie, niewątpliwie ostre pazury. Wokół palca chłopca wykwitła blada, złocista poświata, zwierzę jednak ani drgnęło. – Co z nią zrobimy?

Tom ruszył na dół, lecz się zatrzymał i popatrzył w górę. Od czasu do czasu zerkał ku plaży, gdzie para bezustannie biła na wysokość trzydziestu metrów.

– A co zamierzałeś z nią uczynić? – spytał wilk morski.

– Sam nie wiem – odparł Arthur z irytacją. – Sądziłem, że powtórzy się historia z pierwszą częścią Woli i dowiem się wszystkiego od niej. Skąd mogłem wiedzieć, że będzie tylko leżała?

– A więc ją przenieś. Nie powinniśmy tracić tu czasu – zauważył Tom i sobie poszedł.

– Myślisz, że damy radę ją dźwignąć? – spytała Suzy Arthura. – Na oko nielekką z niej niedźwiedzica, nawet

jeśli jest zbudowana ze słów.

– Nie wiem – warknął Arthur, nie kryjąc zdenerwowania. – Dlaczego się wreszcie nie obudzi i na coś nie przyda?

Zaparł się mocno na gałęzi, pochylił i spróbował podnieść niedźwiedzicę za łapę, jednak ledwie zdołał oderwać od legowiska przednie nogi zwierzęcia. Stworzenie okazało się nieprawdopodobnie ciężkie, znacznie cięższe niż prawdziwy niedźwiedź.

Suzy również usiłowała podźwignąć śpiocha, ale uniosła tylko jego tylne nogi. Zaokrąglony tułów mocno przylgnał do splecionych liści. Nawet wspólnie szarpiąc niedźwiedzicę, Arthur i Suzy jedynie wygięli ją na kształt podkowy. Zwierzak spał jak kamień.

– Za ciężka! – wydyszał chłopak.

– Kapitan mógłby ją przenieść – zauważyła dziewczynka. – Para wodna znikła... och, dym...

Wyciągnęła rękę w stronę plaży. Słup pary znikł, lecz na jego miejscu pojawiła się kolumna gęstego dymu. Następnie rozległ się dziwny trzask i silna wibracja przeniknęła ciała Arthura oraz Suzy. Zaraz potem rozległ się nie ludzki, bardzo wysoki wrzask oraz triumfalny okrzyk Toma.

– Przyjaciółka kapitana zrobiła swoje, jak mniemam – szepnęła Suzy i brudną dłonią dotknęła zębów. Także Arthur poczuł coś dziwnego w ustach, zupełnie jakby zęby pokryły się włoskami. Osobliwe wrażenie szybko jednak minęło.

– Nie mam nic przeciwko temu, pod warunkiem że służy nam – powiedział Arthur. Potem przyłożył dłonie do ust i krzyknął: – Panie kapitanie! Panie kapitanie! Potrzebujemy pana pomocy przy przenoszeniu Woli!

– Tak jest, słyszę! – zabrzmiał głos w oddali. – Wracam!

Po kilku minutach Tom wyłonił się z gęstwiny dżungli, ale bez harpuna.

– Musimy się spieszyć – zarządził. – To było Widmo Słońca. Są jeszcze inne, próbują odciągnąć „Heliosa”. Najwyraźniej mają sposób na przeniknięcie przez Niematerialne Szkło.

– O ile pamiętam, wspomniałeś, że tutaj można się dostać tylko po Schodach i twoim słonecznym żaglowcem – przypomniała Suzy, gdy Tom dźwignął niedźwiedzicę i przerzucił ją przez ramię z taką łatwością, jakby podnosił poduszkę.

– Albowiem tak właśnie myślałem, dziewczeczko, w śnie tak – zamruczał Tom. – Zastanawiam się... ale nie czas na rozważania. Szybko, na statek!

– Widmo Słońca, co to takiego? – zwrócił się Arthur do Suzy, gdy pospiesznie skrywali się w chłodnym cieniu dżungli. Tom bez trudu zostawił ich daleko z tyłu, choć na ramieniu taszczył ciężką niedźwiedziczkę.

– Nie wiem dokładnie – odparła Suzy. – Jest zatrzęsienie przeróżnych Widm, nigdy ich nie poznałam. W gruncie rzeczy to same Niconie, które wydostały się z Domu i przeniknęły do Poślednich Królestw.

– Panna Błękit ma słuszość, lecz tylko do pewnego stopnia – wtrącił się Tom. Brnął przez gęstwinę w odległości kilkunastu metrów od towarzyszy i pozostawał niewidoczny, więc jego uwaga nieco wstrząsnęła Arthurem i Suzy. – Swego czasu wszystkie Widma były Niconiami, ale mają zdolność przyjmowania natury miejsca, w którym przebywają w Poślednich Królestwach. Widma Słońca to zasadniczo istoty obdarzone własną wolą, złożone z gwiazdnej plazmy. Ale nawet one nie powinny być tu, w gorącym jądrze słonecznym. Zwykle roją się na obrzeżach gwiazd.

– Ma dobry słuch – wyszeptała Suzy.

– Roją się? – spytał Arthur. Nie spodobało mu się brzmienie tego słowa.

– Pierwotny Nicoń-uciekinier typowo dzieli się na kilkaset Widm. Gdy nas otoczą, nie dajcie się objąć. Nawet jasnopłaszcz i gwiazdny kaptur nie wytrzymają długo ich pocałunków.

– Faj – otrząsnął się Arthur. – Wracajmy prosto na pokład, żeby żadnego nie spotkać. – Przyspieszył kroku i ochlapał Suzy, bo szedł dziwnie chwiejnie.

– Na to już za późno – oznajmił Tom, kiedy z morza wytrysnął następny gejzer. W tej samej chwili trójka podróżników wypadła z dżungli na piasek.

Widmo Słońca nie było widoczne, lecz słup pary powoli sunął ku plaży. Woda wokół niego syczała i bulgotała.

– Czy morze nie potrafi go stłumić? – spytał Arthur.

– A jakże. Tyle że trzeba by przedtem znaleźć jakiś sposób, aby utrzymać Widmo Słońca w wodzie – wyjaśnił Tom. Wyciągnął przed siebie lewą dłoń, w której nieoczekiwanie pojawił się harpun. Żeglarz natychmiast wręczył broń Arthurowi. Chłopak ją przyjął, choć był wyraźnie zaskoczony.

– Moja przyjaciółka niechętnie wyfruwa z cudzej garści – ciągnął Tom. – Pomoże jednak Mistrzowi Niższego Domu. Mierz wysoko, w górną część torsu Widma, i trzymaj się na dystans. Moją przyjaciółkę najlepiej rzucać jak najdalej.

– Ale... ale co ty zamierzasz zrobić?

– Muszę przysposobić „Heliosa” do drogi powrotnej, zanim Widma wciągną go w słońce. Musisz odwrócić uwagę tego Widma Słonecznego, a następnie je zgładzić. Panno Błękit, twoja szabla może ciąć tylko kilka razy, potem jej klinga się stopi. Roztropnie korzystajcie z broni.

Rzucił się w morską pianę i w tej samej chwili z toni wyłoniły się kłęby pary. Para się rozwiała i oczom chłopca zaprezentował się mroczny, grafitowoczarny stwór, który w następnej chwili stanął w płomieniach. Nawet pomimo gwiazdnej kaptura Arthur poczuł na twarzy ciepło.

Chłopiec bez namysłu cisnął w Widmo harpunem Toma, celując w górną część torsu. Ponownie rozległ się dziwny trzask, zupełnie jakby ktoś gniótł papier pakowy, lecz stokrotnie donośniejszy. Harpun poszybował z taką prędkością, że Arthur ujrzał jedynie jego rozświetlony

szlak.

– Au! – krzyknęła Suzy, a Arthur jęknął, gdy broń sięgnęła celu. Oboje zasłonili usta, zupełnie jakby nagle poczuli przeszywający ból zęba, promieniujący na policzki i gałki oczne.

Widmo Słońca miało się znacznie gorzej. Potwór wrzasnął, z jego dłoni wystrzeliły pod niebo strugi płomieni, które następnie opadły i otoczyły harpun w piersi monstrum. Gdy wydawało się, że Widmo wyrwie z siebie ostrze, Suzy opuściła rękę i dobyła szabli. Po chwili jednak płomieniste strugi przygasły, ogień Widma całkiem zgasł i potwór rozpadł się na popiół i drobiny węgla drzewnego.

Harpun znikł. Arthur drgnął, gdy broń ponownie pojawiła się w jego dłoni, uderzając go mocno, z głośnym plaśnięciem.

Suzy popatrzyła na harpun, przesunęła językiem po obolałym zębie i pokręciła głową.

– Piekielna rzecz, daj spokój – mruknęła. – Nie mam ochoty być w pobliżu, kiedy znowu nim rzucisz.

– Mam nadzieję, że nie będzie następnego razu – odparł i puścił się biegiem ku morzu. Starał się trzymać harpun jak najdalej od siebie, zupełnie jakby jego ostrze mogło się zwrócić przeciwko niemu. – Wskakujmy na pokład, zanim przybędzie następne Widmo Słońca i...

Nie zdołał dokończyć zdania, gdyż fala zalała mu twarz. Gwiezdny kaptur uchronił go przed nałykaniem się wody, lecz musiał przystanąć, aby odzyskać równowagę.

W tej samej chwili para eksplodowała tuż przed nim. Arthur zatoczył się na Suzy i oboje upadli na miękki piasek. Woda przelała się im przez nogi, a z morza wyłoniło się jeszcze jedno okryte pianą Widmo Słońca.

Tym razem wróg znajdował się zbyt blisko, aby chłopiec mógł rzucić harpunem, dlatego Arthur tylko uniósł broń i pchnął nią potwora. Suzy jak najszybciej odpełzła na czworakach.

Chłopiec poczuł, że harpun drży mu w dłoniach, w twarz uderzyła go fala ciepła. Jak najgłębiej ukrył dłonie w rękawach i schylił się ku ziemi, aby zaryć drzewce harpuna w piasku.

W następnej chwili musiał puścić broń. Niewyobrażalny ból przeniknął wszystkie kości jego ciała, rozpląnął mu się po zębach i po twarzy. Arthur wrzasnął i uderzył się w usta dłońmi. Był gotów uczynić wszystko, byle tylko pozbyć się bólu. Przenikliwe, nieznośne ciepło bijące od Widma Słońca było niczym w porównaniu z ostrym, wibrującym pod skórą bólem, który pulsował coraz silniej, w rytm przyspieszającego tętna Arthura.

Aby uchronić się przed trudnym do wytrzymania działaniem broni, chłopiec rzucił się do ucieczki, brnąc w morskiej wodzie i piasku. Nie obchodziło go, czy unicestwił Widmo Słońca, czy też potwór mknie za nim, żeby spalić go swoim pocałunkiem. Pragnął tylko oddalić się od straszliwej broni kapitana...

Ponownie wrzasnął, gdy coś uderzyło go mocno w

prawą dłoń. Harpun powrócił. Arthur nie mógł się go pozbyć!

To oznaczało, że broń wkrótce znowu będzie potrzebna.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Chociaż harpun ponownie spoczywał w dłoni Arthura, ból nieoczekiwanie ustał. Znikł równie szybko, jak się pojawił, pozostawiając po sobie jedynie nieprzyjemne uczucie w zębach i potworne wspomnienie.

Arthur zorientował się, że leży twarzą w dół na wilgotnym piasku. Pospiesznie się odwrócił. Nigdzie dookoła nie dostrzegł śladów obecności Widma Słońca, nie widział też nowych gejzerów pary. Zmęczony chłopiec usiadł, a następnie chwiejnie stanął na nogach i uważnie się rozejrzał. Dwa metry dalej, tuż przy linii wody, Suzy leżała na piasku, całkiem nieruchomo.

– Suzy! – krzyknął Arthur z panicznym strachem w głosie. A jeśli skutki uboczne użycia harpuna zabiły jego przyjaciółkę?

Dziewczyna uniosła głowę i dotknęła twarzy palcami, jakby chciała się upewnić, że nadal istnieje. Potem niepewnie wstała.

– Nic ci nie jest? – spytał Arthur gorączkowo i podszedł do towarzyszki. Suzy cofnęła się i uniosła ręce.

– Trzymaj tę dzidę z dala ode mnie, Arthurze – zażądała. – Będę szła za tobą.

– Arthurze! Panno Błękit! Szybciej, odbijamy!

Okrzyk Toma skłonił dzieci do działania. Arthur rzucił się w fale, obracając się bokiem, aby łatwiej przez nie przebrnąć. W pewnej chwili zaczął kopać wodę, gdy

większy bałwan ściął go z nóg. Wbrew zapowiedzi, Suzy również wskoczyła do wody i wkrótce dogoniła przyjaciela.

Kiedy tylko zbliżyli się do wjazdu w bakburcie oraz sznurowej drabinki, która z niego zwisała, woda wokół złocistego kadłuba nagle się zakotłowała i zasyczała. Tom wychylił się z wjazdu.

– Prędeż! – krzyknął ponownie. – Widma Słońca zrobiły coś z Niematerialnym Szklę. Coś nas ciągnie za kotwicę, i wypełnia się żagiel na sterburcie!

Arthur podwoił wysiłki, lecz upadł tuż przed drabiną i całkowicie zanurzył się w gorącej wodzie. Odepchnął się od dna i poczuł czyjąś rękę pod pachą. Wyprostował się i za plecami ujrzał Suzy, która pomagała mu wstać.

Dziewczyna dosłownie wrzuciła go na drabinę. Chwytając najniższy szczebel, Arthur upuścił harpun, który jednak nie upadł na ziemię, tylko znikł bez śladu.

– Nie wracaj do mnie – mruknął Arthur pod nosem i ruszył na górę. Na szczycie drabiny odwrócił się i wyciągnął rękę ku Suzy, aby jej pomóc. Woda wokół słonecznego żaglowca dosłownie się gotowała, Arthur widział, jak po przejrzystym morzu o barwie akwamaryny rozlewa się czerwona poświata.

Suzy nie potrzebowała pomocy Arthura, samodzielnie wskoczyła na pokład.

– Zamknijcie i zaryglujcie wjazd! – wrzasnął Tom z wnętrza statku.

Arthur pociągnął, a Suzy pchnęła niezwykle ciężkie

drzwi wjazdu, wykonane z tego samego złocistego metalu, z którego powstał kadłub. Miały co najmniej trzydzieści centymetrów grubości i poruszały się wolno po górnej i dolnej szynie. Gdy były już prawie zamknięte, Arthur zauważył dziesiątki słupów wytryskającej z morza pary. Kolumny przez sekundę pozostawały bez ruchu, aby potem skierować się ku nadal nie domkniętemu włazowi.

– Widma Słońca! – krzyknął Arthur. – Całe mnóstwo!

Przestał ciągnąć drzwi i podbiegł do Suzy, aby pomóc jej pchać.

– Razem! – zawołał. – Raz, dwa, trzy... już!

Pełzający sznur ognia wpadł przez zamykające się drzwi. Odcięty, zaczął się skręcać i obracać przy stopach Arthura oraz Suzy, której w końcu udało się go rozdeptać. Ogień zgasł i zmienił się w czarny pył.

Arthur podniósł długą metalową sztabę i wsunął ją na miejsce, aby zablokować drzwi wjazdu. Gdy tylko zasuw zabezpieczyła wejście, rozległy się gwałtowne uderzenia w kadłub, zupełnie jakby wiele młotów jednocześnie łomotało w blachę.

– Mam nadzieję, że nie wejdą – odezwała się Suzy. – Zgubiłam szablę, wpadła mi do morza.

– Ja też – odetchnął głęboko Arthur i dotknął dłonią boku. Nie miał pojęcia, kiedy mógł stracić broń. – Musimy wziąć nowe szable. Ani myślę znowu korzystać z harpuna.

– Wszyscy na mostek! – zawołał Tom.

Arthur i Suzy pognali przez korytarz i wdrapali się na mostek. Tom jedną ręką kręcił kołem steru, a drugą przesuwiał dźwignie. W niebieskim iluminatorze dzieci ujrzały wyspę, tym razem zamgloną od pary i dymu. W drugim iluminatorze widać było tylko jaskrawe światło oraz niewyraźne postaci, z pewnością Widm Słońca. Na mostku donośny łomot młotów skutecznie zagłuszał wszystkie inne dźwięki i praktycznie uniemożliwiał myślenie.

– Usiłują nas gdzieś przeholować – wyjaśnił Tom. – Ale sprzyja nam wiatr słoneczny. Chwyćcie te dwie dźwignie i z całej siły pociągnijcie je do siebie.

Arthur i Suzy rzucili się ku dźwigniom, przeskakując nad uśpioną Wolą. Niedźwiedzica nadal leżała na podłodze za Tomem, pogrążona we śnie lub nieprzytomna.

Dźwignie było przesunąć znacznie trudniej, niż Arthur się spodziewał. Stało na tym, że razem z Suzy musiał się uwiesić na każdej z nich, aby je opuścić do odpowiedniej pozycji.

– Widma Słońca usiłują zerwać nasz takielunek, ale „Helios” to solidny statek! – krzyknął Tom. – Wtorek, skąpy poganiacz niewolników, potrafi jednak zbudować zacną jednostkę.

– Ponury Wtorek zbudował „Heliosa”? – odkrzyknął Arthur ze zdziwieniem.

– A jakże, i owszem! – ryknął Tom. Nawet jego donośny głos niemal zanikł w bezustannym dzwonieniu

młotów. – Skopiował go, rzecz oczywista, od jakiegoś wynalazcy z Poślednich Królestw. Tym razem nie z Ziemi. Zapewne z @@@@ @@@@ albo $\text{Æ}\Omega\delta f+$.

– Skąd? – spytał Arthur. – Z czego?

Nie potrafił nawet w przybliżeniu zrozumieć dźwięków wydawanych przez Toma. Jak sądził, były to nazwy innych światów. A może tylko krajów. Lub nazwiska wynalazców.

Tom nie odpowiedział. Całą uwagę skupił na wskaźniku, który powoli wypełniał się czerwonym barwnikiem. Gdy płyn dotarł do dwóch trzecich wysokości, kapitan zakręcił kołem i mocno je przytrzymał, przeciwstawiając się niewidzialnemu naciskowi. Wskaźnik niemal natychmiast wypełnił się całkowicie.

– Pomyślny wiatr i oba żagle wypełnione! – krzyknął Tom. – Usiłują nas powstrzymać, ale odpadną. Tak jest, właśnie je gubimy!

Arthur prawie nic nie dostrzegał w iluminatorach, a przynajmniej nie był pewien, co widzi. Dudnienie jednak ustawało, niewyraźne kształty w jasności nie były już rozsiane wszędzie dookoła, tylko skupiły się w dolnych skrajach iluminatorów i powoli znikwały.

Po pięciu minutach łomotanie zupełnie ucichło. Tom nieco się odprężył za sterem, choć nie przywiązał go ani nie puścił.

– Przy takim wietrze już wkrótce powrócimy do naszego kotwicowiska – oznajmił pogodnie. – Potem w

try miga do Domu.

– I będziemy z powrotem zaledwie minutę po wypłynięciu? – zapytał Arthur. Rozmyślał o telegramie w kieszeni i o tym, co mógłby zrobić Ponury Wtorek. Nękało go jeszcze poważniejsze pytanie: co miał począć ze śpiącą Wola?

– Zajmie nam to tyle czasu, ile potrzeba, by wypowiedzieć oba zaklęcia: zaokrętowania i zejścia z pokładu – wyjaśnił Tom. – Moglibyście coś zrobić z tą Wola – dodał ze zmarszczonymi brwiami. – Nigdy nie miałem zamiaru służyć Ponuremu Wtorkowi i nic się pod tym względem nie zmieniło, ale jeśli użyje mocy Drugiego Klucza i osobiście wyda mi rozkaz, wykonam go bez zastrzeżeń i niezwłocznie. Nie chcę, aby moja przyjaciółka skróciła waszą przyszłość.

Arthur i Suzy jednocześnie i zgodnie pokręcili głowami.

– Dlaczego wszystko jest takie skomplikowane? – westchnął Arthur. – Chcę tylko, żeby Wola się obudziła i nakazała Wtorkowi przekazać mi Klucz. Mógłbym wówczas rozwiązać wszystkie problemy, wrócić do siebie i zapomnieć o tym nieszczęsnym Domu oraz o wszystkim, co z nim związane!

– Mogło być gorzej – zapewniła go Suzy spokojnie. – Moglibyśmy przemoknąć do suchej nitki.

Arthur cicho zachichotał i obszedł niedźwiedzicę.

– No i mógłbym dostać ataku duszności – zauważył.
– I mogłyby nam wypaść zęby z powodu...

Zerknął na Toma i postanowił nie wspominać o harpunie. Może broń miała uczucia i poczułaby się urażona. Może Tom by się obraził.

Arthur przestał chodzić wokół niedźwiedzicy i kilka razy odetchnął. Przy każdym oddechu nabierał więcej powietrza. Znajdował się teraz poza obszarem Domu i jego płuca nie mogły wypełnić się całkowicie. Znajoma zadyszka czaiła się w jego piersi, lecz nie dałoby się jej nazwać astmą. Była to zaledwie drobna niedogodność. Drobiazg w porównaniu z jego krótką, wykręconą nogą.

Mniejsza z nogą, powiedział sobie. Zajmij się tym, co istotne.

– Dobrze, muszę obudzić Wolę. Jak się budzi śpiącą niedźwiedzicę? Albo zahibernowaną? Ktoś może mi służyć radą?

Suzy przecząco pokręciła głową. Tom poruszył kołem.

– Wiem, że małe niedźwiedzie nie zapadają w sen zimowy – oświadczył. Sprawiał wrażenie roztargnionego.

– Naprawdę?

Tom pokiwał głową. Nagle Arthur dostrzegł kątem oka, że Woli drgnęła powieka. Było to jedno błyskawiczne mrugnięcie, aby z grubsza ocenić sytuację panującą w pokoju.

– Nawet nie śpi! – zawołał Arthur, kucnął obok zwierzęcia i postukał je w pysk. – Drugi Fragment Woli? Pora wstawać.

Nic się nie zmieniło.

– Powiedz jej, kim jesteś – podsunęła Suzy. – Powiedz, że jesteś Mistrzem i tak dalej.

– Nazywam się Arthur Penhaligon. Mistrz Niższego Domu. Prawowity Dziedzic... hm... Kluczy do Królestwa, Niższego Domu, Środkowego Domu i Wyższego Domu... hm... Odległych Rubieży...

– Wielkiego Labiryntu, Niebывałych Schodów i Morza Granicznego – dokończyła Suzy, wyciągając przyjaciela z opresji.

– Według kogo?

Przez sekundę Arthur nie wiedział, kto mówi, lecz zorientował się, że niedźwiedzica uniosła kącik warg. Stworzenie przeciągało samogłoski wysokim, piskliwym głosem i ledwie poruszało pyskiem czy też wargami.

– Według Akapitów od Trzeciego do Siódmego Testamentu, które mnie wybrały – wyjaśnił Arthur ze złością. – Nie chciałem brać na siebie tego obowiązku, ale zostałem wyznaczony do jego pełnienia, więc możesz wstać i mi pomóc.

Wola całkowicie otworzyła oko i obejrzała Arthura od stóp do głów.

– Skąd mam wiedzieć, czy mówisz prawdę? Możesz być kimkolwiek. Skoro jesteś Mistrzem Niższego Domu, to gdzie Pierwszy Klucz?

– Uczyniłem Pierwszą Dame, to jest Pierwszy Fragment Woli, moją Plenipotentką – odparł Arthur, usiłując nadać głosowi władczy ton. – Ona dysponuje Kluczem. Potrzebuję cię do tego, byś zmusiła Ponurego

Wtorka do przekazania mi Drugiego Klucza, więc lepiej nie zasypiaj i zacznij myśleć o tym, jak się do tego zabrać.

– To nie takie proste – mruknęła Wola. Jej wysoki głos był trudny do zniesienia. – Muszę ujrzeć pisemne potwierdzenie, że jesteś Prawowitym Dziedzicem. Potrzebuję odpowiedniego, oficjalnego zaświadczenia od Pierwszej Damy. Część Pierwsza wybiera dziedzica, to prawda, lecz mogłaby przynajmniej wystosować należyte zawiadomienie. Bez tego nic nie zrobię. To nie byłoby rozropne. Nie nagabuj mnie więcej do czasu uzyskania dokumentu.

Niedźwiedzica zamknęła oczy. Arthur wyciągnął rękę, energicznie postukał ją w nos i jeszcze energiczniej się cofnął, kiedy zwierzę przeszyło powietrze pazurem w miejscu, gdzie ułamek sekundy wcześniej znajdowała się dłoń chłopca.

– Powiedziałam, żeby mnie nie nagabywać – pisnęła Wola. – Medytuję.

– Jest jeszcze bardziej denerwująca niż Pierwszy Fragment – zauważyła Suzy. – Chyba jednak dobrze nie mieć jej w gardle.

– Będziemy musieli wynieść się stąd razem z nią, jak najdalej od Ponurego Wtorka, od piramidy. Trzeba dotrzeć do Niższego Domu – oświadczył Arthur. – W taki czy inny sposób. Czy Pierwsza Dama mówiła ci, co robić, kiedy znajdziemy Wolę?

– Nie – zaprzeczyła Suzy. – Może trzeba było spytać.

Człowiek powinien się uczyć na błędach. W sumie przecież jej poprzedni plan był do kitu.

– Ten też okazał się do kitu. – Arthur podrapał się po głowie. – Będziemy żeglowali z powrotem przez jakąś godzinę, prawda, panie kapitanie?

– Połowę tego albo i trzecią część – oświadczył Tom.
– Tym razem wiatr słoneczny nam sprzyja.

– A więc powrócimy w kilka minut po wypłynięciu – myślał Arthur na głos i ze zmarszczonym czołem przechadzał się po mostku. – Dotarcie do twojego pokoju zajmie Ponuremu Wtorkowi co najmniej dziesięć minut, prawda, panie kapitanie?

– Zależy. Wieżę Skarbca przecinają dziwodrogi. Jeżeli Ponury będzie wchodził po schodach w normalnym dla siebie tempie, wówczas droga zajmie mu dziesięć minut albo dłużej.

– Dziwodrogi? W więzieniu... Chciałem powiedzieć, w Wieży? Gdzie?

– Och, wymknęło mi się – oświadczył Tom z błyskiem w oku. – Otrzymałem wyraźny rozkaz, aby nie mówić nikomu o dziwodrogach. Nie mogę też nikomu powiedzieć, gdzie są, chociaż zapewne mógłbym skinać głową albo mrugnąć oczyma, gdyby ktoś spytał mnie, gdzie ich nie ma, albo zadawał inne podchwytliwe pytania.

– Ponury Wtorek nie pokierowałby dziwodrogi bezpośrednio do komnaty z butelkami – powiedział Arthur powoli, nie spuszczając wzroku z twarzy Toma. –

Mógł jednak doprowadzić jedną z nich do któregoś z sąsiednich pomieszczeń... choćby do celi obok...

Tom nieznacznie mrugnął oczyma.

– Nawet gdyby ktoś pokierował dziwodrogę do celi obok, z pewnością jakoś by ją zamaskował – ciągnął Arthur. – Na przykład schowałby ją za czymś na ścianie.

Albo za ukrytą klapą w podłodze. Albo w suficie. Albo nadałby jej kształt czegoś innego...

Przy ostatnim zdaniu Tom powoli skinął głową.

– Suzy, jak zamaskowałabyś wejście na dziwodrogę? – spytał Arthur. – jak się je zwykle ukrywa?

– To może być wszystko – prychnęła Suzy i popatrzyła na Toma. – Często chodzi o kubek wody. Albo imbryk. Albo świecę. Czasem książkę. Obraz. Hak w ścianie. Pamiętam takiego jednego staruszka, który ukrył wejście do dziwdrogi za monetą umocowaną w podłodze. I jeszcze kwiaty. Poluzowana cegła. Lustra to częsta sprawa. Sedes, ale to ohydztwo i nie wypada. Komoda, czy też szuflada. Może być pudło. Szafy. Papierośnica. Fortepian albo klawesynik. Zegary...

Urwała. Tom mrugnął oczyma przy słowie „zegary”.

– Zatem zegar w jednej z sąsiednich cel jest wejściem na dziwodrogę. Ciekawe, dokąd ona prowadzi? Pewnie kończy się wewnątrz piramidy, bo przecież Ponury Wtorek ma obsesję na punkcie trzymania ludzi z dala od niej.

– Ciekawe, czy zostawił otwarte drzwi? – spytała głośno Suzy.

– Powiedziałeś, że uniósł zachodnią stronę piramidy, aby wejść do środka – Arthur zwrócił się do Toma. – Czy o tym możesz mówić?

– Cała zachodnia ściana piramidy wisi na zawiasach, niczym drzwi – wyjaśnił Tom. – To nie tajemnica, nikt nie jest na tyle silny, aby ją unieść. I ja sam nie potrafiłbym otworzyć tych drzwi. Nie w pojedynkę.

– A cała moja moc znikła – zasugerował Arthur.

– Może ich nie domknął – podsunęła Suzy. – Bardzo się spieszył.

Arthur pokręcił głową.

– Zostawił otwarte drzwi do wszystkich swoich skarbów? – spytał bez przekonania. – Wątpię.

– Próbuję myśleć optymistycznie – mruknęła dziewczynka. – Ty też powinieneś spróbować. To nie boli. Przynajmniej mnie. Ale ciebie może od tego rozboleć brzuch.

Arthur puścił mimo uszu jej uwagę, pogrążony w rozmyślaniach o tym, co należy zrobić.

– Musimy skłonić Ponurego Wtorka, by otworzył dla nas piramidę – zdecydował. – Albo niech to zrobi Sadza. Od jedzenia skarbów Ponurego z pewnością stał się już większy i silniejszy...

– Ach, Nicoń... – przerwał mu Tom. – Obawiam się, że stwór ten nie będzie mógł ci służyć. Jestem pewien, że Ponury Wtorek skontaktuje się ze mną i nakaze mi niezwłocznie go zabić. Dziwię się, że nie przesłał stosownego telegramu. To jego ulubione medium

komunikacyjne, odpowiednie dla kogoś tak oszczędnego w słowach.

– Och, tak, racja – przyznał Arthur. Wsunął dłoń do kieszeni i dotknął telegramu. Miał nadzieję, że do tej pory pismo stało się rozmokłą, nieczytelną breją, lecz jasnopłaszcz uchronił je przed wilgocią albo idealnie wysuszył. – Oczywiście. Twój pościg za Sadzą i tak pewnie zajmie Ponurego Wtorka. Lepsze to niż nic...

Arthur zawiesił głos, jakby coś nagle przyszło mu do głowy.

– Telegramy – powiedział.

– Co? – spytała Suzy.

– Telegramy!

– Co z nimi?

Arthur chwycił Toma za rękaw.

– Możesz przyjmować telegramy w swoim pokoju. Czy to znaczy, że jesteś w stanie także je wysyłać? – spytał.

– A jakże, o ile mam monety na zapłatę. Ponury Wtorek niczego nie daje na kredyt.

– Czy teraz masz jakieś monety? – dopytywał się Arthur gorączkowo. – Chodzi o to, czy możesz mi kilka pożyczyć?

– Mam jedynie monety w uszach, na zapłatę dla Davy’ego Jonesa, [Morski diabeł porywający duszę żeglarzy.] jeśli się utopię – oznajmił Tom i odgarnął siwiejące włosy, aby zaprezentować dwie wielkie złote monety, które zwisały mu z uszu. – Wiem, przesąd, ale przywykłem... Tak czy

owak, gdy dobijemy do brzegu, mogę pożyczyć ci jedną z nich. Drugą muszę zachować, na wypadek niefortunnych okoliczności.

– Czy tyle wystarczy? – chciał wiedzieć chłopiec. Cały czas uważnie wpatrywał się w monetę. Wydawała się gruba i ciężka. Zwieńczona liśćmi laurowymi głowa, wybita na jednej jej stronie, wyglądała na zadowoloną i dumną z uwiecznienia na tak cennej monecie. – Na wysłanie telegramu i opłacenie odpowiedzi?

– A jakże, powinno. Do kogo zamierzasz przesłać wiadomość?

– Do Pierwszej Damy. Ona w odpowiedzi prześle mi telegram, w którym potwierdzi, że jestem dziedzicem. Pokażę pismo tej... niedźwiedzicy, która znajdzie sposób na rozprawienie się z Ponurym Wtorkiem. Wszystko będzie dobrze!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Telegram nie załatwia sprawy – oznajmiła niedźwiedzica, nie otwierając oczu. – Kiedy mówię „odpowiednie zaświadczenie”, to znaczy, że ma być odpowiednie.

Ostemplowane i zapieczętowane.

– Prawdziwy z ciebie upierdliwiec, co? – burknęła Suzy. Wola nie odpowiedziała.

– I tak wyślę telegram – orzekł stanowczo Arthur. Usiłował być przekonujący, ale jego błyskotliwy pomysł nie wydawał się już tak błyskotliwy. – Może Pierwsza Dama pomoże nam uciec z Wieży i z piramidy. Albo inną drogą prześle odpowiednie zaświadczenie. Albo wymyśli coś innego. Tymczasem chyba po prostu muszę spróbować nas stąd wydostać. Nie możemy dopuścić do tego, by Ponury Wtorek nas znalazł.

– Dobra myśl – przyznała Suzy. – Tyle że nie damy rady przenieść niedźwiedzicy. Bez pomocy kapitana to niemożliwe.

– Zdaje się, że to mnie brakowało optymizmu – przypomniał jej Arthur i trącił zad niedźwiedzicy czubkiem Niematerialnego Buta. – To zwierzę może chodzić. Co ty na to, Wolo? Jeśli się okaże, że jestem Prawowitym Dziedzicem, co wszyscy mi bezustannie powtarzają, wówczas powinnaś iść z nami.

– Nigdzie nie pójde bez należytej oceny sytuacji –

oświadczyła niedźwiedzica, nadal nie otwierając oczu. – Postąpiłabym nierozsądnie, gdybym się ruszyła, nie rozważywszy wszystkich możliwości, i gdybym nie okazała posłuszeństwa odpowiedniej władzy.

– Nie zostaniesz na pokładzie „Heliosa” – zapowiedział Tom. Odwrócił się od koła sterowego i pochylił się, aby spojrzeć na niedźwiedzicę. – Drugi Fragmencie Woli, czy wiesz, kim jestem?

– Nie – burknęła niedźwiedzica i jeszcze mocniej zacisnęła powieki. – I nie mam zamiaru grać w dwadzieścia pytań, by poznać twoją tożsamość.

Tom wyciągnął rękę. Powiało chłodem i w dłoni żeglarza pojawił się jego osobliwie ciemny i zarazem jaskrawy harpun. Kapitan opuścił broń, dotykając pokładu jej grotem, w odległości zaledwie kilku centymetrów od nosa niedźwiedziczki.

Arthur i Suzy wycofali się na schody prowadzące na niższy pokład i pokonali kilka stopni w dół, w pośpiechu niemal przewracając się na siebie.

Niedźwiedzica niechętnie otworzyła oko.

– Teraz mnie poznajesz? – warknął Tom.

Zwierzę otworzyło drugie oko, z wyraźnym wysiłkiem uniosło pysk i kilka razy powęszyło w powietrzu.

– Drugi syn Starucha – pisnęła.

– Adoptowany syn Architektki.

– Tak, oczywiście – potwierdziła niedźwiedzica. – To szczerą prawdą.

– I ja powiadam, że Arthur faktycznie jest Mistrzem Niższego Domu. Jako taki musiał zostać wybrany Prawowitym Dziedzicem.

Wola przewróciła oczyma i prychnęła z irytacją.

– Osoby poświadczające tożsamość są jak najbardziej wskazane, niemniej pozostaję przy swoim dotychczasowym stanowisku – oświadczyła. – Nie będę występowała w niczym imieniu do czasu uzyskania stosownego dokumentu od Pierwszej Damy.

Końcem harpuna Tom zarysował pokład blisko niedźwiedziego pyska. Rozległ się denerwujący, przenikliwy dźwięk, który wypełnił mostek i sprawił, że Arthur i Suzy zeszli jeszcze kilka stopni po schodkach.

Niedźwiedzica nie cofnęła się, a tylko odchyliła łeb.

– I nie dam się złamać groźbami! – dodała.

– To nie groźba, futrzany krętaczu! – ryknął Tom. – Jeśli jednak przynajmniej nie pójdziesz z Arthurem, wówczas sprawdzę, czy prezent od Mamy potrafi wyłuskać kilka jej słów z twoich bebeczków.

Niedźwiedzica z niesmakiem spojrzała na Arthura i zmarszczyła nos.

– Mniemam, że muszę się dokądś udać, jako że mój przytulny azyl przestał istnieć. Może *ipsofacto*, zważywszy na okoliczności, zdecyduję się towarzyszyć tej potencjalnie desygnowanej na spadkobiercę osobie do czasu nadesłania dodatkowych informacji w takiej czy innej formie.

– Przytulny azyl! – oburzył się Arthur. – To było

więzienie, a ty... ty miałaś z niego uciec, aby spełnić swój obowiązek. Niech się wypełni Wola, też coś!

– Ufałam, że zostanę uwolniona we właściwym momencie, abym mogła wypełnić ciężące na mnie obowiązki – oświadczyła Wola wyniośle. – Z całą pewnością nie podejrzewałam, że będę niepokojona przez taką... nietypową, hm, gromadę, z tak osobliwym...

– Dość! – rozkazał Tom. Jego harpun znikł. Żeglarz obrócił kołem sterowym i pchnął kilka dźwigni na pierwotne pozycje. Czerwony barwnik w środkowym wskaźniku opadł. – Docieramy do kotwicowiska. Musicie się zebrać wokół mnie w celu dokonania transferu do Domu.

Wola zmarszczyła brwi, ale wstała z widocznym wysiłkiem i chwiejnie pokonała kilka kroków, dzielących ją od stóp Toma.

– Spasiona szczurzyca – wyszeptała Suzy. – Ani trochę nie przypomina Pierwszego Fragmentu.

– Podejrzewam, że każdy z nich jest inny – odszepnął Arthur. – Co nie znaczy, że chcę to sprawdzić.

– Stójcie blisko – polecił Tom. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej długi srebrny widelec. Zmarszczył brwi, schował go z powrotem i wydobył ogromną srebrną łyżkę, którą pieczołowicie potarł o rękaw. Następnie podniósł ją wysoko, aby odbijało się w niej niebieskie światło z iluminatorów.

– Skupcie się na swoich odbiciach w łyżce – powiedział. – Nie patrzcie na nic innego. Nie

rozpraszać się. Nie odwracajcie wzroku. Wszyscy patrzą?

Arthur i Suzy skinęli głowami.

Wola westchnęła i stanęła na tylnych łapach, podpierając się krótkim, sztywnym ogonem.

– Czy mogę prosić o nieznaczne opuszczenie łyżki? – mruknęła. – Tak, teraz patrzę.

Arthur uważnie obserwował zakrzywiony grzbiet łyżki. Odbicie chłopaka było wygięte i niewyraźne, nakładało się na odbicie Suzy oraz niedźwiedzicy. Próbował się skupić i wbić wzrok w jeden punkt, ale jego umysł swobodnie wędrował, wybiegał w przyszłość i rozważał inne rozwiązania. Arthurowi nie przychodziło jednak do głowy nic lepszego niż przesłanie telegramu do Pierwszej Damy. Chłopak uznał, że powinien próbować utrzymywać przewagę jednego kroku – albo jeszcze lepiej: wielu kroków – nad Ponurym Wtorkiem.

Tom przystąpił do wypowiedziania zaklęcia (w postaci wiersza, skandowanych haseł lub jakiegokolwiek innej). Bezustanne ogłuszające okrzyki nad głową ogromnie Arthura rozpraszały, lecz zmusił się do wytrwałego wpatrywania się w lśniąca łyżkę i własną wykrzywioną twarz.

Po pierwszej minucie było mu łatwiej. Inne odbicia się rozmyły, Arthur pozbył się wrażenia, że ktoś lub coś jest tuż przy nim. Istniało wyłącznie jego połyskujące odbicie w łyżce. Był sam we wszechświecie, wpatrzony w siebie...

Tom dokończył zakłęcie i otoczył łyżkę zniszczoną dłonią.

Arthur zamrugał oczyma.

Ponownie znaleźli się w pokoju Toma w Wieży Skarbca. Chłopiec usłyszał odległe wrzaski i okrzyki. Nie potrafił zrozumieć słów, zlewających się we wściekły ryk. Dopiero po chwili rozpoznał kilka pojedynczych wyrazów i rozróżnił dwa głosy. Pojął, że cichszy należy do Sadzy.

Donośniejszy głos nawoływał: „Kapitanie! Do mnie!”.

Tom zaklął.

– Muszę być posłuszny! – wyjaśnił. – Powodzenia, Arthurze. Weź!

Wydarł złotą monetę z prawego ucha i rzucił ją chłopcu. Jednocześnie ruszył do drzwi; przy drugim kroku w jego dłoni zmaterializowała się przyjaciółka.

Arthur chwycił pieniądz, lepki od krwi Toma, i zerknął na stół.

– Dzięki! – zawołał. – Ale jak mam wysłać...

Było jednak za późno. Tom odszedł, pozostawiając po sobie rozkołysane drzwi.

Suzy podbiegła do biurka, Wola zaś niezgrabnie wdrapała się na fotel Toma i ponownie sprawiała wrażenie wyniosłej i niezadowolonej.

– Gdzieś tutaj jest blankiet telegramu – wyjaśniła Suzy, pospiesznie przerzucając papiery. – Pisz w okienkach! Trzymaj!

Spod koszuli wyciągnęła pióro i kałamarz, odkręciła buteleczkę, polizała końcówkę pióra i wręczyła je Arthurowi.

– Sama pisz – zaproponował, oddając pióro dziewczynce. Dotąd korzystał wyłącznie z długopisów i flamastrów.

Suzy pokręciła przecząco głową.

– Jeszcze się uczę kaligrafii – wyjaśniła. – Pierwsza Dama powtarza, że moje litery to zgroza. Zwłaszcza esy. I floresy.

Arthur spojrział na blankiet. Był to prosty formularz, zatytułowany „Wysoki i czcigodny telegraficzny, telefoniczny i informacyjny serwis Domu”. Pod spodem znajdowała się rubryczka: „Do” oraz siedem okienek ułożonych w jednej linii, dalej: „Wiadomość” i pięć linijek po siedem okienek wolnego miejsca oraz „Od” z rzędem siedmiu okienek. Do tego w rogu dochodziło czerwone kółko, w przybliżeniu wielkości wybrudzonej krwią, złotej monety, którą Arthur dostał od Toma. Pod kółkiem znajdowała się bardzo mała rubryczka ze słowami: „Odpowiedź opłacona”.

Arthur zanurzył pióro w atramencie o barwie turkusowego błękitu i nieco koślawo nabazgrał: „Pierwsza Dama”. Aby dopisać „– ama”, musiał zanurzyć pióro w kałamarzu, ignorując nie wypowiedziane, lecz wyczuwalne słowa pogardy Suzy.

Myślał przez kilka sekund, a następnie napisał, wielokrotnie nabierając atrament i pozostawiając liczne

kleksy oraz pojedyncze rozmazania:

W Wieży Skarbca mam Wolę nie rozpoznaje mnie twierdzi że potrzebuje oficjalnego potwierdzenia przyślij dokument albo pomóż!

Zawahał się nad rubryczką „Od”, a potem szybko wpisał „Arthur” i zaznaczył ptaszkiem rubryczkę z napisem: „Odpowiedź opłacona”.

Gdy tylko uporał się z wypełnianiem formularza, otoczone czerwoną kreską kółko zaczęło jaśnieć srebrną barwą i pojawił się ręcznie sporządzony napis: 12r.

– Połóż monetę – poleciła Suzy.

Arthur posłusznie umieścił złotą monetę na kółku. Cały formularz natychmiast znikł. W jego miejscu pojawiły się cztery srebrne monety różnej wielkości i o różnym wyglądzie.

– Masz szczęście, wydali ci resztę – zauważyła Suzy, zgarnęła monety ze stołu i przesypała je do kieszeni. – W połowie wypadków ją kradną.

– Lepiej poszukajmy tej dziwdrogi w sąsiednim pomieszczeniu – zaproponował Arthur, uświadomiwszy sobie nagle, że wrzaski na zewnątrz budowli ucichły.

– Z której strony? – spytała Suzy.

– Zapomniałem spytać – krzyknął Arthur, idąc do drzwi. – Chodźcie! Ty też, Wolo.

– Jeśli w ogóle musisz się do mnie odzywać, zwracaj się do mnie Wasza Ekscelencjo Ustępie Testamentu.

– Ustęp? – powtórzyła Suzy i przechyliła krzesło, aby pospieszyć niedźwiedzicę. – Niech ci będzie, Ustęp, ruszaj się.

– Nie, nie, nie – zaprotestowała niedźwiedzica. – Wasza Ekscelencjo...

– Ustęp i tyle – przerwała Suzy. – Ty pierwsza, Ustęp.

– Powiedziałam... och, najlepiej w ogóle nic do mnie nie mów – fuknęła Wola i kołyszając się, podreptała za Arthurem.

Arthur stał już na korytarzu i próbował otworzyć drzwi z lewej strony. Bez trudu je uchylił, ale cela za nimi była zupełnie pusta i ciemna. Docierało do niej jedynie światło z latarni na korytarzu. Arthur wpadł do środka, błyskawicznie się rozejrzał i wypadł z powrotem.

– To nie tu! – stwierdził. Usiłował mówić cicho, ale jego głos i tak odbił się echem od ścian.

W odpowiedzi usłyszeli głos z dołu, chrapliwy i donośny, z pewnością nie należący do Toma. Okrzyk zabrzmiał całkiem blisko; jak na gust Arthura, stanowczo zbyt blisko. Ktoś obcy znajdował się zaledwie trzy lub cztery poziomy niżej.

– Kapitanie! Słyszałeś to?

– Co? – dał się słyszeć w odpowiedzi głos Toma. Arthur i Suzy podkradli się do następnego pomieszczenia, ostrożnie odsunęli zasuwę i otworzyli drzwi. Wewnątrz tej celi paliło się światło i Arthur natychmiast poczuł przyływ nadziei. Wiedział, że ma szansę szybko znaleźć

dziwodrogę i uciec, przynajmniej na pewien czas.

– To nie był Nicoń – ciągnął nieznajomy głos. – Z pewnością nie zjadł pozostałych intruzów!

– Zajmijmy się tym Niconiem, lordzie Wtorku – zaproponował Tom. – Jest silny i przybywa mu mocy. Musimy go znaleźć w pierwszej kolejności.

– Chodź tu, Niconiu! – ryknął głos, który najwyraźniej należał do Ponurego Wtorka. – Nie mam czasu, szukam łotrów!

Wycharczał jeszcze coś, a potem zawołał wyraźniej:

– Na potęgę Drugiego Klucza, wszyscy intruzi, stańcie przede mną!

Arthur poczuł, jak szarpia go niewidzialne ręce i ciągną do tyłu, ku najbliższym schodom na dół. Wyraźnie zdumiona Suzy również cofnęła się o kilka kroków. Tylko Wola wydawała się niewzruszona. Stała po lewej stronie Arthura i obserwowała jego zmagania, kiedy Niematerialne Buty sunęły tyłem po żeliwnej podłodze.

Arthur skrzywił się z wysiłku i rzucił naprzód, jednak tylko upadł twarzą na zimny metal, dalej sunąc ku schodom, jakby niewidzialni łowcy pochwycili go i ciągnęli za sobą. Chłopiec usiłował zahaczać palcami o otwory w podłodze, lecz musiał puszczać, aby uniknąć ich połamania lub wyrwania.

Chaotycznie machając rękoma w poszukiwaniu innego punktu zaczepienia, Arthur przypadkowo dotknął ogona Woli. Gdy tylko to się stało, tajemnicza siła znikła. Chłopiec się zatrzymał. Natychmiast mocno chwycił ogon

niedźwiedzicy.

– Jak śmiesz! – pisnęła Wola, a jej wysoki głos rozszedł się echem po pustej przestrzeni Wieży.

Arthur nie odpowiedział. Wyciągnął rękę i złapał dłoń Suzy, kiedy dziewczyna przesuwała się obok niego. Ona również zatrzymała się i od razu zaczęła się czołgać z powrotem.

– Uwolnij mój ogon! – piszczała Wola. Odwróciła się ku Arthurowi i usiłowała go podrapać, ale chłopiec odskoczył, nie puszczając ogona.

– Puszczę cię dopiero wtedy, gdy pokonamy dziwodrogę w tej celi – sapnął i znowu odskoczył. Suzy skoczyła razem z nim. Jej również udało się mocno chwycić Wolę za ogon.

– Oburzające zachowanie! Protestuję!

– Kto to taki? – wrzasnął Ponury Wtorek. Natychmiast po jego okrzyku dało się słyszeć dudnienie ciężkich kroków na żeliwnych schodach.

– Szybciej! – warknął Arthur, zwracając się do Woli.
– Chyba nie masz ochoty na spotkanie z Ponurym Wtorkiem, co?

Niedźwiedzica odwróciła się i pognąła do celi. Arthur jeszcze nigdy nie widział, by tak pędziła. Dzieciom ledwie udało się za nią nadażyć; przygarbione dopadły do drzwi i chwyciły się framugi.

Arthur kopniakiem zamknął drzwi i przy tym nadwreżył sobie chorą nogę. Nie zwracając uwagi na krzyki Ponurego Wtorka, rozejrzał się po pomieszczeniu.

Było prawie puste, lecz naprzeciwko fotela wisiały na ścianie dwa wytworne zegary. Ozdobny zegar z kukułką był wykonany z misternie rzeźbionego złota; drugi wyglądał bardzo niepozornie, był mały, wykonany z kości słoniowej i osadzony w orzechowej oprawie.

– Puść, puść, puść! – zawodziła Wola. – Nalegam, byście mnie puścili!

Arthur popatrzył na Suzy i ostrożnie rozluźnił uścisk. Gdy się przekonali, że nie działa już na nich niewidzialna moc, oboje puścili niedźwiedzicę i cofnęli się poza zasięg jej pazurów. Następnie odwrócili się ku zegarom i popatrzyli na nie z uwagą.

– Jeśli pognietliście mi futro, prześlę wam rachunek z pralni – warknęła Wola i zwinęła się w kłębek, aby obejrzeć ogon.

Arthur puścił ostrzeżenie mimo uszu. Wyprostował się i dotknął drzwiczek do domku kukułki. Były wykonane ze szczerzego złota, miały wysadzaną szmaragdami klamkę. Arthur uchylił je i bez większego zdziwienia zauważył, że im szerzej je otwiera, tym wyraźniej się powiększają wzdłuż i wszerz. W końcu nie było już ani śladu po zegarze, za to w ścianie pojawiły się drzwi normalnego rozmiaru, prowadzące do ciemnego korytarza, którego podłoga i sufit falowały, jakby wykonano je z rozciągliwej tkaniny, a nie z litego kamienia.

– Idziemy! – zakomenderował Arthur i przytrzymał drzwi przed Suzy. Miał przy tym dziwne wrażenie, że

przez cały czas sięga do maleńkich drzwiczek w zegarze.

– Ustęp, pospiesz się!

– Ile razy trzeba wam powtórzyć, że macie się do mnie zwracać... – zaczęła mówić Wola, nie robiąc nawet pół kroku w kierunku dziwdrogi.

Zanim zdążyła dokończyć, Arthur nagle uderzył się dłonią w usta i jęknął, kiedy przeszył go znajomy ból. Tom użył harpuna. W tej samej chwili rozległ się skowyt zranionego Sadzy i niezrozumiały wrzask Ponurego Wtorka. Odgłosy najwyraźniej dobiegały z pobliza.

– Do środka! – wrzasnął Arthur, zdesperowany, kiedy Wola się odwróciła, by ponownie popatrzeć na ogon.

Wówczas znowu usłyszeli okrzyk Ponurego Wtorka, stojącego tuż za drzwiami pomieszczenia, które właśnie opuścili:

– Wykończ Niconia, kapitanie! Ja zrobię porządek z resztą złodziei!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Głos Ponurego Wtorka ostatecznie skłonił Wolę do działania. Niedźwiedzica wskoczyła na dziwodrogę, Arthur pognał za nią. Przez ułamek sekundy widział, jak otwierają się drzwi do celi i na fotel pada cień Ponurego Wtorka. Następnie zegar z kukułką powrócił do normalnych rozmiarów, zamykając dziwodrogę.

Arthura przeszył dreszcz. Nie miał ochoty na spotkanie z Ponurym Wtorkiem, bo nie mógł liczyć na pomoc Woli. Powinien najpierw nauczyć się zaklęć i formuł potrzebnych do odebrania Drugiego Klucza niewiernemu Wykonawcy.

Wola dołączyła już do Suzy. Arthur pobiegł za nimi, machając rękoma dla utrzymania równowagi, gdyż kołysał się z boku na bok. Dziwodroga teraz pokonywana zdawała się jeszcze bardziej płynna niż ta, którą wcześniej szedł w Niższym Domu, aby dotrzeć do Pana Poniedziałka.

Była też znacznie krótsza. Chłopiec dotarł do jej końca i wybiegł na zewnątrz, zanim uświadomił sobie, że mrok stanowił wyjście, a nie następny zakręt. Wpadł na Suzy i niedźwiedzicę, a następnie potknął się o młodą palmę.

– Wtorek jest w celi – wysapał, gdy wstawał, opierając się o palmę i strząsając z niej większość liści. Nadal widział wyjście dziwodrogi, osobliwy,

atramentowoczarny otwór pomiędzy dwiema palmami, wysokimi na cztery metry. – Jak się zamyka dziwodrogę?

– Krew powinna załatwić sprawę – powiedziała Suzy. Wyciągnęła nóż i zanim Arthur zdążył cokolwiek zrobić, nagle mocno chwyciła jego dłoń i wbiła mu czubek noża w kciuk. – Krew jednego z Dni. Twoja. Wybacz. Chlapij nią trochę.

Arthur skropił lekko ciemny otwór. Krew rozprysła się jak na szklanej tafli. Dziwodroga wydała z siebie pomruk, podobny do westchnienia. Arthur cofnął się, a wówczas otwór zniknął. Między pniami palm pozostała tylko pusta przestrzeń.

Chłopak rozejrzał się dookoła. Powietrze było czyste i przejrzyste, dookoła rosły palmy oraz pieczołowicie wypielegnowane krzewy z jasnoróżowymi kwiatami o trzech płatkach. Arthur przez chwilę sądził, że opuścili Odległe Rubieże, lecz zaraz potem dostrzegł ścianę Wieży Skarbca i migoczące szkło piramidy.

– Tak, tak – potwierdziła Suzy, dostrzegając spojrzenie przyjaciela. – Jesteśmy w ogrodzie przy Wieży. Nadal w piramidzie.

– Lepiej poszukajmy jakiejś kryjówki – zaproponował Arthur. – Co to?

Wskazał dłonią ścianę piramidy. Lśniące szkło utrudniało widzenie, lecz gdzieś w oddali Arthur dostrzegł wielkie jaskrawoczerwone płomienie, które musiały być wyjątkowo jasne, aby przebić się przez gęsty smog. Płomienie wybuchały blisko sklepienia Odległych

Rubieży, a następnie sfruwały na dół.

– Rakiety – wyjaśniła Suzy. – O, ta była niezła!

– Dlaczego... kto odpala rakiety? – zdziwił się Arthur. Przechylił głowę, nasłuchując stłumionych odgłosów z oddali. – Słyszę dzwonki. Elektryczne, takie jak dzwonki windy. Mnóstwo, wszystkie uruchomiono jednocześnie. Zupełnie takie jak w szkole, kiedy ogłoszono alarm przeciwpożarowy... – Popatrzył na Suzy. – Te rakiety sygnalizują zagrożenie. Dzwonki oznaczają zbliżające się niebezpieczeństwo.

– Ponury Wtorek ma problem – podsumowała Suzy i wzruszyła ramionami. Zaczęła się przedzierać przez gęste krzewy, aby sprawdzić, czy znajdzie wśród nich odpowiednie miejsce na kryjówkę.

– Z pewnością chodzi o Nicość – myślał głośno Arthur. – Wszyscy się jej boją.

– Nie boję się Nicości – oświadczyła Wola. – Ani niczego innego. Nic nie odciągnie mnie od mojej powinności.

– Dziwne, że się nie obawiasz. – Arthur miał już dość niektórych zachowań Woli. Była napuszczona i pewna siebie. – Pierwsza Dama bała się Nicości. Ja się boję Nicości, podobnie jak każdy, kto ma choć odrobinę zdrowego rozsądku. A jeśli Nicość zniszczy podstawy Domu i wszystkiego... całego wszechświata?

– Dzieło Architektki jest zbyt doskonałe, aby doszło do czegoś w tym rodzaju – oznajmiła Wola przemądrzale. – Ta kwestia nie powinna zaprzętać ci głowy.

– Byłaś odizolowana przez dziesięć tysięcy lat – zauważył Arthur ze złością. – Ponury Wtorek wykopał w fundamentach ogromną Studnię, tutaj, na Odległych Rubieżach, docierając wprost do Nicości. *Atlas* głosi, że to wielkie zagrożenie dla Domu. Idę o zakład, że on ma o tym większe pojęcie.

– *Atlas?* – spytała Wola i usiadła. Już nie wyglądała na tak pewną siebie i wyniosłą jak przed chwilą. – Masz *Kompletny Atlas Domu?*

– Tak, mam – potwierdził Arthur i machnął nim przed nosem Woli niczym policjant odznaką. Potem wsunął książkę z powrotem do kieszeni. – Czy tego chcę, czy nie chcę, jestem dziedzicem tego całego bałaganu!

– Och, być może byłam nieco zbyt rygorystyczna w stosowaniu zasad ustalonych przy okazji mojego stworzenia – przyznała niedźwiedzica i kilka razy cicho kaszlnęła. – Gdybym mogła zapoznać się bliżej...

– Arthur! Patrz na to!

Arthur przedarł się przez krzewy. Suzy stała na długiej kamiennej ławie i patrzyła ponad wymuskanym żywopłotem na wschodnią stronę szklanej piramidy.

– Zejdź! – zażądał Arthur nerwowo. – Zobaczy nas.

– Chodź tu i patrz! – zażądała Suzy.

Arthur rozejrzał się i wskoczył na ławę. Doświadczenie podpowiadało mu, że Suzy nie zejdzie, dopóki nie skłoni go, by rzucił okiem na to, co sama obserwowała.

– Coś mi się widzi, że Ponury Wtorek ma całą masę

nowych problemów – oznajmiła i pokazała palcem granicę pomiędzy czystym, poruszonym wiatrem powietrzem a sięgającą sklepienia ścianą smogu.

Arthur wbił wzrok w przestrzeń. Na skraju wirującej masy smogu dostrzegł wielki tłum. Setki, może tysiące Rezydentów maszerowało na północ, ku stacji i windom. Po drodze wymachiwali skórzanymi fartuchami, ciskali je w powietrze i deptali.

Blżej piramidy biegła bezładnie gromada kilkudziesięciu Nadzorców. Kilku kierowało się ku szklanej ścianie. Arthur widział, że coś krzyczą, zapewne do Ponurego Wtorka, prosząc o pomoc, lecz słychać było tylko dzwonki i niski, chrapliwy pomruk tłumu.

– Rejestr kontraktowych robotników – powiedział. – A jednak słońce go zniszczyło!

– No pewnie – potwierdziła Suzy, wzięła do ręki identyfikator kontraktowy i popatrzyła na niego uważnie. Wszystkie kolumny się wyzerowały. Dziewczyna ściągnęła tabliczkę z szyi, nadgryzła jej krawędź i podarła ją na drobne fragmenty.

– Mogę sporządzić nowy rejestr – usłyszeli za plecami surowy głos. – Pozostałe Dni sprzedadzą mi więcej robotników. To tylko przejściowe trudności.

Arthur gwałtownie się odwrócił. Chociaż stał na ławce, Ponury Wtorek i tak przewyższał go wzrostem. Mężczyzna o surowym, pozbawionym brwi obliczu miał umięśnione barki, a jego skórzana kamizela była rozdarta w okolicach serca i widać tam było charakterystyczne

ślady Nicości, która wypaliła odzież. Ponury nosił rękawice z elastycznego srebrzystego metalu, owinięte złotymi paskami.

– Ja... jestem Prawowitym Dziedzicem – oznajmił Arthur, chociaż nagle zaschło mu w ustach. – Mnie się należy Drugi Klucz oraz władza nad Odległymi Rubieżami.

Ponury Wtorek zmrużył oczy.

– Jesteś chłopcem Penhaligonem – wycedził.

– Tak. Nazywam się Arthur Penhaligon. Przekaż mi Drugi Klucz, a... a okażę litość.

– Nie uznaję twoich roszczeń – oświadczył Ponury Wtorek stanowczo. Następnie uniósł prawą dłoń i wykonał gest rąbania. Chociaż ani odrobinę się nie zbliżył, Arthur otrzymał solidny cios w klatkę piersiową. Siła uderzenia zwała go tyłem z ławki i posłała na trawę.

Chłopak padł na ziemię, ogłuszony. Z trudem łapał oddech.

Muszę wstać, powtarzał sobie. Muszę wstać i uciec. Muszę...

Zanim zdołał zebrać siły, stanął nad nim Ponury Wtorek. Tym razem uniósł lewą dłoń i zgiął palce jak szpony.

Arthur zasłonił oczy ręką i krzyknął.

Oby to się stało szybko. Oby rodzice sobie poradzili, zachowali dom i wszystko. Oby Michaeli dostała się na uniwersytet. Oby nie powróciła zaraza. Suzy powinna teraz uciec, może jej się uda. Jeśli Nicość eksploduje, i

tak wszyscy zginą. Wola powinna uczynić to, co do niej należy. Robiłem, co mogłem. Próbowałem postępować właściwie, ale niekiedy zło zwycięża bez względu na to, jakie decyzje się podejmie...

– Zanim wyłuskam ci serce i oprawię je w złoto, by powiększyć moje... uszczknięte zasoby skarbów, chcę, byś przekazał mi *Atlas* – oświadczył Ponury Wtorek. – Wyciągnij go z kieszeni i oddaj mi.

Arthur poruszył dłonią i otworzył oczy. Jego umysł ponownie pracował na najwyższych obrotach, był bardziej skoncentrowany.

– Nie – sprzeciwił się.

Atlas musi przypominać Klucz, doszedł do wniosku. Ponury Wtorek nie może go zabrać nawet mojemu trupowi. Musiałbym przekazać książkę z własnej woli.

– Daj mi *Atlas* – zażądał Ponury Wtorek, nie zmieniając tonu. Być może wcale nie usłyszał Arthura. Zacisnął w powietrzu palce lewej dłoni. Arthur poczuł się tak, jakby tysiąc igieł wbiło się jednocześnie w jego serce.

– Nie, nie dam – odpowiedział stanowczo. – Wolo! – zawołał, choć łamał mu się głos. – Jako Powiernik *Atlasu* i Prawowity Dziedzic wzywam cię do zrobienia... zrobienia tego, co należy. Spełnij swoją powinność... – zakończył szeptem.

– Daj *Atlas*. – ryknął Ponury Wtorek. – Dlaczego bez przerwy coś mi krzyżuje plany?

– Bo jesteś śmierdzącym padalcem! – wyjaśniła mu Suzy. Dziewczynka wyskoczyła zza krzewów i

zamachnęła się kamieniem brukowym, celując w tył głowy Ponurego. Popełniła jednak błąd, odzywając się do niego. Wtorek obrócił się jak bąk, tak szybko, że jego ciało niemal rozplynęło się w powietrzu, i pięścią rozbił kamień na proch. Siła uderzenia wyrzuciła dziewczynkę w górę i uderzyła nią o palmę. Suzy trzasnęła w drzewo z taką mocą, że złamała jego pień i osunęła się wraz z nim na ziemię.

– Dawaj *Atlas*, Penhaligonie! Już!

– Nie – sprzeciwił się Arthur. – To ty mi daj Klucz – wyszeptał.

– Poznasz, czym jest ból – zagroził mu Ponury. – Niewyobrażalne cierpienie. Chyba że oddasz mi *Atlas*.

– Ehm!

Ponury Wtorek wydawał się zdumiony, że ktoś mu przerywa. Rozejrzał się, lecz nikogo nie zobaczył. Dopiero przy drugim „ehm!” dostrzegł Wolę u swych stóp. Zmrużył oczy i zacisnął pięści.

– Co to ma być? – wrzasnął wściekle Ponury. – Ty tutaj? Wkrótce się tym zajmę.

– Wątpię – odparła Wola. Arthur po raz pierwszy z przyjemnością wsłuchał się w jej naburmuszony, pewny siebie głos. – Raz mnie przechytryłeś, ale to się nie powtórzy. Na wszelki wypadek przeprowadziłam pobór sił wsparcia.

Gałęzie krzewów rozchyliły się i wyłonił się zza nich Tom. W dłoni ścisnął harpun. Przelotnie ukłonił się Ponuremu Wtorkowi i wyciągnął rękę do Arthura, aby

pomóc mu wstać.

– Jesteś ze mną związany, kapitanie – przypomniał Ponury Wtorek i podniósł obie dłonie. – Mocą Drugiego Klucza...

– Niniejszym oficjalnie kwestionuję ten fakt – ogłosiła Wola. – Anuluję twój status Wykonawcy do czasu gruntownego zbadania sprawy.

Ponury Wtorek potrząsnął głową.

– Nie możesz – zaprotestował. – Nie pozwolę na to! Nie dopuszczę do tego, by ktoś odbierał moją własność. To, co jest moje, na wieki moim pozostanie!

– Twoja usmarowana sadzą stara brew dowiodła, że to bzdura, kiedy zjadła ci masę towaru – zauważyła Suzy i zbliżyła się chwiejnym krokiem. Leciała jej krew z nosa, ale poza tym dziewczyna wyglądała na całą i zdrową. Ponury Wtorek ruszył ku niej i uniósł rękę, ale zawahał się, gdy Tom nieznacznie poruszył harpunem.

– Twoje życzenia są nieistotne, lordzie Wtorku – oznajmiła uroczyście Wola. – Przemówiłam. Nie jestem gotowa, by wypowiedzieć się w sprawie Prawowitego Dziedzica, niemniej jasne jest, że nie możesz dłużej dzierżyć władzy związanej z Drugim Kluczem.

– Musisz na to pozwolić – odparł Ponury Wtorek z lodowatą satysfakcją i wskazał na rakiety wybuchające w rejonach pogrążonych w smogu. – To sygnały alarmowe z głębi mojej Studni. Dzwonki potwierdzają powagę sytuacji, podobnie jak wrzaski moich byłych robotników. Nicość wypływa. Tylko ja mogę zatamować wyciek, ale

by to uczynić, potrzebuję mocy Klucza. Wiem jednak, jak ograniczać straty. Wszyscy możecie opuścić moje terytorium. Nie będę was zatrzymywał.

– Erupcja Nicości nie należy do moich zmartwień – ciągnęła Wola. – Rozpatrzę kwestię Prawowitego Dziedzica, a gdy przebadam wszystkie stosowne dokumenty i wysłucham istotnych świadków, sprawą Nicości zajmie się ten, komu zostanie przyznany Drugi Klucz, bez względu na to, czy powróci on do ciebie, czy nie. Nie wolno nam działać pochopnie. Rozwaga to cnota, jak zawsze powtarzam.

To przemówienie nie spotkało się z należytych przyjęciem, gdyż wszyscy obserwowali rakiety alarmowe oraz grudy Nicości, które już zaczynały spadać na piramidę, pomimo oczyszczających wiatrów.

– Nie ma czasu na dochodzenie – zaprotestował Tom. – Ogłoś Arthura dziedzicem. Musi iść na dół i powstrzymać Nicość. Dni Ponurego Wtorka są policzone.

Niedźwiedzica westchnęła. Najwyraźniej nosiła się z zamiarem wygłoszenia następnej mowy, kiedy szczególnie pokaźna gruda pofrunęła na szkło, na wysokości około stu metrów. Nicość osunęła się po boku konstrukcji i dołączyła do kilku innych grud, które wiły się i zlepiały tak długo, aż powstał Nicoń. Był to szczególnie duży okaz, z czymś w rodzaju ludzkiej głowy oraz tułowia z resztą ciała przypominającą wielkiego świerszcza, pokrytą w całości sztywnymi, rudymi włosami, które wyglądały jak pręty. Istota potarła tylne

nogi, a następnie przystąpiła do wybijania dziur w szkłe – w tym celu tłukła ścianę kolcami na łokciach.

– Jeden tu, tysiąc w dole – zauważył Ponury Wtorek.
– I wszędzie surowa Nicość, zzerająca fundamenty Domu. Potwierdź moją moc, Wasza Ekscelencjo Testamencie, a ja zabezpieczę te fundamenty tak, jak to zawsze czyniłem.

– Podkopałeś podstawy Domu z chciwości, wykorzystując Rezydentów jak niewolników! – wykrzyknął rozzłoszczony Arthur. Odetchnął głęboko, najgłębiej jak potrafił, i popatrzył z góry na Wolę. – Nie chcę być dziedzicem – ciągnął. – Nie chcę Drugiego Klucza. Naprawdę nie mam ochoty wyruszać przeciwko Nicości. Muszę to jednak zrobić, bo w nieodpowiednim czasie znalazłem się w niewłaściwym miejscu. Kiedy Pierwsza Dama mnie wybrała, musiałem uczynić jedyną właściwą rzecz i teraz spoczywa na mnie obowiązek kontynuowania rozpoczętego dzieła. Nie chcesz potwierdzić, że jestem dziedzicem, ale moim zdaniem również powinnaś zrobić to, co słuszne, abym przynajmniej spróbował uporządkować sytuację.

– Nie chcę popełnić błędu – odparła Wola cicho. – Lepiej nie podejmować decyzji, niż popełnić błąd.

– Cały Dom legnie w gruzach, jeśli czegoś nie postanowisz! – nalegał Arthur. – Wszystko, co stworzyła Architektka, obróci się w Nicość. Musisz wybrać mnie... albo Ponurego Wtorka, tyle że on już się przeciwstawił Woli Architektki.

Nicoń przestał wybijać dziury i przystąpił do łomotania w ścianę piramidy. Szkło się nie rozprysło, lecz pojawiły się na nim pęknięcia.

Wola stanęła na tylnych łapach. Słoneczna plama na jej piersi zaczęła się rozjaśniać, a futro wypełniło się słowami. Wola wyraźnie rosła, słowa się rozprzestrzeniały, pokrywając powiększające się ciało. Istota zmieniała kształt, rosła, ale nadal pozostawała niedźwiedzicą.

– Będę silna – oświadczyła. Jasna plama na jej piersi poczerniała i znowu zmieniła się w zwykłe futro. Teraz Wola była majestatycznym grizzly o groźnym wyglądzie. – Będę broniła swej decyzji kłami i pazurami. Jestem Drugim Fragmentem Woli Architektki i powiadam, że Drugi Klucz musi być...

W tej samej chwili odpadł od ściany ogromny kawał szkła. Nicoń o wyglądzie zmutowanego owada runął w dół z piskliwym wrzaskiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Na ziemię posypały się wielkie tafle szkła, lśniącego w sztucznym świetle słonecznym, emitowanym z płyt zainstalowanych wysoko na sklepieniu. Nicoń spadał wśród okruchów, skrzecząc wniebogłosy, dziwacznie, po owadziemu.

Przez moment wszyscy stali nieruchomo i patrzyli w górę. Potem Arthur zanurkował pod jedną z kamiennych ław, Suzy również się pod nią ukryła, lecz z drugiej strony. Wola chwyciła palmę i wyrwała ją, aby przytrzymać ponad głową niczym parasol.

Ponury Wtorek pozostał na miejscu, uniósł dłonie i wrzasnął... lecz nic się nie zdarzyło. Ze zdumienia otworzył usta: zapomniał, że Wola pozbawiła go władzy nad Drugim Kluczem.

Tom uniósł harpun nad głowę i wykrzyknął słowo w dziwnym, chrapliwym języku, którego używał podczas czynienia magii. Arthur i Suzy zasłonili uszy dłońmi, lecz na nic się to zdało. Ból przeszył ich ciała, prz. niknął ich szczęki, a harpun zaśnił arktyczną poświatą. Opadające szkło zamigotało w świetle i nagle przeobraziło się w wielką falę lodowatej wody morskiej.

Fala runęła na Arthura i Suzy, porywając ich spod ławy. Oboje pokonali dystans około dziesięciu metrów i utkwili pod kępą drzew.

Ponury Wtorek i Tom wytrzymali napór wody i teraz

musieli stawić czoło Niconiowi, który skoczył na Wtorka i chwycił jego kamizelę kolczastymi, owadzimi odnóżami. Jednocześnie nadstawił łokcie, aby przebić nimi głowę ofiary.

Tom wznosił harpun, ale nie mógł nim miotać, gdyż przebiłby Ponurego Wtorka. Jego interwencja nie była jednak potrzebna. Nawet bez mocy Drugiego Klucza Ponury Wtorek był potężnym Rezydentem. Chwycił Niconia za ramiona i rozdarł stwora na dwie części. Towarzyszył temu dźwięk przypominający łamanie homara. Szczątki wrzucił do ozdobnego basenu, w którym bogata w Nicość krew potwora zabulgotała głośno.

Ponury Wtorek prychnął, pochylił się i wytarł rękawice o trawę. Arthur i Suzy wyprostowali się, a Wola cisnęła na ziemię drzewo-parasol.

– Jak mówiłam – zagrzmiała – Drugi Klucz przypadnie zwycięzcy specjalnego turnieju, przy czym uczestnikami zawodów będą Arthur Penhaligon oraz Ponury Wtorek.

– Co takiego? – wykrzyknął Arthur. Spojrzał w górę, na rój grud unoszących się nad piramidą oraz na odległą poświatę rakiet alarmowych, wystrzeliwanych ze Studni.
– Nie mamy czasu...

– Jestem przygotowany do każdej formy rywalizacji – zapewnił zebranych Ponury Wtorek i klasnął rękawicami. Uderzenie zabrzmiało tak, jakby ktoś miażdżył cymbały, I ani trochę nie podniosło Arthura na

duchu. – Co to ma być? Pojedynek na śmierć i życie?

– Ależ skąd – obruszyła się Wola. – Aby nawiązać do mocy Drugiego Klucza, przeprowadzimy turniej tworzenia. Ze względu na pośpiech związany z zagrożeniem Nicością zawody przybiorą formę skróconą. Otrzymacie po trzy minuty, by za pomocą Drugiego Klucza stworzyć dzieło sztuki. Autor wybitniejszej pracy zwycięży w turnieju, zostanie ogłoszony Wykonawcą bądź Prawowitym Dziedzicem Drugiego Klucza i dodatkowo przejmie władzę nad Odległymi Rubieżami.

– Ale ja nigdy nie korzystałem z Drugiego Klucza! – zaprotestował Arthur.

– Szwindel z grubej rury! – oświadczyła Suzy. – Grywałam już w uczciwsze partie pokera!

– Podjęłam decyzję! – ryknęła Wola. Arthur otworzył usta, aby ponownie zaprotestować, lecz nie wyrzekł ani słowa. Jako potężny grizzly Wola była zdecydowanie trudniejsza do zlekceważenia. – Pozostaje jedynie kwestia doboru arbitra. Rzecz jasna, w grę wchodzi wyłącznie osoba stosownej rangi...

Tę przemowę przerwał kolejny najazd Niconi. Trzy potwory, wyglądające jak skrzyżowanie jaszczurki z małpą, zsunęły się po zboczu piramidy i wpadły przez nowo powstały otwór.

Harpun Toma momentalnie wystrzelił w powietrze. Rozległ się trzask i ostrze broni przebiło wszystkie trzy Niconie, przekształcając je w nieszkodliwe obłoczki ciemnych oparów. Arthur i Suzy zacisnęli zęby, lecz

skutki uboczne użycia harpuna nie były zbyt dotkliwe, kiedy cel znajdował się dostatecznie daleko.

– ... stosownej rangi i wpływów – ciągnęła Wola z irytacją. – Odpowiedni byłby jeden z pozostałych Dni, gdyby nie fakt...

– Że to banda zdrajców – dopowiedziała Suzy szeptem.

– Szybciej! – warknęli Arthur oraz Ponury Wtorek i jednocześnie popatrzyli na siebie. Arthur nie opuścił wzroku, choć aby wytrzymać wściekłe spojrzenie Ponurego Wtorka, musiał użyć całej siły woli.

– Cisza! – nakazała Wola. – Przechodząc bezpośrednio do sedna sprawy, sędzią w turnieju będzie Żeglarz. Kto chce wystartować pierwszy?

– Ja wystartuję pierwszy – obwieścił Ponury Wtorek. – Ale tylko pod warunkiem, że przywrócisz mi prawa do korzystania z mocy Klucza.

– Na trzy minuty – zdecydowała Wola. – Ani chwili dłużej. Kapitanie, miej baczenie na wszelkie próby oszustwa.

Arthur ani odrobinę się nie zdumiał, kiedy niedźwiedzica grizzly z kieszonki nie istniejącej kamizelki wyciągnęła wielki zegarek z dewizką. Wola obróciła jedno z pokręteł przy czasomierzu, a następnie uniosła włochatą łapę i machnęła na Ponurego Wtorka.

– Zaczynaj!

Ponury Wtorek uśmiechnął się i podniósł dłonie. Arthur i Suzy skulili się, ale Tom nie wyglądał na

poruszonego.

Wtorek mruknął coś pod nosem. Arthur usiłował podsłuchać jego słowa, na wypadek, gdyby chodziło o jakąś tajemnicę związaną z korzystaniem z Klucza. Domyślał się, że przybrał on obecnie formę jednej z dziwnych, posrebrzanych rękawic z metalu, które nosił Wtorek. A może był obiema rękawicami, podobnie jak Pierwszy Klucz istniał pod postacią wskazówek: minutowej i godzinowej, które się połączyły, tworząc miecz?

Przez otwór w piramidzie wpadła bryłka Nicości, przywołana przez Ponurego Wtorka. Chwycił ją bez trudu i przytrzymał oburącz przed twarzą. Skierował wzrok na grudę i wówczas charakterystyczny mrok Nicości ustąpił miejsca blaskowi. Ponury Wtorek zaczął manipulować rękoma przy jasnej kuli, bezustannie mamrocząc.

Przedmiot błyszczał coraz intensywniej, gdy Ponury wykonywał przy nim zamaszyste gesty. Przez cały czas bełkotał pod nosem. Arthur nie zdjął gwiazdnego kaptura, lecz nawet w nim nie potrafił patrzeć wprost na obiekt i to, co Wtorek z nim robił.

Zegarek Woli zadzwonił trzy razy.

– Czas! – zawołała niedźwiedzica.

Ponury Wtorek chwycił wykonany przez siebie oślepiająco jasny przedmiot i opuścił go na parkową ławę. Światło stopniowo przygasło i oczom zebranych ukazało się trzydziestopięciocentymetrowej wysokości drzewko ze szlachetnych metali. Jego pień i gałązki zrobiono z

platyny inkrustowanej złotem, a nieprzeliczone listki powstały z kutego złota, przetykanego srebrnymi żyłkami. Liście poruszały się na wietrze wpadającym przez otwór w piramidzie i wydawały dźwięk pobudzanego jego powiewem ksylofonu.

Arthur jeszcze nigdy nie oglądał nic równie pięknego. Twarz Ponurego Wtorka tylko przelotnie rozjaśnił lekki uśmiech satysfakcji.

– Arthur lepiej sobie poradzi, nawet gdyby ktoś zawiązał mu oczy – zapewniła wszystkich Suzy, lecz w głębi serca nie była o tym przekonana.

– Przekaż Arthurowi Drugi Klucz – poleciła Wola.

Ponury Wtorek zmarszczył brwi i niespiesznie ściągnął srebrzyste rękawice. Przez kilka sekund ważył je w dłoniach, nim niechętnie wręczył je Arthurowi.

Gdy chłopiec przyjął rękawice, w powietrzu nad głowami zgromadzonych zmaterializowały się dwie żółte koperty. Ponury Wtorek błyskawicznie je przechwycił, prychnął, odczytawszy, do kogo jest zaadresowana pierwsza, i cisnął ją Arthurowi pod nogi. Drugą energicznie rozdarł i zapoznał się z jej treścią. Potem odwrócił się do Woli.

– Jednora donosi, że przez całą wschodnią zaporę dolnej Studni sączy się Nicość – oznajmił. – Konstrukcja runie w ciągu godziny, jeśli jej nie naprawię! Skończ ten niedorzeczny turniej i przekaż mi Klucz!

Arthur wepchnął pod pachę zaskakująco lekkie rękawice i podniósł telegram zaadresowany do Mistrza

Niższego Domu. Otworzył kopertę i przeczytał:

ARTHUR POKAŻ WOLI ATLAS POMOC
WKRÓTCE BĄDŹ DZIELNY PIERWSZA DAMA

– Konkurs się rozpoczął i dobiegnie końca – oświadczyła Wola, gdy chłopiec był zajęty czytaniem. – Arthurze, musisz niezwłocznie zacząć.

Arthur przekazał Suzy telegram i włożył rękawice. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak zrobione z elastycznego srebrzystego metalu ze złotymi paskami, lecz w dotyku nie były chłodne ani metaliczne. W rzeczywistości okazały się miękkie i ciepłe, a także niezwykle wygodne. Po ich włożeniu Arthur od razu się wyprostował i poczuł przypływ pewności siebie.

Idę o zakład, że Drugi Klucz działa tak samo jak pierwszy albo jak *Atlas*, przemknęło mu przez głowę. Muszę tylko pomyśleć, czego oczekuję, i głośno wypowiedzieć życzenie. Dlatego Ponury Wtorek mamrotał...

– Zaczynaj!

– Daj mi grudę Nicości! – zawołał Arthur, uniósł ręce i popatrzył w górę na rozbite szkło piramidy.

– Małą grudę! – sprostował pospiesznie, gdy dostrzegł kilka pędzących ku niemu wielkich brył.

Ogromne kawały Nicości odfrunęły na bok, a przez otwór wpadła gruda wielkości piłki nożnej. Arthur podniósł ręce, aby ją złapać. Starał się zagłuszyć swoje

obawy związane z tym, co mogłoby się stać, gdyby przez własną niezdarność wypuścił Nicość, a ta osiadłaby mu na twarzy.

Nie zachował się niezręcznie. Wziął się do roboty, gdy tylko gruda znalazła się w jego mocnym uścisku. Już wcześniej myślał o tym, co stworzy – jak na ironię, zainspirował go dźwięk wydawany przez wykonane przez Ponurego Wtorka drzewko z metali szlachetnych.

Arthur wiedział, że nie ma co marzyć o dorównaniu Ponuremu Wtorkowi maestrią rzeźbień czy wykończeń. To, co zamierzał zrobić, mogło niestety okazać się niewypałem. Wszystko będzie zależało od kryteriów, jakie Tom zastosuje do oceny dzieła.

– Mój ksylofon – mruknął do siebie chłopak i przywołał w pamięci obraz instrumentu. – Ten, który dostałem od taty i mamy na szóste urodziny i który tata tak często ode mnie pożyczał. Z drewnianymi listwami na metalowej ramie i z dwiema pałeczkami.

Spróbował wyciągnąć dłonie w rękawicach i nadać bryle kształt, bezustannie rozmyślając o ksylofonie. Trudno mu było ocenić, czy obrana przez niego taktyka przynosi pożądane skutki, ale gruda świeciła, choć nie tak pełnym blaskiem jak u Ponurego Wtorka. A może świeci tak samo intensywnie?, zadał sobie pytanie, gdy popatrzył na towarzyszy i zorientował się, że wszyscy zasłaniają oczy.

Mam tylko minutę na stworzenie ksylofonu, pomyślał zdesperowany. Skąd będę wiedział, że jest

gotowy?

Jego palce nagle drgnęły, choć wcale nie próbował nimi poruszać.

Czy był to znak od Klucza?

Palce Arthura drgnęły ponownie. Uznawszy to za definitywne potwierdzenie sygnału, chłopiec delikatnie odłożył lśniący obiekt, który jeszcze przed chwilą był grudą Nicości, i cofnął się o krok. Gdy poświata zanikła, na trawie pojawił się ksylofon Arthura oraz dwie pałeczki.

– Już? – spytała Suzy.

W odpowiedzi Arthur niezdarnie ukląkł i sięgnął po pałeczki. Odetchnął głęboko – ta sztuka mu się nie udała, kiedy grał ostatnim razem – i natychmiast zagrał melodię, którą komponował przez dwa lata, od ósmego do niemal dziesiątego roku życia. Był to jego utwór dziękczynny dla Boba i Emily. Chłopiec chciał w formie melodii wyrazić wdzięczność za to, że został adoptowany. Kompozycja rozpoczynała się powoli i cicho, lecz po chwili stawała się radosna i głośna.

Arthur nie uważał, aby to było najwybitniejsze dzieło na świecie, lecz skomponował je samodzielnie i zawarł w nim cząstkę tego, co czuł, gdy się dowiedział, że ma przybranych rodziców, gdy się oswajał z nową sytuacją, gdy czuł wdzięczność, żyjąc z rodziną, która go pokochała, zaakceptowała i traktowała na równi z resztą swoich dzieci.

– Czas! – zawołała Wola, akurat w chwili gdy Arthur

zakończył koncert.

Ostatni, przebrzmiewający już dźwięk ksylofonu złął się w jedno z trzecim uderzeniem dzwonka.

Zapadła cisza, przzerwana przez pogardliwy śmiech Ponurego Wtorka, który wyciągnął dłoń po rękawice. Wola stanęła jednak pomiędzy nim a Arthurem.

– Musimy poczekać na werdykt – zapowiedziała wyniośle. – Kapitanie?

Tom spojrział z góry na złoto-platynowe drzewko Ponurego Wtorka i podrapał się po brodzie.

– To piękne dzieło sztuki – ocenił. – Niewielu jest takich, co to potrafią stworzyć arcydzieło z Nicości. Prawdziwy wytwór geniuszu.

Arthur opuścił głowę. Postawił na to, co słyszał o naturze Ponurego Wtorka, i na to, co zdaniem Toma było istotne. Przegrał. Zrozumiał, że nawet jeśli Ponury Wtorek zgodnie z obietnicą puści ich wolno, a potem zejdzie na dno Studni, aby powstrzymać wyciek Nicości, to rodzina Arthura i tak wszystko straci. Kto wie, może cały świat ogarnie kryzys gospodarczy, a wszystko dlatego, że Arthur nie potrafił wykonać...

– Prawdziwy wytwór geniuszu – powtórzył Tom. – Tyle że nie twojego geniuszu, lordzie Wtorku.

– Ja wykonałem to drzewko! – wrzasnął Ponury Wtorek. – Stworzyłem je z Nicości!

– Ależ to jest kopia! – upierał się Tom. – Już wcześniej widziałem coś podobnego, chociaż w miejsce srebra użyłeś platyny. Znajdowało się to w warsztacie del

Mora w Rzymie, na starej Ziemi, kiedy byłem mistrzem genueńskiego handlu i na własny rachunek kupowałem świece oraz inkrustowane srebrem misy. Ten sam przedmiot miałem okazję ujrzeć jeszcze raz, znacznie później, w kolekcji Froment-Meurice. Śmiem podejrzewać, że oryginał znajduje się obecnie w twojej Wieży Skarbca.

Tom popatrzył na Arthura.

– Z kolei melodii Arthura nie słyszałem – ciągnął. – A wiele utworów miałem okazję poznać. Jego kompozycja przywiodła mi na myśl powrót do domu i gorące powitanie po długiej, samotnej wyprawie, ale także radość z wejścia na pokład nowej jednostki, świeżo wyszorowany pokład i rychłą zmianę pływu. Ogłaszam Arthura zwycięzcą rywalizacji!

– Nie! – wrzasnął Ponury Wtorek. – Nie!

Rzucił się na chłopca. Blade, szponiaste palce pochwyciły dłonie Arthura, unosząc go nad ziemię. Ponuremu nie powiodła się jednak próba zerwania chłopakowi rękawic. Arthur poczuł, że Wtorek niemal wykręca mu ramiona ze stawów, rzucając nim na wszystkie strony. Ponury szalał i ciskał się, aż w końcu został powstrzymany przez Toma i Wolę.

Nawet dwie tak potężne osobistości miały problemy z utemperowaniem Ponurego Wtorka. Sytuacja zmieniła się dopiero wtedy, gdy Arthur uniósł obie dłonie i zawołał:

– Dość!

Rękawice poprawiły się na jego dłoniach, poczuł wyładowanie elektryczne w powietrzu. Ponury Wtorek nagle przestał się szamotać i znieruchomiał. Stał jak wryty.

– Wasza lordowska mość, musisz we właściwy sposób przejąć Drugi Klucz – wyjaśniła z wyczuwalną pokorą Wola. – Powtarzaj za mną: Ja, Arthur, namaszczony na Dziedzica Królestwa, biorę w posiadanie ten Klucz, a wraz z nim władzę nad Odległymi Rubieżami. Biorę go krwią i kością, po turnieju, z prawdy, na mocy Ostatniej Woli i wbrew wszelkim przeciwnościom.

Arthur cicho powtórzył słowa deklaracji. Gdy mówił, lewa strona jego ciała drgnęła, przypominając mu chwilę, w której przejmował klucz Poniedziałka. Poczuł też, że rękawice ruszają mu się na dłoniach. Przesuwały się tak długo, aż dopasowały się do jego rąk.

– Dobra robota, Arthurze! Bułka z masłem! – pochwaliła Suzy przyjaciela. Te słowa zabrzmiałyby dobitniej, gdyby dziewczyna nie chwiała się na nogach, a jej nos i broda nie były umazane krwią. Poklepała Arthura po plecach, tak że stracił równowagę i przypomniał sobie o zdeformowanej nodze.

– Niedługo będziesz się cieszył triumfem – wyszeptał Ponury Wtorek. – Kiedy padnie wschodnia zaporą, Nicość się przedrze i wszystkich nas zniszczy!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

PIERWSZY

Arthur na sekundę zamknął oczy i spróbował zebrać resztki sił. Ponury Wtorek został obalony. On sam miał Drugi Klucz. Nie czuł jednak dreszczyku emocji, który powinien towarzyszyć zwycięstwu, bo jeszcze nie wygrał. Nie mógł spocząć ani wrócić do domu. Nie mógł też uczynić nic, na co naprawdę miałby ochotę. Teraz musiał stawić czoło następnemu ważnemu problemowi, choć się do tego nie nadawał i nie czuł się przygotowany.

– Naprawię zaporę – zdecydował. – Powiesz mi, jak się do tego zabrać?

Ponury Wtorek prychnął i splunął Arthurowi pod nogi.

– Utraciłem Klucz, włości i wszystkie skarby – warknął. – Będę miał jednak satysfakcję z tego, że obrócę się w Nicość wraz ze wszystkimi, którzy mnie otaczają, z moimi przerażonymi wrogami!

– To znaczy, że nie powie – podpowiedziała Suzy usłużnie.

– Chyba sam będę musiał się tego dowiedzieć. – Arthur wyjrzał przez szklaną ścianę i utkwiał wzrok w spowitej smogiem Studni. – Tylko jak mogę się tam szybko dostać?

– Nie możesz – zarechotał Ponury Wtorek. – Zapora nie wytrzyma nawet godziny, a mój pociąg przez kilka

dni jedzie na czoło Studni!

– Ale ty zamierzałeś się tam dostać – przypomniał mu Arthur. – Twierdziłeś, że naprawisz zaporę. Czyli musi istnieć sposób, aby tam dotrzeć w krótkim czasie.

– Nie możesz polecieć – zauważyła Suzy, spoglądając na sklepienie. – Wszędzie fruważą grudy.

– Tom? Czy znasz drogę na dno Studni?

– Nie, jeśli nie liczyć Niebywałych Schodów – oświadczył żeglarz. – Ale to niebezpieczny sposób, gdy Nicość jest bardzo blisko. Schody wszędzie ocierają się o Nicość, lecz nigdzie tak blisko jak tu. Nawet Ponury Wtorek nie zaryzykowałby takiej wyprawy, jak mniemam.

– Możesz Kluczem zmusić Ponurego Wtorka do udzielania odpowiedzi na twoje pytania – zauważyła Wola. – Skrzywdzisz go, ale to bez znaczenia. Nie wolno dopuścić, by Nicość przerwała zaporę. Lordzie Arthurze, sugeruję, byś działał w pośpiechu.

– Gdybyś od początku mi pomagała, mielibyśmy więcej czasu – burknął Arthur z goryczą.

Nagle dostrzegł coś w smogu. Błysk, potem następny. Nie była to czerwona smuga rakiety sygnalizacyjnej, lecz stabilne słupy światła, które spływały ze sklepienia.

– Windy! – zawołała Suzy, spojrzawszy w to samo miejsce.

– Zapewne Pierwsza Dama – orzekł Arthur. – Spóźniona i bezużyteczna, normalka. – Odwrócił się ku

Ponuremu Wtorkowi. Były Wykonawca sprawiał wrażenie niższego i mniej srogiego niż dotąd. Osłabł pod każdym względem.

Arthur niechętnie wzniosł ręce, ale zaraz potem je opuścił, gdy przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Windy! Musi istnieć winda na dno Studni! Gdzie jej szukać?

Ponury Wtorek nie odpowiedział.

– Nie chcę ci robić żadnej przykrości – podkreślił Arthur. – Jeśli jednak będę musiał, użyję przeciwko tobie Klucza. Czy istnieje winda do Studni?

– Czyń, co chcesz – warknął Ponury Wtorek. – Nie zważam na to.

Arthur pokręcił głową, uniósł prawą dłoń i skierował palec wskazujący na Ponurego Wtorka.

– Na potęgę Drugiego Klucza, rozkazuję ci odpowiadać na moje pytania zgodnie z prawdą.

Chłopiec ponownie poczuł wstrząs, spowodowany wyładowaniem elektrostatycznym. Tym razem ujrzał błysk drobnych nitek światła, które wystrzeliły mu z palca w kierunku głowy Ponurego Wtorka i przeniknęły do jej wnętrza przez uszy i nos.

Ponury Wtorek skrzywił się i otrząsnął niczym pies po kąpieli, ale nie powiedział ani słowa.

– Czy istnieje winda łącząca to miejsce z dnem Studni?

– Tak – mruknął Ponury przez zaciśnięte zęby. – Awaryjna. Mała. Tylko dla mnie.

– Gdzie się znajduje?

Ponury Wtorek jeszcze mocniej zacisnął szczęki, lecz jego prawa ręka uniosła się, a jeden palec wyprostował. Nie wiadomo skąd pojawił się przycisk z brązu. Ponury usiłował go nie naciskać, ale jego dłoń sama przywarła do guzika. Zabrzmiał elektryczny dzwonek i w następnej chwili z ziemi wyłoniła się wąska kabina, nie większa niż budka telefoniczna.

Tylko Ponury Wtorek wydawał się na to przygotowany. Szybko ruszył naprzód, ale drzwi windy nie były całkowicie otwarte. Rezydent odbił się od nich i znowu wpadł w ręce Toma oraz Woli. Nie stawiał oporu.

Arthur przyjrzał się kabinie. Rzeczywiście była bardzo wąska, a w dodatku kiepsko się prezentowała z powodu zużycia. Całe wykwinne kiedyś wnętrza pokrywały drobne otworki, przypominające ślady po kroplach kwasu. Drewniane listwy na suficie były poczerniałe i nadpalone.

– Ruszamy! – zarządziła Suzy i chwiejnie weszła do środka, nadal częściowo oszołomiona po zderzeniu z palmą. Okazało się, że dziewczyna zajęła ponad połowę przestrzeni w kabinie. Winda powstała niewątpliwie z myślą o szczupłej postury Ponurym Wtorku.

– Nie – zaprotestował Arthur. – Chyba muszę jechać sam.

– Zmieścimy się – oświadczyła Suzy z uporem. – Wciągnę brzuch.

Arthur pokręcił głową i pociągnął dziewczynę za

rękaw. Rękawica połaskotała go w skórę, a zaskoczona Suzy poczuła, że nie jest w stanie przeciwstawić się przyjacielowi. Zanim zdążyła wskoczyć z powrotem, Arthur znalazł się w windzie i zasunął za sobą drzwi.

– Arthurze, czekaj! – krzyknęła dziewczyna. – Możesz potrzebować mojej...

Jej głos nagle ucichł, kiedy Arthur przycisnął guzik z wyraźnie narysowaną strzałką skierowaną w dół. Kabina nagle się zakołysała i Arthur stracił równowagę. Odbił się od obu ścian, lecz udało mu się zaklinować w rogu.

– Ponownie na sam dół? – spytał jakiś głos. – Wiesz, że ta winda wytrzyma jeszcze tylko kilka przejazdów w tamtym kierunku.

– Jedziemy na samo dno – potwierdził Arthur. Winda przyspieszyła i po chwili chłopiec zjeżdżał z taką prędkością, że pęd unosił go ku sufitowi. Arthur wcisnął się mocniej w kąt. – Jak to „ponownie”? – spytał nagle. – Kiedy ostatnio korzystano z tej windy?

– Pół godziny temu – odparł głos. – Ale mi zafundował przejażdżkę. Z tej windy nie trzeba było korzystać od ponad dwudziestu lat. A tak ładnie była zabezpieczona, kulki na mole, wszystko zapieczętowane, nawoskowane, wypolerowane. I jak teraz wygląda?

– Kim był ten pasażer? – chciał wiedzieć Arthur. Kto pół godziny temu mógłby chcieć jechać na dno Studni?

– Bo ja wiem? – mruknął głos. – Miał należyte uprawnienia. Z samej góry.

– Mnie nikt nie spytał o uprawnienia.

– Masz Drugi Klucz, zgadza się, panie? Uwaga, jesteśmy prawie na miejscu.

Winda gwałtownie zwolniła. Arthur zsunął się po ścianie na podłogę; miał wrażenie, że brzuch wypłynie mu przez Niematerialne Buty. Po serii budzących grozę łupnięć i kolebnięć kabina przystanąła, a drzwi się odsunęły.

– Dno Studni, dziękuję! – obwieścił głos. Arthur wkroczył w mrok. Drzwi zasunęły się i winda znikła.

Przez jedną przerażającą chwilę Arthurowi zdawało się, że został uwięziony w całkowitych ciemnościach. Gdy jednak jego oczy przystosowały się do panujących wokoło warunków, dostrzegł światełko pobliskiej latarni. Potem rozświeciły się mu rękawice, emitując chłodny, zielony blask, który stopniowo ogarnął ręce, cały jasnopłaszcz i buty.

Latarnia wyraźnie się zbliżała, kołysząc się i podskakując. Arthur pospiesznie wyruszył jej naprzeciw. Gdy był już blisko, dostrzegł właściciela latarni, postać bardzo niską i krępą, jednego ze Szkaradziejów Ponurego Wtorka.

– W samą porę przybywasz, panie! – zawołał Szkaradziej chrapliwie. – Nicość przecieka na całego...

Nagle urwał, uświadomiwszy sobie, że nie mówi do Ponurego Wtorka. Na jego obliczu pojawiła się osobliwa mieszanina ulgi, żalu i odrobiny gniewu.

– Nie jesteś Mistrzem!

– Przeciwnie – odparł Arthur i wzniosł zaciśniętą

pięć. – Jestem Mistrzem Odległych Rubieży.

– Ponury... To by tłumaczyło, dlaczego kontraktowi robotnicy... Sądziłem, że to z powodu Nicości... – wymamrotał Szkaradziej. Wyglądał na zdezorientowanego, bezustannie kręcił głową. Po chwili popatrzył na Arthura. – Jestem Jednora – oświadczył smutno. – Czy odtworzysz nas w takiej postaci, w jakiej kiedyś byliśmy? Jako trzech, nie siedmiu?

– Chyba... Spróbuję – zgodził się chłopiec. – Najpierw jednak musisz mnie zaprowadzić do zapory, która lada moment legnie w gruzach.

Jednora znowu pokręcił głową.

– Do zapory? Nie musimy nigdzie chodzić. Jesteśmy u jej podnóża.

Arthur rozejrzał się, lecz ze wszystkich stron otaczała go ciemność, rozświetlona tylko jego własną poświatą i bladym światłem latarni Jednory. Z prawej strony dobiegały go jakieś dziwne odgłosy, jakby skrzypienie. Podobne hałasy słyszał u siebie w domu, kiedy wiatr kołysał drzewami.

– Przeprowadź wybuch słoneczny na wysokości około trzystu metrów – podpowiedział mu Jednora pośpiesznie. – To pierwszy krok, panie. Będiesz pamiętał, aby zrobić z nas trzech?

– Tak – zgodził się Arthur. – Hm, jak... zresztą, mniejsza...

Złożył dłonie w miseczkę i skupił uwagę na rękawicach.

Wybuch słoneczny, pomyślał. Wybuch słoneczny na wysokości trzystu metrów, taki, jaki wcześniej widziałem. Gorący i imponujący, aby miniaturowe słońce rzuciło światło na wszystko tu w dole i posłało Nicość z powrotem do jej nor...

Coś wystrzeliło mu z rąk i z niewiarygodną prędkością pomknęło w górę. Arthur powiódł wzrokiem za ulatującą iskrą, która w kilka sekund osiągnęła swój trzystumetrowy pułap. Nadal patrzył, kiedy eksplodowała jasnością. Gwiazdny kaptur uchronił go przed oślepieniem, ale i tak musiał zmrużyć oczy i zasłonić je ręką.

Właśnie zamierzał odsunąć ramię, aby rozejrzeć się dookoła, kiedy Jednora nagle głośno krzyknął. Arthur usłyszał łomot padającego ciała oraz brzęk latarni rozbijanej o skałę.

Chłopiec instynktownie odskoczył. Zauważył Jednorę, który osuwał się na ziemię, oraz wysokiego, nienagannie ubranego Rezydenta w cylindrze. Obcy podszedł do Jednory i pchnął go w serce długim, srebrzystym i lśniącym nożem, ukrytym w lasce.

– Mógłby ci dopomóc w naprawie zapory – zauważył Rezydent. Mówił łagodnym, przyjemnym głosem. Miał spokojną twarz i nic nie świadczyło o tym, że byłby zdolny popełnić morderstwo. – A do tego nie moglibyśmy dopuścić, nieprawdaż?

– Zabiłeś go!

Rezydent nieznacznie wzruszył ramionami.

– Niewykluczone – przyznał. – Jest jedną siódmą istoty wyższej. Może dojdzie do siebie. Zresztą to akademickie dywagacje, biorąc pod uwagę, że lada moment Nicość pochłonie wszystko stworzenie.

Uniósł sztylet i wycelował go w jakiś obiekt. Arthur szybko spojrzał w kierunku wskazanym przez zabójcę i natychmiast ponownie skupił uwagę na srebrzystym ostrzu. Krótka chwila wystarczyła mu jednak, aby się zorientować, że stoją pod rozległym murem, który niął na horyzoncie z lewej i prawej strony, a jego szczyt znajdował się na wysokości wybuchu słonecznego. Mur wzniesiono z ciemnoczerwonych cegieł, spojonych żółtą zaprawą. Pośród cegieł widać było wiele ciemnych szczelin i pęknięć, przez które sączyła się Nicość.

– Na twoim miejscu, Arthurze, dałbym za wygraną – przekonywał Rezydent. Przemawiał hipnotycznym tonem i chłopiec poczuł, że z najwyższą uwagą chłonie jego słowa. Pragnął bez końca słuchać tego, co mówi nieznajomy. – Masz już wszystko za sobą. Teraz możesz poddać się przeznaczeniu. Niech zaporą legnie w gruzach, niech Nicość zmyje Dom, Poślednie Królestwa...

Przy ostatnim słowie rzucił się Arthurowi do gardła, ale Klucz był przygotowany na napaść nawet wtedy, gdy jego właściciel stracił czujność. Rękawice przechwyciły sztylet, wykrzywiły jego ostrze i przełamały je na pół. Zaraz potem Arthur dostrzegł, że odłamany fragment noża wbija się głęboko w czerwoną jedwabną kamizelkę Rezydenta.

– Ach, odporny na głos – westchnął Rezydent. Odsunął się od Arthura i popatrzył na złocistą krew, która spływała po kamizelce. – Trafienie! Według wszelkich reguł, jedno wystarcza, by przerwać potyczkę. Teraz inni wezmą się do dzieła!

Z tymi słowami stuknął w przycisk, który pojawił się w powietrzu. Natychmiast przybyła winda z otwartymi drzwiami. Rezydent chwiejnie wsiadł do kabiny, drzwi się zamknęły i snop światła wystrzelił w górę, ku odległemu sklepieniu, poza pole widzenia chłopca.

Całkiem zdezorientowany Arthur powiódł wzrokiem za gasnącym promieniem. Rezydent z pewnością nie należał do służących Ponurego Wtorka. Nie był też Niconiem. A może? Dlaczego pragnął, by Nicość pochłoneła Dom?

A właściwie gdzie się podziały Niconie? Ponury Wtorek powiedział: „Jeden tu, tysiąc w dole”.

Arthur odwrócił głowę, by skierować wzrok na zapórę, i wówczas dostrzegł Niconi. Znajdowali się na wysokości ponad kilkudziesięciu metrów, przed frontem zapory. Rękoma, pazurami, mackami i szponami wydłubywali z niej cegły. Tysiące potworów roiło się przed ścianą; Arthur zrozumiał, że to przednia część zapory.

Gigantycznej tamy z nietypowych cegieł, blokującej ogromną pustkę Nicości.

Tamy, która przeciekała i słabła z każdą chwilą.

Tamy, którą Arthur musiał naprawić.

Cegły są tu na nic, zastanawiał się. Niconie potrafią je wydlubywać. Potrzeba nam wzmocnionego betonu. Magicznie wzmocnionego betonu.

Wzniósł dłonie w rękawicach i spróbował się skupić.

– Zamiast cegieł wzmocniony beton – mruczał pod nosem. – Specjalny, wzmocniony beton. Niematerialny beton, podobny do moich butów, ale tysiąc razy wytrzymalszy, tysiąc razy twardszy.

Poczuł, że rękawice wibrują mocą Klucza, ale gdy przyjrzał się zaporze, nie dostrzegł żadnej zmiany. Smugi gęstej, czarnej Nicości coraz szerzej się rozpełzły, gdy Niconie wydlubowali zaprawę i kruszyli cegły.

Za plecami Arthura ktoś wychrypiał jakieś słowa. Chłopiec momentalnie się odwrócił, gotowy do odparcia następnego ataku. Był to jednak tylko Jednora, leżał podparty na łokciu.

– Dotknij cegieł – wyszeptał ranny. – Dotknij ich, a wówczas się przeobrażą!

Arthur skinął głową i podbiegł do zapory. Koło jego ucha przefrunęła cegła, a inna uderzyła go w zdeformowaną nogę. Chłopiec wrzasnął i upadł, osłaniając głowę rękoma.

– Kluczu, ochroń mnie! – krzyknął, obolały.

Zielonkawa poświata jasnopłaszczą Arthura przeobraziła się w kulę, otaczając go ze wszystkich stron. Na chłopca sfruwało coraz więcej cegieł, ale przy zderzeniu z zieloną barierą zmieniały się w pył. Kaszlący, częściowo oślepiiony Arthur pokuśtykał do muru i

przyłożył do niego dłonie.

Na chwilę podniósł głowę i ujrzał spadającą ku niemu chmurę Niconi najprzeróżniejszych kształtów i rozmiarów. Niektóre potwory frunęły, inne zwyczajnie skakały, jeszcze inne truchtały, a pozostałe biegły tak, jakby mur spoczywał na płask, a nie wznosił się pionowo. Arthur ocenił jednak, że żaden ze stworów nie dotrze do niego w czasie krótszym niż pół minuty.

Chłopiec przycisnął mocno dłonie do muru i oparł się na nich całym ciężarem ciała. Ponownie pomyślał o tamach, które miał okazję oglądać, z bliska albo na zdjęciach.

Największa, najpotężniejsza tama na świecie, myślał. Wzmocniony beton. Wzmocniony niematerialny beton. Gruby na kilkadziesiąt metrów, nałożony na zbudowaną wcześniej konstrukcję z cegieł. Nieprzenikniony. Odporny na Nicość. Zbyt gładki, aby ukruszyć go palcami, pazurami, mackami, zębami. Prawdziwa ściana tamy. Potężna zaporą! Wzniesiona potęgą Drugiego Klucza.

Poczuł, że rękawice wtłaczają mu w ciało moc, która go przenika i ponownie się uwalnia. Stał się zarazem niecką i dopływem. Potęga kumulowała się w nim, a gdy już go wypełniła, przelała się, wyciekła mu przez dłonie. Poczuł, jak powstaje nowa tama, jak niematerialny beton rozlewa się po powierzchni cegieł, począwszy od miejsca, gdzie jego dłonie dotykały tamy, i rozplywa niczym atrament na kartce papieru.

– Działa! – krzyknął Arthur. W tym samym momencie ogromny Nicoń o łbie byka wylądował ciężko tuż obok i ruszył do ataku. Ostre rogi były wycelowane prosto w odsłonięte plecy chłopca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Nicoń stanowił zagrożenie w takim samym stopniu jak cegły, gdyż Klucz bezustannie kierował cząstkę swej mocy do wypełniania ustnego polecenia Arthura. Chłopak poczuł, jak na karku rozpryskuje mu się mgiełka substancji nieznanego pochodzenia, lecz doznanie to było zbyt słabe, aby odwrócić jego uwagę od wykonywanej czynności.

Inne Niconie również łądowały i atakowały, lecz ich wysiłki szły na marne. Żaden nie zdołał skutecznie przeciwstawić się potędze Klucza. Wiele potworów uświadomiło sobie ten fakt i zamiast atakować, umknęło, w nadziei na znalezienie drogi do innych rejonów Domu lub Poślednich Królestw. Pozostałe wspinały się coraz wyżej po zaporze, jakby uciekając przed powstającym nowym murem. Desperacko usiłowały wydłubać jeszcze choćby jedną cegłę, wykruszyć jeszcze jedną warstwę zaprawy. Niejedna poczwara ugrzęzła, gdy wzmacniający metal ją otoczył lub przeszył, a niematerialny beton pochłonał, zatopił w rosnącej kolumnie.

Tylko jeden Nicoń nie atakował, nie wyłuskiwał cegieł, nie uciekał. Osobliwy stwór, ukryty za podziurawionym zbiornikiem, który stoczył się na sam dół Studni, wodził wzrokiem za Arthurem.

Obserwator nie przypominał przeciętnego Niconia. Od lewej strony wyglądał jak zwykły chłopiec. W gruncie rzeczy ogromnie przypominał Arthura w szkolnym

mundurku. Za to z prawej strony był szkieletem, kościotrupem o barwie ochry, odartym ze skóry. Od przodu widać było jego ohydne, rozszczepione oblicze: w połowie twarz uśmiechniętego chłopca, w połowie czaszkę z wyszczerzonymi zębami.

Gdy było już jasne, że zapora stanie na nowo, a Nicość żadną miarą nie przedrze się przez nią w najbliższym czasie, wówczas Bezsłony Chłopiec legł na wznak w zbiorniku i skrzyżował na piersi rękę oraz kości ramienia. Nie spieszył się. Posłaniec, który przybył, by obejrzeć jego niezwykle narodziny, przedstawił mu kilka ciekawych możliwości, zależnych od tego, co się stanie z zaporą. Przybysz raczej nie podejrzewał, że Arthurowi się powie, lecz był przygotowany także na to, i powiedział Bezsłonemu Chłopcu, co należy zrobić.

Arthur, nieświadomy obecności obserwatora, poczuł drżenie palców. Podniósł wzrok. Jasność po wybuchu słonecznym przygasała, ale stworzony przez chłopca betonowy mur migotał gwiazdnym światłem. Ta poświata wystarczała, by stwierdzić, że konstrukcja jest gotowa. Nie pozostał ani jeden przeciek, zniknęła Nicość i wszyscy Niconie. Arthur dostrzegł tylko Jednorę, który nie podpierał się już na łokciu, tylko leżał bezwładnie.

Szkaradziej jeszcze oddychał resztką sił. Uchylił powiekę, gdy Arthur podszedł do niego powoli.

– Teraz nie ma już po co nas odtwarzać – wyszeptał.
– Kto by pomyślał, że Ponury tak marnie nas wykona? Jedno pchnięcie sztyletem i ginie siedmiu... Arthurze, nie

chcieliśmy być tym, co z nas zrobiono. Pamiętaj o tym.

Jego oko zaszło mgłą, głowa się odchyliła. Gdy dotknęła ziemi, Arthur ujrzał, jak twarz Szkaradzieja rozmywa się i przeobraża, ukazując chłopcu trzech przystojnych Rezydentów, którzy posłużyli Ponuremu Wtorkowi do stworzenia siedmiu służących. Po chwili znów ujrzał twarz Jednory, zastygłą i martwą.

Odwrócił wzrok. Teraz naprawdę był sam na dnie Studni. Po wybuchu słonecznym pozostała tylko biała iskierka gdzieś w górze, a po murze tamy skradały się cienie.

Chłopiec był na granicy wyczerpania. Brakowało mu sił, aby wykonać jakąkolwiek czynność, choćby otrzepać się z ceglanego pyłu i usunąć dziwną maź, która oblepiła mu plecy i włosy. Miał obolałe ręce, jakby przez długi czas nosił ciężary.

Znużenie sprawiło, że zapragnął odpocząć. Usiadł na ziemi, potem położył się na plecach i patrzył na pogłębiający się mrok.

Nagle z góry spłynęło światło. Zadźwięczał dzwonek i rozsunęły się drzwi windy.

– Na górę – oznajmił bezcielesny głos. – Taką przynajmniej mam nadzieję. To ostatnia przejażdżka tej windy na dół. Na pokład wszyscy, którzy wyruszają.

Arthur jęknął, wstał chwiejnie i z trudem się wyprostował.

Pokuśtykał do kabiny i wśliznął się do środka.

– Może być trochę niebezpiecznie, panie – uprzedził

głos. – Ta winda nieco oberwała. Nie wspominając o ostatnim pasażerze, z alarmowym kursem.

– Alarmowy kurs? – spytał Arthur i ziewnął. – Co to takiego?

– Zasadniczo ta winda dociera tylko do górnego piętra Odległych Rubieży. Ostatni pasażer kazał się wieźć prosto do Atrium Niższego Domu. Miał papiery, rzecz jasna, ale taka wyprawa koszmarnie zużywa i niszczy windę.

– Kto to taki? – spytał Arthur ostro.

– Bo ja wiem? Ktoś ważny – zapewnił chłopca głos.

– Ten sam, który zjechał przed tobą.

Kabina pochyliła się i zadygotała, kiedy Arthur zastanawiał się nad stosowną odpowiedzią. Nie powiedział jednak ani słowa, tylko wcisnął się w kąt, kiedy winda zaczęła przyspieszać.

– To może trochę potrwać, panie – zauważył głos. – Może odrobina muzyki? Trochę gram na klarncie. Coś łagodnego, rozumiesz, niezbyt hałaśliwego...

Winda bardzo długo wracała. Arthur podejrzewał, że minęło co najmniej kilka godzin. Stracił rachubę czasu, bo zasnął, ukołysany dziwnymi, częściowo znajomymi melodiami, niezbyt dobrze wygrywanymi na klarncie o gwałtownie zmieniającej się sile dźwięku.

Obudziło go natarczywe dzwonienie windy oraz gwałtowne zatrzymanie się kabiny, które bardziej przypominało zderzenie z twardym obiektem niż kontrolowane wyhamowanie.

Arthur podźwignął się z podłogi i wygramolił z kabiny. Tuż za progiem musiał zmrużyć na chwilę oczy, oślepiony przez sztuczne światło słoneczne, a kiedy na powrót je otworzył, zauważył, że szklana piramida całkowicie znikła. Wieża Skarbca była częściowo wybielona, a ogrody palmowe ustąpiły pola rozległym trawnikom. Wokoło Wieży stało czterdzieści dużych białych namiotów dzwonowych, o rozmiarach nasuwających skojarzenia z cyrkiem. Przed każdym namiotem ciągnęła się długa kolejka byłych kontraktowych robotników; koniec każdego ogonka nikał w smogu. Jeżeli Arthur się nie mylił, sądząc po stołach ustawionych przed namiotami oraz grupach Rezydentów kręcących się między kolejkami z filizankami w ręku, namioty stały tam tylko po to, aby umożliwić wypicie popołudniowej herbaty.

Na chłopca czekał komitet powitalny, zgromadzony wokół windy. Pierwsza Dama stała na przedzie, a wśród zebranych znaleźli się także Poniedziałkowy Południk i co najmniej setka uzbrojonych Komisarzy Sierżantów, Metalowych Komisarzy, Nocnych Przybyszów i innych.

Suzy siedziała na parkowej ławie i zajadała ogromnego, oblanego czekoladą eklera. Znowu miała na sobie zwykłe obszarpane ubranie i ulubiony wymięty cylinder. Arthur zauważył, że zachowała Niematerialne Buty, a zawiniątko u jej boku musiało być jasnopłaszczem.

Pomachała dłonią. Arthur jej odpowiedział takim

samym gestem.

Pierwsza Dama najwyraźniej uznała, że chłopiec przekazuje jej w ten sposób uroczyste pozdrowienie. Zasalutowała mu Pierwszym Kluczem, który przybrał kształt miecza. Dama była wyższa, niż zapamiętał Arthur, i nosiła coś w rodzaju galowego munduru, w elektryzującym odcieniu błękitu, ze złotymi koronkami i nedorzecznie wysoką futrzaną czapą, podobną do tych, w których paradują angielscy gwardziści przed pałacem Buckingham. Nie było widać skrzydeł, choć dało się dostrzec ślad ich istnienia: lśnienie w powietrzu nad ciasno ściągniętymi do tyłu platynowymi włosami, wystającymi spod czapy.

– Witaj, Arthurze – zagrzmiała niskim i przenikliwym głosem, choć nie tak chrapliwym jak kiedyś. – Stałeś na wysokości zadania. Naprawdę zasługujesz na pochwałę.

– Padam z nóg! – wybuchnął Arthur. – Chcę wracać do domu. Marzę o długim odpoczynku. Nie życzę sobie, aby ktoś mi zawracał głowę. Obiecałaś mi sześć lat spokoju!

– To się rozumie samo przez się, Arthurze. Aczkolwiek. .. – zaczęła Pierwsza Dama. Jej sposób mówienia sprawił, że Arthur popatrzył na nią uważniej.

– Obie stałyście się jednością! – przerwał Damie. – Jesteś dwiema częściami Woli!

– Nie przeczę – przyznała Pierwsza Dama. – Tworzymy jedną całość, zgodnie z odwiecznym

życzeniem Architektki. Zostałam rozdarta i zdeformowana za sprawą niegodziwych Powierników.

– Skoro o deformacji mowa: musisz się zająć moją nogą – zauważył chłopiec. – W takim stanie nie mogę wrócić do domu.

– Gorący ręcznik, panie? – zaproponował Kichol, który przestraszył Arthura, nieoczekiwanie zjawiając się u jego boku. – Wydajesz się nieco... hm, zaniedbany. Może wezmę twój płaszcz? Czy masz ochotę na filizankę kawy? Albo lemoniadę imbirową? Usunę ci z ucha ten kolczyk.

Arthur nawet nie zauważył, kiedy to się stało. Sięgnął po ręcznik, otarł twarz. Zdziwiło go, że nic nie czuje, i dopiero po chwili przypomniał sobie o gwiezdny kapturze. Odwinął go z twarzy, a wtedy Kichol jednym wprawnym ruchem ściągnął z chłopca jasnopłaszcz. Arthur wreszcie mógł przyłożyć ręcznik do twarzy. Materiał był tak gorący, że niemal parzył, ale podziałał na chłopca odświeżająco i nieco go orzeźwił. Ponadto magicznym sposobem usunął sadzę, ceglany pył oraz maź z całego ciała, choć chłopiec otarł jedynie buzię. Arthur rozejrzał się i zauważył, że w polu widzenia nie ma ani Ponurego Wtorka, ani Toma.

– Gdzie jest Ponury Wtorek? – spytał. – Gdzie Tom?

– Żeglarz znowu postanowił umyć ręce i nie brać na siebie odpowiedzialności za ten Dom – prychnęła Pierwsza Dama. – Odszedł, zapewne z zamiarem nielegalnego wkroczenia do Poślednich Królestw. Rzecz oczywista, wydałam nakaz aresztowania go, gdy tylko

powróci.

– Ale Tom mi pomógł – zaprotestował Arthur. – Nie możesz go aresztować. I co z Ponurym Wtorkiem?

– Rezydent znany wcześniej jako Ponury Wtorek został skierowany do wykonywania robót – oświadczyła Pierwsza Dama i wskazała na Wieżę Skarbca. Arthur podniósł wzrok i ujrzał wysoką, kościstą postać w białym fartuchu, zmagającą się z wielką puszką farby. Gigantyczny wałek do malowania, o szerokości co najmniej siedmiu metrów, stał oparty o mur.

– Istnieje wiele prac, którymi musi się zająć nasz Najniższy Asystent – ciągnęła Pierwsza Dama. – W pierwszej kolejności należy odnowić najwyższy poziom Odległych Rubieży, następnie zasypać Studnię – tym zajmą się jego dawni Nadzorcy. Trzeba także odtworzyć źródło, już nie wspomnę o oryginalnych skarbach, które zagabił. Muszą co do jednego powrócić na właściwe miejsca w Domu i w Poślednich Królestwach. Arthurze, czeka nas mnóstwo pracy. W takiej sytuacji niebywale pomocna byłaby obecność prawdziwego Mistrza Niższego Domu i Odległych Rubieży. Z tego względu z największą przyjemnością zwracam Pierwszy Klucz...

– Nie! – krzyknął Arthur. Odepchnął srebrną tacę z filiżanką kawy, podsunietą przez Kichola. – Nie słuchałaś, co mówiłem? Oczekuję, że wyleczysz mi nogę, a potem chcę wrócić do siebie i nie życzę sobie, aby mi zawracano głowę. Twoim zdaniem za mało się wykazałem?

– Musisz kontrolować emocje – zganiła go Pierwsza Dama. – Prawowitemu Dziedzicowi nie przystoi dawanie upustu dziecinnym kaprysom na oczach...

– Nie daję upustu kaprysom! – wycedził Arthur najchłodniej, jak potrafił. – Informuję cię, że chcę ze zdrową nogą wrócić do własnego domu.

– Takie posunięcie wskazywałoby na całkowity brak roztropności – odparła Wola. – Możesz powrócić tylko wówczas, gdy zrezygnujesz z Drugiego Klucza, a to oznaczałoby narażenie się na niebezpieczeństwo. Zagrożenie osiągnęło niebywale wysoki poziom. Jasne jest, że pozostałe Dni poszukują luk w ich Umowie i czynią kroki wymierzone przeciwko tobie. Przykładowo, zachodzi uzasadnione podejrzenie, że Wysoki Zmierzchnik Soboty zawitał tutaj i...

– Chyba go spotkałem – przerwał Arthur rozmówczyni. – Zabił Jednorę i wszyscy Szkaradzieje umarli. Wystarczyło jedno pchnięcie sztyletem. Zraniłem go jednak i uciekł. Nie wiedzieć czemu chciał...

– Sam widzisz – wtrąciła się Wola. – Podejrzewam, że mogą zlekceważyć Pierwotne Prawo i zaatakować cię na obszarze Poślednich Królestw.

– Wobec tego powinnaś spróbować ich zatrzymać jeszcze tutaj – stwierdził Arthur. – Wracam do domu. Brakuje mi normalnego życia!

– Powstrzymanie ich, niestety, nie jest możliwe – westchnęła Wola. – Jeśli jednak nieodwołalnie zamierzasz powrócić, tak się stanie. Musisz jednak

powołać Plenipotentą dla Drugiego Klucza, tak jak poprzednio.

– Zgoda. Powołuję ciebie – zdecydował Arthur. Ściągnął rękawice, będące Drugim Kluczem, i wręczył je Pierwszej Damie.

– To skrajnie nietypowe – mruknęła Wola. – Mniemam jednak... Powtarzaj za mną: „Ja, Arthur, Pan Odległych Rubieży, Mistrz Niższego Domu i Powiernik Pierwszego oraz Drugiego Klucza Królestwa” ...

Arthur wymamrotał słowa oświadczenia. Odnosił dziwne wrażenie, że jeśli dostatecznie szybko wyrwie się z tego miejsca, wówczas wszystko będzie dobrze, nie zostanie wplątany w inną sprawę.

– „Przekazuję mojej wiernej służce, połączonemu Pierwszemu i Drugiemu Fragmentowi Wielkiego Testamentu Architektki, pełnię swej władzy, całą własność i przywileje, aby korzystała z nich w moim imieniu jako Plenipotentka, do czasu gdy uznam za stosowne przejąć je ponownie”. I już, gotowe!

Pierwsza Dama przyjęła rękawice i ostrożnie je włożyła. Gdy jej palce wsunęły się do środka, obie pojaśniały rubinowym światłem, a ze spodów dłoni posypały się płatki róży.

– Miły gest – przyznała Pierwsza Dama z aprobatą.

– Czy teraz możesz wyleczyć mi nogę? – zapytał Arthur niespokojnie. Wysunął kończynę przed siebie, aby od razu było widać, że jest za krótka i wykręcona.

Pierwsza Dama pochyliła się, aby ją zbadać.

Zmarszczyła czoło i wyciągnęła rękę. Nagle pojawiła się para binokli. Plenipotentka przyczepiła je do nasady nosa, nim ponownie spojrzała na nogę.

– W jaki sposób do tego doszło?

– Złamałem nogę podczas upadku na piramidę – wyjaśnił chłopiec. – Potem wyleczyłem ją mocą Pierwszego Klucza, a raczej jej pozostałością, którą zachowałem w dłoniach.

– Ach – westchnęła Pierwsza Dama. – Zatem mamy problem.

– Problem? – wyszeptał Arthur. – Nie potrafisz jej wyleczyć?

– Mogę użyć Pierwszego Klucza do odwrócenia tego, co uczyniłeś. Wówczas jednak twoja noga zostanie złamana, a ponieważ sprawcą złamania będzie Klucz, nie da się jej wyleczyć żadną magią, która nie przeobrazi cię całkowicie.

– Przeobrazi?

– W Rezydenta. Tym samym opuścisz grono śmiertelników, a jak miemam, nadal pragniesz być jednym z nich. Architektka raczy wiedzieć czemu.

Arthur przypomniał sobie, jak bardzo bolała go noga w chwili zderzenia z piramidą. Pomyślał o swoim życiu.

O codzienności. Pragnął jej, nawet najnudniejszych jej elementów, na które zawsze utyskiwał. Potrzebował nowej szkoły i wszystkiego innego.

– Jeśli to jest warunek... – powiedział z rozmysłem. – Mimo to nadal pragnę wrócić. Tylko... Dobrze by było,

gdybym mógł wrócić prosto do domu. Nie chcę ze złamaną nogą leżeć na ulicy.

– Uważam, że to się da zaaranżować – zapewniła go Pierwsza Dama. – Nie ma już powodu, aby nie korzystać z Frontowych Drzwi. W gruncie rzeczy zamierzam nalegać, byś ich używał. Jednocześnie przestrzegę Strażnika Porucznika, byś nie pozostawał sam.

– Strażnik Porucznik... – powtórzył Arthur, nagle coś sobie przypomniawszy. – Czy on podlega Niższemu Domowi? Wspomniał, że od dziesięciu tysięcy lat nie ma tam Strażnika Kapitana. Czy dlatego że Poniedziałek czegoś nie podpisał? Może byśmy... Może byś go po prostu awansowała?

– Strażnik Kapitan i Strażnik Porucznik są powoływani przez wszystkie Dni – wyjaśniła Pierwsza Dama. – Obecny Strażnik Kapitan tylko zaginął, zatem nie można go zastąpić do czasu ustalenia, co się z nim stało, jeśli to kiedykolwiek nastąpi.

– Och – mruknął Arthur. – jestem winien przysługę Strażnikowi Porucznikowi, więc przyszło mi do głowy, że... Poza tym jest jeszcze paru Rezydentów, którzy udzielili mi tutaj pomocy. Jeśli możesz, skieruj ich do przyzwoitej pracy. Chodzi o pewnego nowego kontraktowego robotnika, Japetha, który niegdyś był Tezaurusem.

– Tezaurus zawsze się przydaje – orzekła Pierwsza Dama. Skinęła głową Poniedziałkowemu Południkowi, który uklonił się Arthurowi i pilnie odnotował coś w

małym notatniku o lśniącej okładce.

– I jeszcze urzędnik zaopatrzeniowy Mathias.

Arthur zerknął przez ramię na ławę. Suzy właśnie atakowała kawał placka z kremem.

– No i Suzy, rzecz jasna. Nic bym nie osiągnął bez jej pomocy. Może mogłabyś zafundować jej wakacje albo coś podobnego?

– Życie Suzy to nie kończące się pasmo wakacji – zapewniła go Pierwsza Dama. – Wypoczywa bez względu na okoliczności. Jakąś nagrodę bez wątpienia można będzie jej przyznać. W drodze negocjacji.

– I jeszcze Tom – dodał Arthur. – Kapitan. Proszę, nie każ go aresztować.

– Osobnik niebywale trudny do zatrzymania – mruknął Południk. – Nie chciałbym próbować tego osobiście. To zdumiewające, że Ponuremu Wtorkowi udało się go schwytać.

Pierwsza Dama spojrzała z przyganą na Południka.

– Skoro o tym mowa, Arthurze, nie będziemy niepokoić Żeglarza, chyba że on zacznie niepokoić nas albo zwróci na siebie naszą uwagę w taki sposób, że nie będziemy mogli puszczać płazem jego wykroczeń.

– To chyba wszyscy – podsumował Arthur. – Bierzmy się do roboty. Jak można dotrzeć do Frontowych Drzwi?

– Podróżny Talerz – wyjaśniła Pierwsza Dama. – Do Wzgórza Uchylonych Wrót w Niższym Domu. Gdzie one są? Kichol!

Arthur drgnął, gdy Kichol wyłonił się zza jego pleców.

Jak to się stało, że on się tam znalazł, a ja znowu nic nie zauważyłem?, pomyślał.

– Mam dwa Podróżne Talerze, pani – oświadczył Kichol i położył na trawie dwa z pozoru całkiem zwyczajne żółto-białe talerze z porcelany. – Wzór & la Combę. Panna Błękit ma na trzecim talerzu ciastka.

Suzy dreptała już pospiesznie, po drodze wpychając ciastko do ust i jednocześnie strzepując okruchy z talerza. Po chwili naczynie spoczęło obok pozostałych.

– Dokąd się wybieramy? – spytała pogodnie, z pełnymi ustami.

Pierwsza Dama z grymasem na twarzy odwróciła wzrok.

– Na Wzgórze Uchylonych Wrót – wyjaśniła. – Arthur wraca do domu. Arthurze, najzwyczajniej stań na talerzu. Nie nazbyt gwałtownie. Po obaleniu Ponurego Wtorka wszystkie linie komunikacyjne – i kredytowe, o czym donoszę z przyjemnością – pomiędzy tym miejscem a innymi rejonami Domu ponownie są otwarte. Południku, pokierujesz tutaj wszystkim pod moją nieobecność.

Następnie stanęła na swoim talerzu i znikła.

Arthur zamierzał pójść w jej ślady, kiedy Suzy wpadła na niego i złapała go za łokieć.

– Oj! – zawołała głośno i jednocześnie wsunęła mu w dłoń jakiś przedmiot.

– Kapitan kazał mi dać ci to – wyszeptała mu do ucha, przyskajac mu na szyję okruchami. – Pilnuj, żeby stara tego nie zobaczyła.

Wyprostowała się i stanęła na swoim talerzu. Arthura korciło, by rozchylić palce i sprawdzić, co właśnie otrzymał, ale Południk go obserwował, więc również nadepnął na swój talerz.

Następny krok wykonał na trawiastym zboczu Wzgórza Uchylonych Wrót.

Strażnik Porucznik czekał przy Frontowych Drzwiach. Ogromne wrota z ciemnego drewna wznosiły się pomiędzy dwoma białymi słupami na szczycie zielonego pagórka z widokiem na Atrium Niższego Domu. Arthur patrzył teraz na jaśniejące sklepienie oraz liczne słupy światła, które wystrzeliwały błyskawicznie w górę i równie błyskawicznie spadały na dół, do miasta. Chłopiec wiedział, że nie powinien spoglądać bezpośrednio na Drzwi, w których można ujrzeć zbyt dużo i z łatwością postradać zmysły.

– Witaj, Arthurze Penhaligonie – rzekł Strażnik Porucznik i zasalutował. Arthur mu pomachał, a gdy opuszczał dłoń, wsunął do kieszeni z *Atlasem* podarek od żeglarza. Przedmiot był mały i płaski, więc bez trudu zmieścił się w kieszeni koszuli.

– Arthurze, czy jesteś przygotowany? – spytała go Pierwsza Dama. – Strażnik Porucznik cię przetransportuje, gdy ja zrobię, co do mnie należy.

– Już, prawie – odparł chłopak. Ściągnął koszulę i spodnie jak od pizamy, lecz z powrotem włożył Niematerialne Buty. I tak przypominały tenisówki. Gdy nadeszła chwila powrotu do domu, Arthur mimowolnie zaczął zwlekać. Nie chodziło tylko o to, że za moment będzie miał złamaną nogę. Popatrzył na Suzy i wyciągnął do niej rękę.

– Dzięki – wymamrotał niezręcznie. Chciał powiedzieć więcej, ale nie potrafił dobrać słów.

– Na razie – pożegnała go dziewczynka. – Kiedy wrócisz następnym razem, sprawimy ci przyzwoite skrzydła. Koniec z tym badziewiem do wznoszenia.

– Zdecydowanie – przytaknął Arthur. Odwrócił się do Pierwszej Damy, szybko skinął głową i zamknął oczy.

Nie widział, co uczyniła, ale poczuł eksplozję bólu w nodze. Krzyknął i upadł. Strażnik Porucznik chwycił go zręcznie i obaj ruszyli do Drzwi.

Każdy krok Strażnika Porucznika oznaczał dla Arthura nieopisane cierpienie. Ból w nodze był nie do wytrzymania, nawet najlżejsze drgnięcie sprawiało, że promieniował na cały bok chłopca i docierał mu aż do głowy.

– Spokojnie – odezwał się Strażnik Porucznik. – Już niedaleko.

Arthur ledwie go słyszał. Nie był pewien, czy ma otwarte oczy, czy zamknięte. Widział jedynie eksplodujące pióropusze jaskrawych barw. Nie myślał o

niczym poza własną nogą.

– Jesteś mężny, panie – pochwalił go Strażnik Porucznik. – Teraz tylko lekkie szarpnięcie i...

Arthur stracił przytomność. Gdy doszedł do siebie, ujrzał, że leży u podnóża schodów prowadzących do jego pokoju. Usłyszał walenie w drzwi i krzyki. Zorientował się, że to jego wrzaski.

– Przymknij gębę! – zawołała Michaeli. Dobiegł go stukot powolnych kroków na schodach, a po nim odgłos bardzo szybkiego dreptania oraz okrzyk w zupełnie innym tonie: – Tata! Erie!

Arthur zmusił się do zdławienia wrzasku. Przyszło mu to bez trudu. Właściwie osiągnął cel z taką łatwością, że pomimo bólu jego wyczerpany umysł zorientował się, iż przyczyną jest brak powietrza.

Mam atak astmy!, przeszło mu przez myśl. Ta głupia Wola cofnęła wszystko, co kiedykolwiek uczynił ze mną Pierwszy Klucz! Mam złamaną nogę i napad duszności!

– Pomocy... – wychrypiał resztką sił. – Astma...

Na nic więcej nie potrafił się zdobyć. Gdy Michaeli odwróciła się, aby pognać na piętro po inhalator, a Bob wybiegł ze studia, Arthur ponownie stracił świadomość.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Arthur ocknął się w szpitalu. Miał podłączoną do ręki kroplówkę, na twarzy założoną maskę tlenową. Czuł się fatalnie, w jego nodze załagł się tępy, trwały ból. Odniósł wrażenie, że dzieje się z nią jeszcze coś, co sprawia, że jest mu bardzo niewygodnie. Sytuacja stała się jasna, gdy uniósł głowę i ujrzał, że ma nogę owiniętą czymś w rodzaju plastiku i wysuniętą spod kołdry.

– Arthur?

Spojrzał w kierunku, z którego dobiegał głos, i zauważył rodziców. Bob spał na krześle, niemal chrapiąc, a przy każdym ciężkim oddechu jego głowa unosiła się o parę centymetrów. Emily właśnie wstawiała z drugiego krzesła, odkładając świecący e-paper.

– Mamo...

– Zupełnie nic ci nie grozi – zapewniła go. Podeszła bliżej, poprawiła chłopcu poślanie i pogłaskała po włosach. – Ten atak astmy nie był taki straszny. Gorzej, że złamałeś nogę. Nie mam pojęcia, jak ci się to udało, Jack, lekarz, który ją nastawiał, powiedział, że takie rany odnoszą skoczkanie spadochronowi. Ale się zagoi.

– Nasz dom... Agenci nieruchomości...

– Bez obaw – przerwała mu kojącym głosem. – Senny Pomór narobił trochę zamieszania, ktoś coś pomylił w archiwum miejskim i uznał, że nie płacimy podatku od nieruchomości. Wszystko wyjaśnimy. A teraz

idź spać.

– Nie jestem senny – oświadczył.

– Bardzo cię boli? – zaniepokoiła się Emily. – Mam zawołać pielęgniarkę?

– Nie, nie... Nie jest źle – wyjaśnił Arthur zgodnie z prawdą. Znowu się rozejrzał, przyzwyczajając się do normalnych, białych ścian, akcesoriów z nierdzewnej stali, złączek do tlenu, tablicy z rozlicznymi przyciskami i wskaźnikami oraz do wszystkiego, co się powinno znajdować w szpitalnym pokoju.

Potem zauważył zegar, ale nie potrafił dostrzec cyferblatu.

– Która godzina?

– Minęła piąta rano – odparła Emily. – Byłeś nieprzytomny od wczorajszego południa. Operacja dobiegła końca o siódmej wieczorem, więc długo spałeś. To dobry znak.

Arthur zorientował się, że jego mama na swój lekarski sposób ukrywa troskę. Gdy ponownie pogłaskała go po włosach, wyczuł drżenie jej ręki.

– Piąta rano w środę – mruknął.

– Tak jest – potwierdziła Emily z uśmiechem. – Michaeli i Erie byli tutaj, ale ich odesłałam do domu. Zajrzała też twoja koleżanka, Liść.

– Liść? – powtórzył pośpiesznie. – Nic jej nie jest?

– Skąd wiedziałeś, że była ranna? – Emily nie kryła zdumienia. – Trafiła tutaj mniej więcej w tym samym czasie co my. Spotkaliśmy ją na oddziale pomocy

doraźnej. Paskudne skaleczenie, ale łatwe do leczenia. Trudno uwierzyć, że są ludzie gotowi okradać domy podczas kwarantanny, przy ogłoszonym stanie alarmowym. Ale chyba zawsze tak było i będzie.

– Czy Liść jest tu, w szpitalu?

– Tak, oczywiście. Jej rodzice i brat zostali zatrzymani na obserwację w związku z kwarantanną, więc jest teraz z nimi i z jakąś ciotką o dziwnym imieniu.

– Mango – mruknął Arthur. Położył głowę na poduszkę, wsunął pod nią ręce i natychmiast natrafił na rzeczy, które nie powinny się tam znajdować. *Atlas*, prostokątny kawałek kartonu oraz mały, okrągły przedmiot, prezent od Toma, doręczony przez Suzy.

– Chyba się zdrzemnę – powiedział do Emily i ziewnął. – Powinnaś wrócić do domu.

– Równie dobrze mogę poczekać na przebudzenie chrapliwego potwora – oświadczyła Emily. – Poza tym mam jeszcze dokumenty do przejrzania. Ale ty śpij.

Arthur powiódł za nią wzrokiem, gdy wracała na krzesło i podnosiła e-paper. Emanująca z niego bladozielona poświata rozjaśniła jej twarz. Gdy Emily skupiła się na kreśleniu po nim specjalnym rysikiem, chłopiec przetoczył się na bok i ponownie dotknął przedmiotów pod poduszką. Nie wydobył ich jednak z ukrycia.

Cofnął rękę. Wiedział, że cokolwiek się tam znajduje, z pewnością odciągnie go od normalnego życia, którego tak bardzo mu brakowało. Środa rozpoczęła się

pięć godzin temu i Arthur nie wątpił, że Potomne Dni nie dadzą mu spokoju. Niepotrzebnie żył złudzeniami, uświadomił to sobie ostatecznie. Skoro jednak przetrwał w Studni i przeciwstawił się Ponuremu Wtorkowi, to równie dobrze mógł stawić czoło wszelkim innym wyzwaniom. Nawet jeśli poniesie klęskę, to nie z braku starań.

Raz jeszcze włożył dłoń pod poduszkę. Tym razem wy dostał wszystkie trzy przedmioty. *Atlas* był pierwszy. Wyglądał dokładnie tak jak zawsze, więc Arthur odłożył go z powrotem. Następnie wziął do ręki małą tarczkę i dyskretnie ją obejrzał przy świetle guzika przywoławczego. Dysk wykonano z kości – zapewne z kości wielorybiej. Po jednej jego stronie wyryto mnóstwo maleńkich gwiazdek, po drugiej statek: łódź wikingów z postawionym żaglem i z wiosłami sterczącymi spomiędzy rzędu tarcz. Na szczycie tarczki znajdował się otwór, przez który można było przeciągnąć rzemyk, aby zawiesić ją na szyi. Arthur bardzo długo wpatrywał się w dysk, aż w końcu go odłożył.

Wreszcie wyciągnął ostatni przedmiot: prostokątny kawałek sztywnej tektury. Na białym kartonie o pozłacanych krawędziach widniało kilka linijek eleganckiego, ozdobnego pisma.

Tekst głosił:

Pani Środa

Powiernica Architektki

*i Księżna Morza Granicznego
ma ogromną przyjemność zaprosić:*

Arthura Penhaligona

Na uroczysty obiad
z siedemnastu dań

Transport zapewniony
R.S.V.P. nie wymagane